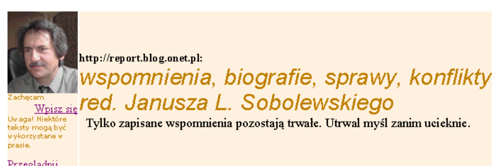
Janusz L. Sobolewski



Selfie - fot. Autor (2014)

Zapiski blogowe
z obrzeży PRL-u



Notka o Autorze w Wikipedii: https://pl.wikipedia.org/wiki/Janusz_L._Sobolewski

Spis treści:

(2006 - 2017)

Carpe diem

Tytuł pozostał mi po filmie „Stowarzyszenie umarłych poetów”... Tylko, że to zupełnie do mnie nie pasuje! *Nolens volens* bardziej? (9.08.2006)

Psia kość

Do syna przyjechał dziesięcioletni kuzyn. Dochodzę do wniosku, że nie dałbym już rady od początku... Coraz mniej cierpliwości dla jednowymiarowego świata, a gdzie, psia kość, ta tolerancja?! Analogicznie z pewnym księdzem, pobitym przez SB, ze śladami do dziś w psychice. Jakiż byłby z niego pryncypialny komunista! Znało się takich. Z szacunkiem, ale z daleka! (10.08.2006)

Wokół tolerancji

Po małego kuzynka przyjechał jego wujek i mam spokój. Trzydziestoparolatkowie, ich roczne dziecko... tam. Ona - Niemka, jeszcze z NRD, podkreśla to sama. Pytam, jak ma na imię syn. Jan - odpowiada. A tam? Też Jan. Coraz piękniej mówi po polsku.

Przemili ludzie i akurat ta berlińska wystawa Związku Wypędzonych, przypominająca o „krzywdzie” Niemców, tubylców sprzed Odry w 1945 roku. Oficjalna reakcja Polski: „ta wystawa nie służy pojednaniu polsko-niemieckiemu”. Spina, jątrzy. I tak w koło Macieju.

Paranoja. Nie mogę pojąć, co mają do tego stosunki polsko-niemieckie, dlaczego bierzemy na siebie jakąkolwiek odpowiedzialność za wysiedlenie Niemców? Nie przesadzajmy, odpuśćmy tym kilkunastu Polakom, którzy szli razem z niezwyciężoną Armią Czerwoną!

Sam urodziłem się na nowych dla nas ziemiach, kilkanaście kilometrów od starej granicy, i pamiętam dobrze, że jeszcze dwadzieścia lat po wojnie Polacy budowali się - jeśli mieli wybór - tylko po polskiej stronie. Czy z obawy, że Niemcy wrócą, czy może bardziej z szacunku dla nie swojego dziedzictwa? Stawiam na to drugie.

Poza tym było kilkunastu Niemców, co nie biegało ze swastykami i cyklonem B, więc niech mają i oni swoją wystawę. (11.08.2006)

„Ogień” Machejka

„Prezydent Lech Kaczyński odsłonił w Zakopanem pomnik Józefa Kurasia „Ognia”. „Ogień” do dziś uznawany jest na Podhalu za postać kontrowersyjną. Jedni uważają go za bohatera, inni twierdzą, że krzywdził zwykłych ludzi i że jego nazwisko nie zasługuje na upamiętnienie. Na Podhalu nie ma ulicy jego imienia, nie było też dotąd jego pomnika”... Tyle relacji medialnych sprzed paru godzin.

Rok w rok, kiedy słyszę o „Ogniu” z okazji kolejnych uświęceń, uśmiecham się. W redakcji „Życia Literackiego”, w której pracowałem przed laty, o „Ogniu” mówiło się nader często. Szczególnie wtedy, gdy nad jakąś publikacją, czy nad całą redakcją z redaktorem naczelnym, zawisało zagrożenie ze strony świeżego nurtu PZPR. „Nie ma strachu, szef nie uląg się „Ognia”, to i z tym da radę” - ironizowaliśmy.

Szef - Władysław Machejek - ciekawa, złożona postać - był po wojnie I sekretarzem PPR w Nowym Targu i swoją potyczkę z „Ogniem” opisał.

Książki Machejka na makulaturze i on sam dawno popadłby w historiozoficzny niebyt, gdyby nie arcybiskup Józef Życiński, który w swoich „próbach pióra” co rusz

przywołuje na pamięć Machejka jako grafomana, anty-literata, anty-redaktora, anty-działacza życia umysłowego i kulturalnego, czyli piekielnika PRL-u. Ciekawe, że Życiński pamięta o Machejku (nieważne co i czy sprawiedliwie), a niemała reszta piszącej inteligencji, której nurt „Polityki" M.F. Rakowskiego nie pasował wtedy, zapomniała, do jakiej dupy właziła.

Przepraszam, nie wiem, czemu u mnie ta d... zagrzmiała. Chyba po skojarzeniu, że wyżej d... nie podskoczysz. Właśnie w Goeteborgu ME w lekkoatletyce i od lat to samo - ludzie skaczą dalej do przodu niż do góry, nawet o tyczce. (13.08.2006)

Przesadzanie myśli

Z żoną przesadziliśmy krzew w ogrodzie. Z miejsca na miejsce. Po co? By sąsiedzi mogli podziwiać jego piękno. Krzew duży, godzinna szarpanina. Zmęczyłem się do krańców możliwości.

Stało się. Krzew zniknął sprzed okna. W nowym miejscu wygląda jeszcze piękniej, ale przestał na dzień dobry cieszyć nasze oczy. Reakcja? Żona poczuła się zła, rozczarowana.

Doszedłem do wniosku, że podobnie jest z pewnymi myślami. Pielimy je, pieścimy, a kiedy podzielimy się nimi z innymi, czujemy się nagle puści w środku, wyprani, osieroceni. Dotyczy to tylko pewnych myśli... (14.08.2006)

Rozkrok

W Krynicy, z Mamą. Akurat w dniu „cudu" nad Wisłą, w NMP, akurat dokładnie w 40-tą rocznicę śmierci Jana Kiepury. A Krynica to Kiepura plus Nikifor plus Kaczyński (po prezydencie i premierze ten trzeci z nazwiska, Bogusław).

Za chwilę, o 20-tej, ku czci Kiepury (i Miry Ziemińskiej-Sygietyńskiej, i zmarłego niedawno Stanisława Jopka - tenora Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze", ojca Anny Marii Jopek, świetnej piosenkarki) wystąpi „Mazowsze" w ramach Festiwalu im. Kiepury. Choć pstrykam prywatne zdjęcie Kaczyńskiemu przy kasie z biletami, najważniejsza wydaje mi się rozmowa z panią Janką Kostałkowską.

Pani Janina przez długie lata PRL-u szefowała Uzdrowisku Krynica. Zasłużyła na miano instytucji. Wierni pracownicy ustawili dla niej ławkę do wysiadywania blisko pomnika Nikifora.

- Czemu pan w rozkroku stoi? - zapytała groźnie. Zgłupiałem. Po chwili wyjaśniła, że względem rozkroku ma swoją teorię: - Pewne zawody, wykonywane długo, pozostawiają ślad w psychice, w umyśle, w sposobie odzywania się. Jako dyrektorce weszło mi w krew zwracanie uwagi innym na najprzeróżniejsze rzeczy.

Przyznałem rację pani Jance. Pomyślałem, że mój zawód pozostawił ślad - rozkrok. Mentalny, też polityczny. I teraz - bez uprzedzenia, cha-cha - wpisuję w pamięć panią Jankę... z laską, na honorowej ławce, niedołężną na starość, z jej teoriami.

I jeszcze przyfestiwalowa szemrania, jak to Ziobro, obecny minister sprawiedliwości, Zbigniew - z Krynicy, chował ojca na krynickim cmentarzu. Klepsydry ukazały się po pogrzebie, aby nie było tłoku.

Jedenaście lat temu opublikowałem w „Gazecie Krakowskiej" reportaż „Kłótliwe fluidy", w którym mocno obsmarowałem pewnego oszołomowatego krynickiego działacza prawicowego. Ówczesne władze miasta bardzo mi dziękowały za realną pomoc w służbie publicznej. Sprawdziłem w zszywce…, to nie było o Z. Ziobrze. (15.08.2006)

Grunt

Otrzymałem zaproszenie „w 30. rocznicę rozpoczęcia studiów w murach szacownej uczelni krakowskiej AGH”, podpisane przez sympatyczny Komitet Organizacyjny Imprezy (KOI). Czyli M. i J., koleżeństwo z roku. Donoszę, że KOI organizuje „jubileusze absolwenckie” co roku, najczęściej w Bieszczadach (blisko ma tam M.), i co roku otrzymuję zaproszenie na spotkanie na połoninach, wysłane pod niewłaściwy, bo podstarzały adres.

Mimo to zaproszenia dochodzą, a ja mam za każdym razem zgryz bolesny. Bardzo chciałbym spotkać się z kolegami, jeszcze bardziej z koleżankami (np. Olą S.), by popatrzeć, które z pań bardziej dojrzały..., ale nie mogę. Nie chcę psuć zabawy swoją obecnością. Czuję się jak kalosz nie do pary w ich towarzystwie.

Zacząłem naukę trochę wcześniej... Studia na AGH rozminęły się kompletnie z moimi predyspozycjami. Co było robić? Ja - inżynierem? Dzięki koleżance Ewie S. z Zawiercia (pamiętam!) dopadło mnie dziennikarstwo, a raczej reportaż. W dzisiejszych uwarunkowaniach rzuciłbym studia techniczne bez żalu, nawet nie wzięliby mnie za karę do woja, ale w PRL-u musiałem zdobyć jakikolwiek dyplom, by dostać etat pismaka.

Zazdroszczę tym z koleżeństwa, którym tytuł inżynierski dał przepustkę do spełnionego życia. Mnie nie dał, bo ja - reporter - niby pszczółka z kwiatka na kwiatek, z tematu na temat, z człowieka na człowieka sfruwam... Dużo ludzi, dużo wrażeń, dużo ludzkich mądrości. Tylko gruntu brak. I bez tego gruntu ciężko mi spotykać się z gruntownie wyedukowanym koleżeństwem inżynierstwem. (17.08.2006)

Szyderczy śmiech historii

Patrzę na swoją książkę z 1990 roku „Złota zagadka Jachniaka” i łzy same cisną się do oka. Ze śmiechu. Bo choć książka wydana szmatławo w Krakowskim Wydawnictwie Prasowym, w broszurowym formacie dla kiosków „Ruch-u”, dla mnie jest książką, nie broszurą - w cenie 550 zł, w nakładzie... 50 tys. egzemplarzy. Wszystko poszło na pniu. To tak śmieszy dziś, gdy nakłady sięgają kilkuset egzemplarzy.

Jeden z podtytułów książki: „Wyznanie gen. Tatara w celi śmierci”. Generał Stanisław Tatar - historyczna postać - opowiedział Władysławowi Jachniakowi, swemu współwięźniowi, bohaterowi mojej książki, historię złotego, przedwojennego Funduszu Obrony Narodowej.

Piszę o tym teraz, bo właśnie przed Wojskowym Sądem Garnizonowym w Warszawie zaczął się proces czterech stalinowskich śledczych, oskarżonych przez pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej o znęcanie się nad wysokimi rangą oficerami wojska, m.in. gen. Tatarem. „Sprawa Tatara” - rzekomy spisek w wojsku - była najgłośniejszym politycznym procesem pokazowym stalinowskiej Polski.

I generałowie, i Jachniak już nie żyją, oskarżeni oficerowie śledczy Informacji Wojskowej przed grobem. - Mój ojciec też był niedołężny i schorowany, kiedy umierał - powiedziała dziennikarzom córka gen. Stanisława Tatara, Hanna, w charakterze oskarżyciela posiłkowego. Dodała, że wobec oprawców ojca oczekuje kar więzienia.

Rodziny innych ofiar oskarżonych nie chciały występować jako oskarżyciele.

Śledczy Informacji nie przyznali się do tortur, pal ich sześć, najgorsze, że przy takiej okazji pani Hanna sprowokowała szyderczy śmiech historii. Dlaczego?

Gen. Tatar był agentem Bezpieczeństwa - bez wątpliwości - według aktualnych norm... Za zdradę, wywiezienie do Polski złota FON z oczywistym współdziałaniem Informacji Wojskowej, UB, otrzymał w Londynie karę śmierci i do końca swych dni nie został zrehabilitowany. Za to w popaździernikowej PRL otrzymał z rąk premiera Józefa Cyrankiewicza Komandorię Polonia Restituta.

Z mojej książki cytat wypowiedzi sławnego z radia „Wolna Europa" pułkownika UB Józefa Światło: „Tatara i towarzyszy aresztowano właściwie tylko dlatego, że Tatar przekazał gen. Komarowi, szefowi drugiego oddziału, pieniądze w walucie, trzy miliony dolarów z funduszu rządu londyńskiego. Oczywiście pieniądze te szły do kasy państwowej, ale Bierutowi i innym nie mogło się pomieścić w głowie, dlaczego on właściwie Komarowi daje pieniądze i za co?".

I to było to pytanie, na które oskarżeni dziś śledczy chcieli „uzyskać odpowiedź" od gen. Tatara... (18.08.2006)

PS. W dn. 19.04.2007 r., decyzją Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie, czterech stalinowskich śledczych Informacji Wojskowej, oddelegowanych do Informacji z UB: Marian Popiołek, Kazimierz Turczyński, Zbigniew Krauze oraz Czesław Świstek, oskarżonych o znęcanie się w latach 1949 - 1952 nad oficerami Wojska Polskiego: generałami Stanisławem Tatarem, Stefanem Mossorem, Józefem Kuropieską i płk. Marianem Utnikiem, w tzw. sprawie Tatara, chcąc zmusić ich do przyznania się do udziału w nieistniejącej organizacji szpiegowsko-dywersyjnej w wojsku oraz działalności agenturalnej na rzecz państw zachodnich (śledztwo nadzorował płk Antoni Skulbaszewski, sowiecki oficer i szef GZI), skazanych zostało na kary od 14 miesięcy do 2 lat więzienia w zawieszeniu.

Wobec Czesława Świstka i Kazimierza Turczyńskiego warszawski sąd garnizonowy orzekł 2 lata więzienia, wobec Mariana Popiołka 1 rok i 3 miesiące więzienia, wobec Zbigniew Krauze 1 rok i 2 miesiące. Sąd zawiesił wykonywanie wszystkich kar więzienia na okres od 4 do 5 lat. - To wyrok symboliczny - powiedział sędzia Piotr Raczkowski. - Sąd za okoliczność łagodzącą przyjmuje wiek oskarżonych, to, że minęło ponad 55 lat, i to, że byli tylko wykonawcami mechanizmu terroru, w który zostali uwikłani.

Są to łagodniejsze wyroki, niż domagał się prokurator z pionu śledczego IPN Piotr Dąbrowski, który w mowie końcowej uznał metody śledczych za zbrodnię komunistyczną i domagał się dla nich bezwzględnych kar więzienia od dwóch do trzech i pół roku. Oskarżeni nie przyznali się do winy i poprosili sąd o uniewinnienie.

- Ten wyrok byłby zemstą, gdyby ci panowie zostali zamknięci w celach tak jak mój ojciec. Tak się nie stało, i to też daje mi satysfakcję - mówił dla prasy Roman Mossor, syn generała. - Wyrok jest słuszny, nie będę się odwoływać - skomentowała córka gen. Tatara - Hanna, oskarżycielka posiłkowa w procesie.

Wiele kropel

A w prasie cała prawda o laniu wody. Rzetelnie o sprzedawanych wodach mineralnych. Po własnych analizach jestem fachurą w tym temacie. Byłem wśród dziennikarzy Stowarzyszenia Krajowy Klub Reportażu, goszczonych w połowie marca tego roku przez producenta „Kropli Beskidu", czyli Coca-Colę. Widziałem wszystko: beskidzkie źródła, ich ujęcia w lasach, firmowe laboratorium, produkcję i ciśnieniową wytrzymałość butelek... Gospodarze obnosili dumę z siebie, a najbardziej z marketingu i reklamy. Cieszyła się młoda menedżerka, która wymyśliła nazwę wody. Że ta nazwa taka udana, chwyciła, czysto się kojarzy. Pijmy dużo, nie jedną kroplę. (21.08.2006)

Wadliwy zawias

Po wstawieniu okna wadliwy okazał się zawias. Reklamowałem. Minęło siedem tygodni i nic. Dzwoniłem do firmy jak dziad do obrazu, a oni do dziada ani razu. Napisałem dziś skargę do centrali, do fabryki okien, by spóźnialskich przywołano do porządku.

Nie lubię skarżyć. Bo pisma wyłuskują czas, potem męczą te nieprzyjemne spotkania i rozmowy.

Po co napisałem, no, właśnie, po co? W nadziei, że skarga przyśpieszy wymianę zawiasu? Przecież w głębi ducha w to przyśpieszenie nie wierzę.

Z chęci dokopania komuś? W głębi ducha w to dokopanie nie wierzę.

Więc dlaczego?

Napisałem, ponieważ poczułem się urażony. Przydeptano mój honor. Że ja do nich jak dziad, a oni ani razu. To było silniejsze niż sama sprawa naprawy zawiasu, niż potrzeba zemsty, niż organiczna niechęć do skarżenia się.

Imperatywu honoru często nie doceniamy w życiu. Zapominamy, jak jest ważny, a potem przestajemy rozumieć rzeczywistość najbliższą i społeczną. Niczym nie różni się honor mój, honor bliskiej osoby w rodzinie od honoru obcego człowieka, choćby takiego działacza w polityce. To podeptany przed laty honor - konkluduję więc - a nie chęć naprawy czegokolwiek, przykładowo państwa, napędza dzisiejszych budowniczych Rzeczypospolitej z bogoojczyźnianą triadą „Bóg - Honor - Ojczyzna”. (22.08.2006)

Rozbity układ

Rozbito Układ Słoneczny. W Pradze elita światowych astronomów postanowiła właśnie wykluczyć Plutona z grona planet. Bo taki mały, mniejszy nawet od Księżyca, nie pasujący do reszty ze swoją jajowatą orbitą.

Niby nic nadzwyczajnego. Wszystko wiadomo od lat, że tę kosmiczną pięść lodu, odkrytą przez Amerykanina, uhonorowano mianem planety na wyrost w okresie wyrastania Ameryki na mocarstwo. Do tego ten pierwszy amerykański odkrywca ciał niebieskich, C. Tombaugh, ochrzcił Plutona na cześć psa Pluto z Disneyowskiej kreskówki.

Wyrastałem, patrząc w gwiaździste niebo, i nie mija mi fascynacja kosmosem. Bo stamtąd przecież spłynęła filozofia, religia... Rozbijamy układ, nie wiedząc tak naprawdę, czy będzie nam lepiej bez Plutona.

W naszym kraju najważniejsi politycy prawicy też rozbijają układ - postsowiecki, postkomunistyczny. Rodzi się z tego powodu sto dowcipów, że astronomom się udało, a Kaczyńscy tylko Księżyc ukradli (gdy poeta Czesław Miłosz usłyszał po raz pierwszy parę lat przed śmiercią, że bracia Kaczyńscy grali w dzieciństwie w filmie „O dwóch takich, co ukradli Księżyc”, przez pół godziny nie mógł powstrzymać się od śmiechu).

Dla dobra społeczeństwa powinno się oceniać ludzi przez pryzmat ich przydatności dla ogółu, a nie aktualnych kanonów ideologicznych, dawnych czy świeżych win i zasług. Za wielkie marnotrawstwo przestrzeni i energii społecznej uważam wykluczanie z zawodowego życia ludzi grzesznych, acz wartościowych. Owo marnotrawstwo to grzech wielki.

Księżyc odsuwa się od nas o cztery centymetry rocznie, w końcu przezwycięży przyciąganie Ziemi i odfrunie w dal z Panem Twardowskim i braćmi Kaczyńskimi. Ani ich będziemy widzieć, kiedy dorośnie nowe pokolenie w miejsce atakowanych postkomunistów, byłych bezpieczniaków i agentów, aparatczyków PZPR, księży i szarych obywateli, skuszonych przez bezpiekę, antyklerykałów hetero... i jajogłowych, napiętnowanych zbiorowo, choć człowiek człowiekowi nierówny...

Ktoś policzył, kiedy Księżyc zniknie. Czy dopiero wtedy dostrzeżemy kosmiczną stratę? A kiedy pożałujemy stratę dorobku i energii budowniczych tamtej Polski, żyjąc w nowej ortodoksji ze skorupami rozbitego układu? (24.08.2006)

Grzech ortodoksji

Zarząd wydawnictwa zwolnił z pracy dziennikarza gazety, kiedy okazało się, że był on donosicielem SB. Wiceprezes zarządu przypomniał w „Faktach” TVN, że dziennikarstwo to zawód społecznego zaufania...

Nie znałem tego dziennikarza. Znam, znałem prezesa zarządu, wiceprezesów... Pracowałem w tej gazecie.

Kiedy 13 grudnia 1981 roku rzuciłem bohatersko... swoją półtoraroczną legitymację PZPR, dzisiejszy prezes, a ówczesny aktywny działacz redakcyjnej Podstawowej Organizacji Partyjnej, na burzliwym zebraniu zagłosował za dyscyplinarnym wykluczeniem mnie z PZPR... z powodu złożenia legitymacji. W tamtych realiach oznaczało to zwykle wyrzucenie z pracy i z zawodu. Tylko dwie osoby wstrzymały się od głosu, sprzeciwów nie było.

Nie mam pretensji, mam to gdzieś. Starsi koledzy spoza POP, jak Bruno Miecugow, dowcipkowali wtedy, że nie mogą być tak bohaterscy, bo nie mają czym rzucać...

W amoku lustracji, rozbijania tzw. postkomunistycznych układów, nikogo dziś nie interesuje, czy dziennikarz skrzywdził kogoś. Pytam, czy zwolniono by go z pracy, gdyby ćpał albo bił żonę? Panowie prezesi....? Macie czelność twierdzić, że jesteście kryształowi? Apeluję o oprzytomnienie i uruchomienie wyobraźni. Funkcjonariusz SB też mógł być porządnym człowiekiem, a sztandarowy działacz „Solidarności" złodziejem i gnidą.

Wyrzucanie ludzi poza nawias życia z powodów politycznych to grzech ortodoksji tak samo ciężki dziś, jak kiedyś. Dziś każe się za uległość przed laty komunistycznym układom, dawniej karano za brak tej uległości. (25.08.2006)

Nie na śniegu

Rano skosiłem trawnik, a wieczorem obejrzałem w TVP konkurs skoków narciarskich w Zakopanem - na trawie. Małysz wciąż dobry. A przecież narty służą do jazdy po śniegu! To tak, jakby urządzić turniej piłki plażowej na śniegu albo wyścigi rolkarzy na lodzie. Choć czemu nie? Może i tego doczekam. (26.08.2006)

Zło krzyku

W telewizji nocnej film kanadyjsko-amerykański „Hitler - narodziny zła". Normalnie spałbym już, bo nie należę do nocnych marków, ale temat filmu mnie ustrzelił. Rodzenie się zła społecznego, narodowego... Za podjęcie tych kwestii należy się twórcom uznanie.

Oczywiście pejzaż tamtych Niemiec, oczywiście komiksowa charakteropatia Adolfa. I tylko potwierdzenie mojej tezy, że do ruszenia mas wystarczy zapalczywy krzykacz.

Gdy waliła się komuna i rugowano pezetperowców, przywiozłem z wyjazdu reporterskiego mądrość pewnego postpartyjnego wójta. Mądrość ta brzmi: w gminie liczba ludzi aktywnych społecznie jest stała bez względu na ustrój. W redakcji mój szef, gdy mu to powiedziałem, bardzo się ucieszył. Będąc człekiem aktywnym, uznał, że przetrwa.

Nie ma za wielu ludzi aktywnych, jeszcze mniej rodzi się energicznych krzykaczy. Jeśli wychynie krzykacz nad krzykacze - to każdy naród złem zasmrodzi. (28.08.2006)

Olkuskie rumieńce

Wiadomość o wypadku śmiertelnym w kopalni „Olkusz-Pomorzany". Wzmianka dzisiejsza, a dla mnie wspomnienie.

Przez ostatnie trzydzieści lat przejeżdżałem tamtędy nie raz i za każdym razem sentymentalnie. „Olkusz-Pomorzany" - to mój pierwszy obszar prawdziwej penetracji reporterskiej.

Byłem początkującym studentem i początkującym dziennikarzem studenckiego tygodnika „Politechnik". Wyjechałem w pierwszą delegację. Wyglądałem jak licealista: skromny, grzeczny. Zmagałem się z rumieńcami na policzkach. W Olkuszu przyjmowano mnie - „pana redaktora" - jak Pana Boga. W połowie lat siedemdziesiątych mir i poważanie

towarzyszyło słowu „prasa”. Hej, towarzyszyło... Bo to niby prasa kontrolowała, przekazywała informację z dołu do góry...

Niczym w „Rewizorze” Gogola... mnie - nieobytego na salonach władzy - przyjmowali wszyscy dostojnicy powiatowi. Pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR zaprosił do gabinetu: - Jak się Wam w kopalni podobało? Trudna, prawda? Czego się napijecie? - Ale ja jestem sam! - wypaliłem, nie wychwytując formy partyjnej mowy.

Myślałem, że ze wstydu schowam się pod stół. - Tak, trudna i niebezpieczna - potwierdził towarzysz sekretarz. - Napijecie się kawy czy herbaty?

Pierwszy raz w życiu opublikowałem duży reportaż pod własnym nazwiskiem. Wcześniej chowałem się wstydliwie pod pseudonimem Krzysztof Jalski. Z czołówki poszły „Olkuskie oczekiwania”. Z podtytułami: „Na lepsze”, „I dostatnie”, „Życie”. Tytuł do wzięcia i dziś. (29.08.2006)

Skok do www

Pobawiłem się swoją stroną www. Pozmieniałem coś tam, kolorki. To wciągające. Pomyślałem, jakiegoż to ja skoku technicznego dokonałem w życiu! Co prawda z kodami stron na mojej witrynie w republice.pl działam na zasadzie kopiuj - wklej - i kombinuj do skutku, mimo to osiągam rezultaty, że ho-ho...

Zaczynałem pisać artykuły prasowe ręcznie, czyli długopisem po papierze. Ileż było w pisaniu ręcznym czucia, bliskości, miłości, mazów, cyzelowania słów... Potem biegłem do redakcji i przepisywałem tekst na maszynie do pisania. Starsi koledzy wyręczali się sekretarkami. A potem cięli nożyczkami takie maszynopisy na fragmenty i sklejali w nowej jakości...

Gdy miałem maszynę już w domu, nadal pisałem ręcznie. Na maszynie tylko przepisywałem. Waliłem w klawisze z siłą zależną od humoru, weny, drżąc, by na stronie nie popełnić więcej niż pięciu literówek. To była redakcyjna norma estetyczna; gdy na stronie trafiał mi się błąd szósty, przepisywałem stronę od nowa, oczywiście przez kalkę, żeby pozostawić coś sobie.

No i pewnego dnia, chyba w 1991 roku, w domu zawitał komputer. Dalej pisałem na maszynie. Komputer stał, a ja nie mogłem zrozumieć, po co mi on. Zawiła „instrukcja obsługi”. Włączenie do prądu, hałas, jakieś komendy, które skupiały uwagę bardziej niż pisane zdanie. Zamiast myśleć, co pisać, zastanawiałem się, jak.

Maszyna: cichutka w czasie zbierania myśli, naturalna, nie zawodząca. Wystarczyło wkręcić kartkę i dostawało się to, co chciało.

Komputer stał rok! Po roku zdecydowałem się na jakąś naukę. Te teksty - owoc wielodniowej pracy przy komputerze - nieopanowane graficznie albo pokasowane przez brak biegłości w obsłudze. Niech to szlag!

Dzisiejsza młodzież nabywa automatyzmu w obsłudze komputera w kołysce, mnie zajęło to wiele czasu. Ale załapałem się na XXI wiek. Skończył się sentyment do maszyny do pisania, zaczął do www. (30.08.2006)

Fakty, nie oceny

Pewien pan, którego nazwiska nie wymienię, bo nie wiem, czy życzyłby sobie tego, powiedział słusznie, że liczą się fakty, bo są trwałe, a oceny się zmieniają. Dlatego trzeba gromadzić fakty ku pamięci pokoleń. Słowa te to miód dla serc takich starych reporterów jak ja w kontekście rocznicy Porozumień Sierpniowych 1980 i „Solidarności”.

Takiego zakłamania tego wydarzenia, inspirowanego - nie mam złudzeń - przez „tych dwóch, co ukradli Księżyc”, nie było nigdy. Nie chce mi się nawet dotykać tych inspiracji, bo

- oceny się zmieniają - i ufam, że wizja świata ludzi niskich, ograniczonych, zniknie za horyzontem razem z ich chorą od jadu „IV Rzeczypospolitą”.

Byłem członkiem tamtej „Solidarności”, i PZPR, biegałem po strajkach, głodówkach jako reporter i zwalczałem piórem kretyńskich oszołomów, pchających wtedy ludzi do krwi. A dziś ci politycy, którzy w Sierpniu nic nie znaczyli, ten trzeci i czwarty garnitur działaczy, dorwał się do władzy. Rozmawiałem z wieloma, z obu stron barykady. Napisałem sporo, bo czas był mój.

Fakty są takie: 1) gdyby nie antykomunistyczna obsesja takich ludzi, jak dzisiejsi rządcy, nie byłoby stanu wojennego; 2) przed 1989 panował całkowity marazm społeczny i politycy nielegalnej opozycji i odnowiciele PZPR starali się z trudem pobudzać ludzi do politycznej aktywności; 3) inicjatorami Okrągłego Stołu byli reformatorzy PZPR, którzy chcieli Polski socjalistycznej w prawdziwym tego słowa znaczeniu; 4) twórcami wolnej Polski byli w równym stopniu czołowi działacze ówczesnej opozycji, jak i socjaldemokratycznego skrzydła PZPR, wespół z Jaruzelskim, ubecją i pierestrojką w ZSRR.

Czy dożyję chwili, kiedy te fakty zwyciężą fałszywe oceny? (31.08.2006)

Warto to wyjechać

W radiowej „Trójce” sonda telefoniczna: „Czy warto być Polakiem?”. Uszom nie wierzyłem z rana ani rozumowi. Co odpowiedzieć na rzucone tak pytanie? I padały odpowiedzi głupkowate, oboczne, powierzchowne. Że warto, bo Polacy są sprytni, poza tym gościnni, albo że warto to wyjechać.

Nie mam ochoty zastanawiać się, co odpowiedziałbym sam, pewnie jeszcze głupiej. Bardziej intrygowała mnie zagadka, skąd taka kwestia strzeliła komuś w redakcji do głowy.

Po paru godzinach skojarzyłem. Usłyszałem powtórkę przemówienia obecnej głowy państwa z okazji kolejnej rocznicy Września. Głowa państwa nigdy nie zapomni ofiar wojny, wtedy warto było być Polakiem, bo bez tego nie mielibyśmy wolnej Polski. Czyli - tłumacząc zdroworozsądkowo - warto było coś zrobić kiedyś, zachować się patriotycznie, by mieć dziś Polskę.

To jasne i piękne, czy prawdziwe? Ktoś w radiu z redaktorów przeniósł tę myśl w szarugę obecnego dnia. Jeśli nawet można by z tego coś wycisnąć, to nie w formule pytania w czasie śniadania. I jak tu nie winić dziennikarzy o całe zło? (1.09.2006)

Szkoda lata

Niedziela. Ciepła, pogodna. Piosenka Andrzeja Boguckiego „A mnie jest szkoda lata” zawsze przy mnie o tej porze roku. Moja nostalgia zaczyna się już w okolicach kalendarzowej Anki, od której zimne poranki..., co wywołuje usprawiedliwioną furię najbliższych.

A teraz wino pnie się najbujniej, widziane pod słońce, z bujanego hamaka, chyba ostatni raz. *Jesień, owszem, jest piękna, bogata, bardzo urozmaicona i pełna kolorów,* ale *gdzie, gdzie jesieni do lata, do lipcowych, sierpniowych wieczorów*... Cha, cha, słusznie?!

Pieśniarz dziadków, Bogucki, proszący swą żonę o poziomki. W jesieni? - żona oburzona. Więc on: *a mnie jest szkoda lata i letnich złotych wspomnień.*

Rycerz spod Grunwaldu też zjadłby poziomki. Teraz nie ma - kobieta woła. Jemu też szkoda lata.

Człowiekowi z jaskiń na hamaku z lian zamarzyły się poziomki. Troglodyta kręci głową, że szkoda lata: *niech mówią głupi o mnie, a mnie jest żal!*

My nie zmieniamy się. Wszystko wokół - tak, ale my w duchu nie, choć zrzuciliśmy w ewolucji futro i ogony. To ważna uwaga, z której niektórzy filozofowie wyciągają wnioski, co było pierwsze: świat czy my.

Jako ludzie czuliśmy kiedyś i czujemy teraz tak samo, kiedy *...za oknem szaro, smutno, a jeszcze przed miesiącem pogoda, zieleń, słońce, naprawdę żal...* Cha, cha. (3.09.2006)

Co Jaś, to Jan

Na inauguracji roku szkolnego w szkole syna. W szkole tej o mundurkach mówiono wcześniej niż w Ministerstwie Edukacji, więc nie odbieram politycznie zamiaru dyrekcji umundurowania uczniów. Dla kilkunastolatków zawsze było i jest ważniejsze to, co koleżanka czy kolega mogą mieć, niż to, co akurat mają na sobie, pomijając już, że do skromnego fartuszka ci „ładowani" zawsze coś dodadzą, na przykład adidasy, warte ze dwa zasiłki dla bezrobotnych.

Czemu jestem przeciw mundurkom, fartuszkom, jednakowym t-shortom...? Nosiłem mundurek, kiedy na ścianie szkolnej, tam gdzie wisi dziś krzyż, widniał portret młodego Gomułki (za starego Gomułki już nie musiałem nosić, jeśli dobrze pamiętam). Tarcza szkolna na rękawie, włosy krótkie, nie dotykające kołnierza, z obowiązkowym wycięciem nad uszami. Miałem odstające uszy.

Dla kolegów z przylegającymi uszami wizyta u fryzjera nie stanowiła problemu, dla mnie była jedną wielką traumą. Uraz ten pozostał mi na całe życie.

Tak urósł we mnie bunt przeciwko wszystkim - nie tylko szkolnym - rygorom, szczególnie nakazom bezsensownym jak wycięcie nad uszami.

Każda sztanca: jednakowa fryzura, taki sam mundurek, zeszyty z marginesami... godzi w niedopasowanych, strzyże indywidualizm. Oczywiście, tym fizycznie i psychicznie dopasowanym jest łatwiej, ale z punktu widzenia makro, w którym chodzi o wykorzystanie wszystkich obywateli dla dobra wspólnoty, stratą jest wychowywanie ludzi z urazami, wyrównywanie nierównych.

Z tego, co mi wiadomo, to nie wymyślono korzystniejszego dla rozwoju społeczeństw systemu niż demokracja, czyli takiego układu stosunków, w którym generalnie wszyscy ludzie, bez względu na rasę, ubiór, seksualność, odstające uszy, chcą wspomagać tę wspólnotę, są ZA. Wyznaję pogląd, że szkoła winna uczyć demokracji - czynami nie hasłami - bo zgodnie z przysłowiem: czego Jaś się nie nauczy, Jan umieć nie będzie...

A demokracja to różnorodność, barwność, tolerancja, bycie ZA - nie mundurki. Mundurki demokracji nie uczą. (5.09.2006)

PS (13.06.2008): Sejm (nowy, premierem Tusk) przegłosował dziś zmiany ustawy edukacyjnej, znosząc obowiązek umundurowania uczniów, pozostawiając tę sprawę w gestii szkół.

Akt ekspiacji

Rządząca partia Prawo i Sprawiedliwość ma w jesiennych wyborach wysunąć kandydaturę szefa krakowskiego Instytutu Pamięci Narodowej, prof. Ryszarda Terleckiego, na prezydenta Krakowa. Główny lustrator regionu na prezydenta! *Signum temporis*.

Terlecki rozpoczął karierę inkwizycyjną, denuncjując w prasie swego ojca jako współpracownika SB. Z pozycji historyka, badającego akta SB, zatrudnionego w IPN, opublikował spory tekst o ojcu, nie żyjącym już red. Olgierdzie Terleckim, wziętym pisarzu historycznym, żołnierzu armii Andersa, więźniu sowieckich łagrów. Artykuł czytałem trzy lata temu z wypiekami na twarzy, a moją gorączkę nie powodowały ujawnione fakty, lecz postawa syna. Wydrukował się nie w wewnętrznym obiegu broszur historycznych, lecz w wielonakładowej „Rzeczpospolitej". Dlaczego?

Publicznie odciął się od ojca niczym legendarny Pawlik Morozow, ponieważ państwo, które z całą świadomością buduje jako lustrator, każe dzieci za winy rodziców. Bez tego aktu ekspiacji jego środowisko polityczne skreśliłoby go ze swego grona.

Zlustrowany ojciec, red. Olgierd Terlecki..., był moim starszym kolegą. Tak, znaliśmy się. Pracowaliśmy w jednej redakcji „Życia Literackiego", w jednym pokoju, w którym stały biurka kilku znanych osób, z biurkiem poety Tadeusza Śliwiaka na czele, a wcześniej Wisławy Szymborskiej. Wszyscy czuliśmy podskórnie, co jest grane. Kiedy red. Terlecki wchodził, prowadzone rozmowy tyczyły wyłącznie poezji...

Dam sobie uciąć rękę, że szef redakcji Władysław Machejek (który i „Ognia" się nie bał - patrz blog z 13.08.2006) wiedział o Terleckim więcej niż on sam i ta wiedza promieniowała... Machejek miał SB w garści! SB nie śmiałoby nie powiedzieć Machejkowi wszystkiego o jego dziennikarzu. Taki to był układ u nas.

Red. Olgierda Terleckiego zapamiętałem z ciepłej, serdecznej strony. W chwili szczerości powiedział mi bez ogródek: „Wie pan, z pana to nic nie będzie". Wtedy pomyślałem, że ma mi za złe, że w tej redakcji gram tylko w szachy z red. Stefanem Ciepłym, zamiast pisać, ale teraz, gdy rodzony syn zrobił z niego niebezpiecznego agenta..., nie do końca wiem, o co mu chodziło.

Z pewnością dziś, gdyby żył, w wyborach na prezydenta Krakowa zagłosowałby na syna - z dumą, ze zrozumieniem praw historii, bez dąsów za zadenuncjowanie. Bo takim było to odchodzące pokolenie ojców.

Z Pawlika Morozowa - lustratora ojca kułaka - propaganda bolszewicka uczyniła męczennika, podając, że rodzina Morozowów dokonała na nim samosądu. Przypominam o tym, nie życząc takiego losu synowi śp. Olgierda. (6.09.2006)

Groźne pchełki

Środa sportowa. Wygrywam z synem w ping-ponga. Ciut-ciut. Jak długo jeszcze? W tenisa nie mam już szans. Przegapiłem ten moment, tę chwilkę, kiedy mogliśmy grać jak równy z równym. Przed dwoma laty poradziłem sobie, no, ale od tego czasu... przepaść!

Sport jest obecny w moim życiu niejako z automatu, bezwiednie, niby przeźroczysta tkanina. Nie musi się przecież wytężać umysłu, by go chłonąć. Tak, prawdę mówiąc wysiliłem umysł raz, aby nie zostać kibicem... wszystkich sportów, jakie obecne są w telewizjach.

Kiedyś groziło mi coś takiego i przestraszyłem się. „Sportowo" grałem w pchełki - takie plastykowe, kolorowe krążki, wstrzeliwane do miseczki - i urządzałem dla nich ogromnie czasochłonne turnieje, zapisywane przeze mnie w tabelach, dokumentowane wykresami. Najlepsze były kolory: niebieski (Borg), czerwony (Connors), żółty (Vilas), zielony (Nastase)...

Powiedziałem o tym znajomemu psychiatrze. Popatrzył na mnie jakoś dziwnie. Poradził, bym natychmiast przestał. Posłuchałem i faktycznie, ulżyło mi.

Postanowiłem śledzić tenis, co oczywiste, bo to sport, obecny w moim życiu od czasów Fibaka. Też siatkówkę, od kiedy przemówiła do mnie ekspresja gry i uroda siatkarek trenera Andrzeja Niemczyka (wróciły właśnie z Azji na tarczy, pokłócone z nim). Wybrałem sporty z istotną częścią irracjonalizmu. Takie mianowicie, w których można zdobyć w grze więcej punktów niż konkurent i przegrać.

Dziś zamęczają ludzi piłkarze nożni w eliminacjach do Mistrzostw Europy. Szczęściem odprężą mnie szachy w internecie, które zastąpiły pchełki... Tylko że ten psychiatra z dawnych lat wyprowadził się i nie jest już moim znajomym. (7.09.2006)

Słowo, nie oko

Poleciało w radiu: „Pożar na atomowym okręcie podwodnym „Daniił Moskowskij" na Morzu Barentsa, dwie osoby zginęły, obecnie okręt holowany jest do bazy koło Murmańska. Teraz łączymy się z naszym reporterem"...

Pierwsze skojarzenie: skoro się łączymy, to reporter jest tam, na okręcie... Boże, a może to taki „Czerwony Październik" z Seanem Connery!

Lecz nie. Reporter siedział w Moskwie, dwa tysiące kilometrów od wydarzenia, ciepło mu było. No i wiedział tyle, co internauta, wchodzący w serwisy agencyjne.

Przecież to śmieszne.

Widzimy codziennie, jak ważny człowiek z innym ważnym człowiekiem rozmawia w rządowym albo innym budynku, a reporterka czy reporter stoi za płotem, na chodniku, i informuje. Czasem deszcz, czasem mróz, a redakcja każe jej czy jemu stawać pod parasolem, choć tam przecież mniej wiadomo, co mówią ważni, niż w studiu z komputerami.

Czemu każe? Aby pokazywać kłamliwie, że stacja podaje informacje z pierwszej ręki. Reporter w Moskwie i ten pod płotem ma do wydarzenia bardzo daleko, tworzy jednak iluzję uczestnictwa w nim. W ten sposób media budują swoją wiarygodność.

To nic nowego... Tak było zawsze, jeszcze za reportażu pisanego Wańkowicza (dziś imieniny Melchiora) czy Ryszarda Kapuścińskiego, który przecież do „Cesarza" nie zbierał wieści po pałacach, lecz w barze z dobrymi trunkami. Och, ci współcześni reporterzy wojenni, nie wychodzący (i słusznie!) z luksusowych hoteli!

Kłamstwo na kłamstwie... Jako reporter wpisywałem się w to kłamstwo z premedytacją. Miałem zasadę: gdy chciano mi pokazywać hale fabryczne czy sporne miedze, mówiłem od razu - opowiadajcie! Potem wszystko obejrzę. Słowo było dla mnie ważniejsze niż oko.

Nie chciałem oglądać kucia hutniczych kęsków, bo moje niefachowe oko dojrzałoby mniej niż oko hutnika. Ucho zaś nie! Chciałem pokazywać rzeczy kompetentnie, nie powierzchownie, więc słuchałem. Działałem w dobrej wierze.

Potem pisałem: widziałem to i to. Bo takiej formuły chciał odbiorca mediów. Chciał i chce. Chciał i chce być okłamywany. Nie śmieje się z reporterów za płotem, tysiące kilometrów od Morza Barentsa.

Nie dałbym się chyba postawić bez sensu na chodniku jak strach na wróble. Nadstawiłbym ucha..., bo nad „Daniiłem Moskowskim", uzbrojonym w pociski manewrujące RK-55 „Granat" oraz torpedy „Szkwał" i „Wodopad", patronat honorowy sprawuje Patriarchat Moskiewski Cerkwi Rosyjskiej. O, to byłby temat dla mnie, gdybym tam, pod Murmańsk, trafił. Bo takie tematy z nawarstwiającymi się symbolami - ukochanymi przez reportaż literacki - chwytałem z marszu. (8.09.2006)

Placu opluwanie

Dramat rodzinny „Plac Zbawiciela" (reż. Krzysztof Krauze) wszedł właśnie na ekrany kin, a ja zastanawiam się nad nieuchronnością skojarzeń. Ileż wokół nazwy tego placu w Warszawie narosło myśli i przekomarzań przez lata. Gdyby nie tytuł, nie zauważyłbym filmu, sorry.

Gdyby nie nazwa placu, mój reportaż, drukowany w 1981 roku - kto wie - może byłby o czym innym. Nazwa placu zdeterminowała moje widzenie i tekst. Musiałem dać mu tytuł „Plac Zbawicieli".

To była ironia, bo wtedy przy Placu mieli swoje lokale dwaj „zbawiciele" polskiego dramatu politycznego: radykalni działacze mazowieckiej „Solidarności" z Adamem Bujakiem z jednej strony i radykalni komuniści z Albinem Siwakiem z drugiej.

Po rozmowach z nimi skonfrontowałem wtedy na „nie” obie wizje polityczne, szukając trzeciej drogi. I tą trzecią drogą Polska poszła..., szczęśliwie się tak złożyło, z Bujakiem.

Albina Siwaka, ikonę tamtego, komunistycznego betonu w najwyższych gremiach PZPR, z zawodu murarza z krwi i kości, zapamiętałem z niechęci do inteligencji. Nie mogło mu się w głowie pomieścić, że ludzie, którzy w Polsce Ludowej mieli możliwość kształcić się, porobić doktoraty, podostawać profesury, mogą tak tę Polskę Ludową opluwać...

I pewnie mu się to w głowie nie pomieści nawet na łonie Zbawiciela. (9.09.2006)

Za chwilę... Majdzik!

Zobaczyłem w TV znaną mi osobę, która występowała w charakterze współautora senackiego projektu ustawy dekomunizacyjnej, wedle której byli wysocy funkcjonariusze PZPR oraz pracownicy i współpracownicy bezpieki nie mogliby pełnić kierowniczych funkcji w administracji państwowej i samorządach.

Wiedziałem od razu, że to żadne współautorstwo, ale autorstwo pełne. Osoba ta - Ryszard Majdzik - wystąpiła w charakterze przewodniczącego jakiejś Grupy Inicjatywnej „Polonia bez agentów”, której ekspertem jest Antoni Macierewicz, znany minister.

Majdzik gościł mnie w swoim domu w połowie lat dziewięćdziesiątych. Z wizyty tej narodził się reportaż. Dałem mu tytuł: „Majdzik bez przydupników”.

Redakcja „Gazety Krakowskiej”, w której wtedy pracowałem, przestraszyła się tekstu, tonu konfrontacji. Historia reportażu miała swój ciąg dalszy, ale nie o to chodzi w tym miejscu. Przypomnę za to euforyczną atmosferę odzyskiwania wówczas wolności i demokracji w kraju.

Sięgnąłem po ten tekst dzisiaj - po tylu latach doświadczeń w demokratycznym rządzeniu - i cytuję go *in extenso*, by wskazać, o co chodzi w dzisiejszej polityce:

„Czuło się, że Majdzika nie zgorze. Wyrośli z „soli”, domorośli uzdrawiacze PRL-bis mijali, mijali. Majdzik nie minął.

Wobec Majdzika popełniono grzech zaniechania. No przecież mógłże sobie Majdzik siąść i nie przeszkadzać - kalkulowano. Lecz nie! Hemorojdy czerwone. Polityczne. Nie pozwoliły popuścić. Majdzika zaniechano piórem, lękliwie spuszczając głowę przed radykalizmem. Majdzik głowę nosi wysoko.

W PRL było tak: Majdzik podskoczył, to Majdzika pałą. Majdzik rzekł, co mu tam w głowie zaświtało, to Majdzika za kratki (...).

1981 rok - spotkanie Wałęsy na Rynku w Krakowie. Tu Kaziu Świtoń, tu Mazowiecki. Tu Jurczyk. I dziecko komunizmu Gil. To ulubione powiedzonko Majdzika: „dziecko komunizmu”. Dziecko komunizmu Gil, dziecko komunizmu Jurczak, dziecko komunizmu Nowak... Tylko Majdzik nie jest dzieckiem komunizmu. Bo dzieci komunizmu to miały wedle Majdzika polecenie rozwalać „Solidarność”. Więc dalej ze zdjęć: Alina Pieńkowska z Gdańska, Andrzej Borzęcki jak Majdzik: członek Prezydium MKZ w Krakowie, potem ZR „Małopolska”. Elita „Solidarności”. Założyciele.

Zdjęcia. Delegacja Małopolski na I Zjazd „Solidarności” w Gdańsku. On w „ogrodniczkach”. Dużo serdecznych przyjaciół: doktor Kutyba - bardzo pozytywna postać dla Majdzika, Stefan Jurczak - bardzo niepozytywna postać dla Majdzika. Bo Jurczak, internowany do Iławy, rozmawiał z ubekami. Podczas gdy Majdzik nie. Z zasady. Jurczakowi oferowano, że jeśli pójdzie na układy z komunistami, z tą zbrodniczą mafią pezetperowską, i wyrzucą z Prezydium cztery osoby, w tym Majdzika - to ubecja popuści. „Solidarność” Małopolska będzie mogła działać przykładnie, wzorcowo dla Polski. Jako wzorzec dogadywania się. Jurczak mówił, że nie zgodzili się. Ale sam fakt, że chodził do ubeków i

rozmawiał... Nie powinno rozmawiać się z wrogiem. Jurczak jeździł na przepustki - to też jasne - miękka dupa. Bo Majdzik - rozgłaszający powyższe bzdury - to twarda dupa.

Zdjęcie. Jest Dziewulski od plastyki, Znów Gil - dziecko komunizmu. Ten to złożył legitymację PZPR do depozytu. Majdzik nie daruje. Przezywali go „depozytowy Gil". To znaczy Majdzik przezywał. Pakoński jest. Też bardzo porządny Zbigniew Dulęba. Był w ZR, teraz w „Solidarności'80" (...).

Krzyż historii. Pradziadek Franciszek - *członek socjalistycznej frakcji rewolucyjnej.* Dziadek Zygmunt z Radomska - *pod nadzorem carskiej „ochrany" za kolportaż „Robotnika". Piłsudczyk. W Legionach jako starszy ułan. Jako policjant w Skawinie. Wybrał się z bronią po* Zaolzie (...).

Ojciec Mieczysław handlował papierosami, nosił materiały na budowę obozu w Auschwitz. Wywieziony na roboty do Niemiec. Wrócił z przesyłką dla WiN. A potem to już „odskakiwał" komunistom. Tak mówi sam ojciec Mieczysław z genami po pradziadku Franciszku, dziadku Zygmuncie, które to geny przypadły w udziale także Majdzikowi.

Więc ojciec ważny. Na południe od Skawiny nikt nie przyznawał się do komunizmu. Bali się ojca. Bo on i inni chłopscy synowie przysięgli sobie, że będą zwalczać komunistów do końca życia. Tu ich rozstrzeliwali z wyrokiem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Ojciec aresztowany i skazany (...). Siedział pięć lat.

W oknie domu - *historia. Kiedyś Krzyż katyński. Ojciec Majdzika niósł ten Krzyż na Kalwarię. Ale ubecja świętość zabrała. Młody Majdzik zaczął odsiadywać wyroki w wojsku. Głosił, że po dziadku została mu kartka z Ostaszkowa.*

Halucynacje. W macierzystym „Elbudzie" zorganizował pierwszy strajk, popierający Wybrzeże. Nie przyjmował i nie przyjmuje do związku ludzi skażonych: zetemesowców czy partyjnych jakich bądź. „Ludzie skażeni" - konik Majdzika. Priorytet. Bo wedle Majdzika to *te skażone nurty w „Solidarności" dogadywały się z komunistami.*

Zakłamano historię. Dzieci komunizmu nigdy nie tworzyły „Solidarności" - to Majdzik *prostuje przy każdej okazji. One wchodziły do związku, żeby go opanować. Kontakty i finanse. Im udawało się zawsze coś wydrukować, nie wiadomo gdzie, dziwnym trafem. To Majdzik tworzył „Solidarność"!*

Fałszywi ludzie go wyciszali, eliminowali ludzi radykalnych, nie dogadujących się z komunistami. Znalazł się w szpitalu MSW. Nie chciał leczyć się w takim ubeckim szpitalu, wołał zdechnąć na ulicy. Ale nie zdechł, odwieźli go (...).

Paskudy. Rozbito go. MKZ cieszył się. W „Solidarności" poszli na współpracę z komunistami. I te plewy, te gnidy bolszewickie wyszły na wierzch w 1989 roku. Z bolszewikiem dogadywał się przy czerwonym okrągłym stole bolszewik! Społeczeństwo łatwo nabrać. Majdzika nie!

Elitkę nagłaśniano. I ona zdradziła Polskę przy czerwonym stole. Wałęsa podpisał coś, przyznał się. A dla Majdzika, jeśli ktoś coś podpisał: jak Kaczyński, Korwin - Mikke, Wałęsa - to szmata. Takie szmaty nie powinny rządzić naszym krajem. Bo dali dupy komuniście.

Szwagier, won! Nie chodził nigdy do wyborów. Raz jeden poszedł głosować na Macierewicza, startującego do Sejmu z Krakowa (...). U niego wszystko jasne: nie ma komunisty w domu. Nie było komunisty i nie ma. Szwagra nie wpuszcza za drzwi, szwagier nie ma wstępu. No, co to jest? To Majdzik. Jakaś linia prowadzona, no nie? Co z tego, że rodzina? Jak to by wyglądało, gdyby innym wytykał w oczy, a u siebie w domu tolerował? Dla niego komuniści - takie tam Balcerowicze - to zawsze pozostaną komunistami. Won od prawicy! Chce mieć Rzeczpospolitą. A nie jakąś tam III RP czy piątą. Szóstą kolumnę. Gówno mu to daje. Przeprasza, że tak mówi. Chce mieć Rzeczpospolitą Polską niepodległą, bez przydupników, bez przyimków, bez zaimków. On - *były tokarz, teraz związkowiec, starszy referent, nie polonista. Nie chce widzieć byłych partyjniaków ani na prawicy, ani na lewicy.*

Duża robota. Myśli. Na wiecach mówi wszystko wprost. O zdrajcach, dzieciach komunizmu, ludziach skażonych, miękkich dupach, gnidach bolszewickich po nazwiskach. Używa sobie bez obciachów. Lepiej niż Wrzodak z „Ursusa". Nie każdy może umie się tak wysłowić jak on, może nawet brakuje odwagi. To Majdzik - samochwała. No bo jak on wrzuca komuś: „Ty, komunisto", to temu komuś nie tak łatwo sparować (...)".

Teraz działać! Trzeba wrócić do idei. Jeszcze raz zebrać się. Zmobilizować społeczeństwo i wymusić praworządność. Wymusić nową ordynację wyborczą, bez komunistów. Poza tym utworzyć czystą partię polityczną. To duża robota. Majdzik wie.

Bo Majdzik to polityk. Majdzik czeka na swój czas polityczny. Dlatego o Majdziku nie wolno zapominać.

Autor: Janusz L. Sobolewski".

Majdzikowa Polska bez przydupników - to planowana dziś IV Rzeczpospolita. Tekst zaświadcza, że program formacji PiS nie jest niczym nowym i nie ma związku z kilkunastoletnimi doświadczeniami demokratycznej Polski. Formacji Kaczyńskich nie chodzi o naprawę rządzenia, afery gospodarcze, tańsze państwo itp. Zależy jej tylko na jednym - na przekonaniu Polaków, że niepodległość w 1989 r. można było uzyskać nie poprzez Okrągły Stół, lecz siłowo poprzez odsunięcie od działalności publicznej funkcjonariuszy PZPR i SB.

Gdyby udało się wmówić to ludziom, kilka przedokrągłostołowych ugrupowań kanapowych, w tym Kaczyńskich - głoszących powyższą brednię - uzyskałoby poczesne miejsce w historii Polski jako partie słusznego, acz zdyskredytowanego programu.

Takie volty są możliwe.

Piszę to wszystko - sobie a muzom, a może dla kilku osób, które tu zaglądną - by mieć czyste sumienie. Gra dekomunizacją to indywidualna zabawa kilku senatorów? PiS - partią ogólnonarodową, niezamierzającą nikogo eliminować z życia publicznego? To strategia na dziś. A za chwilę... Majdzik! (11.09.2006)

Logika

Teraz często parkuję vis-a-vis Tynieckiej 10, tam gdzie pomieszkiwał młodziutki Karol Wojtyła. Zatrzymała się przy mnie typowa biznes-women z jakimiś papierami w ręku. - Czy pan dobrze zna tę okolicę?

- Wie pani... - wzruszam ramionami.

- Szukam Tynieckiej z wysokim numerem.

- Tu jest Praska, a tam dalej Tyniecka.

- No, tu jest Tyniecka.

- Nie, niech pani nie patrzy na napisy. Tam jest Praska, a dalej Tyniecka.

- Ale tam jest Szwedzka, a powinna być Tyniecka, bo jedzie się nią do Tyńca jak logika mówi.

- Tak, prosto Tyniecka i jedzie się do Tyńca, a w lewo Szwedzka i jedzie się do Szwecji. (13.09.2006)

Na kontrze

Zmarła Oriana Fallaci. 77 lat, rak. Kiedy była u szczytu dziennikarskiej sławy, dopiero zaczynałem uczyć się dziennikarstwa: zasypiałem, słysząc wulkaniczną Suzi Quatro i czując lawę Fallaci.

Nosiłem w sobie podziw dla niej, obcując z naszą ugładzoną prasą (no, z wyjątkiem paru ówczesnych reportaży). I równocześnie poczucie emocjonalnego powinowactwa. Tak - agresja, tak - emocje, tak - wyrazistość sądów. Tak - wiem, bo czuję.

Udało się jeszcze Fallaci dowalić islamskim fundamentalistom, dzięki czemu umarła żyjąc. Wcześniej dla „L'Europeo" i „Corriere della Sera" szczypała Willy Brandta, Henry Kissingera, Jassera Arafata, Goldę Meir, Muamara Kadafiego, Ajatollaha Chomeiniego, Lecha Wałęsę... Napisała: „Jeśli pomyśli się na przykład, że ten pijak Jelcyn był carem, a ten ignorant Wałęsa był symbolem wolności, nogi uginają się pod człowiekiem". Dała świadectwo prawdzie, choć dziś Wałęsa ignorantem nie jest.

Fallaci rozumiałem na wskroś. Kiedyś przyjacielski redaktor w „Życiu Literackim" odezwał się do mnie tymi słowy: wiesz, twoje reportaże byłyby lepsze, gdybyś swoich bohaterów choć trochę lubił.

Otóż to! Tak działo się też z Fallaci, której dziennikarstwo wyrastało na kontrze w stosunku do rozmówców, do ludzi. Ale ta kontra - to była tylko pozycja w rozmowie, tylko f o r m a w pisaniu.

Musiałem kontrować, ustawiać bohaterów w pozycji marionetek w teatrze literackich chwytów, bo bez tego dzieło wychodziło poniżej poziomu druku. Dzieło Fallaci także? (15.09.2006)

Języki!

No, dobrze, na ile to możliwe to o mnie, i postaram się nie przekroczyć granic swojej intymności.

To o dojrzałym facecie, wykształconym, ale najlepiej przez życie, i akurat szukającym pracy. Syn w gimnazjum, żona pracuje i utrzymuje wszystkich, że upić się można. Szukam pracy, syn szuka pracy dla mnie, a tu pracy nie ma. Niejedna firma miałaby ze mnie pożytek, z takiego gościa z głową, studia jedne i drugie, oczytanego, z horyzontami, wypisz-wymaluj na wszystkie poziomy, cóż, stanowiska prezesów i parlamentarzystów zajęte.

Mimo wypisywania ofert, pracy nie ma. Raz usłyszałem na rozmowie wstępnej: i cóż moglibyśmy zrobić z takim potencjałem...

W końcu zakreślam ogłoszenie o pracy dla portiera. Z ognikami przekory w oczach pokazuję ogłoszenie synowi. Syn cieszy się szczerze, wierzy, że ojciec znalazł wreszcie pracę!

Wchodzi żona. Syn woła z radością, że tata znalazł pracę. - A co to za praca? - Wiesz, mamo, akurat dla taty, bo tata taki kulturalny, grzeczny, zwraca mi stale uwagę, jak się wysławiać. Praca w hotelu, tata będzie przyjmować gości.

Żona w konsternacji. Po chwili: - E, portier... Nie zawracajcie mi głowy, tam trzeba znać języki! (16.09.2006)

Ponadczasowy krój

Stanisław Tym przygotowuje na luty 2007 roku premierę filmu „Ryś", będącego ciągiem dalszym kultowego „Misia". Cienko wróżę. Z obśmiania dzisiejszego życia nie będzie groteski. Teraz nie wystarczy mrugnąć okiem i zadeklarować: „mocno i stanowczo... parówkowym skrytożercom mówimy NIE!". Coś takiego przestało fruwać.

Przed rokiem zapytałem młodzież maturalną w renomowanym liceum, w którym przez rok szkolny z okładem wykładałem „Edukację medialną" (póki mi się nie odechciało), jak odbierają film „Miś", czy wynoszą z niego prawdziwy obraz PRL-u? Odpowiedzieli, że „Miś" to taki PRL w krzywym zwierciadle. Ulżyło mi, bo wcale nie byłem pewien tej odpowiedzi. A jak odbiorą „Rysia"? Ich doświadczanie rzeczywistości przecież różnorodne.

Do powtórzenia pozostaje zawsze scena z "Misia", w której Hochwanderowi spada pod szafę papier toaletowy. Schyla się po niego. W tym czasie wchodzi Jarząbek. Jarząbek do szafy: „*Czasem, aż oczy bolą patrzeć, jak się przemęcza dla naszego klubu prezes Ochudzki*

Ryszard, naszego klubu "Tęcza". Ciągle pracuje! Wszystkiego przypilnuje i jeszcze inni, niektórzy wtykają mu szpilki. To nie ludzie - to wilki! To mówiłem ja - Jarząbek Wacław, trener drugiej klasy. Niech żyje nam prezes sto lat!... To jeszcze ja - Jarząbek Wacław, bo w zeszłym tygodniu nie mówiłem, bo byłem chory. Mam zwolnienie. Łubu-dubu, łubu-dubu, niech żyje nam prezes naszego klubu. Niech żyje nam. To śpiewałem ja - Jarząbek".

Kiedyś papier toaletowy miał kontekst polityczny, dziś nie. Serwilizm za to niezmienny. No i pewien ponadczasowy krój działaczy sportowych, którzy w każdej epoce znajdą deficytowy papier toaletowy do rozdziału.

Gdyby reżyser Tym miał problem z wyszydzeniem kapitalistycznej rzeczywistości klubowej, to podpowiadam. W klubie sportowym, w którym trenuje tenisa mój syn, deficytowi są trenerzy. A zarządza nimi prezes. W klubie płaci się za trening grupowy sowicie, 19 zł, a mimo to prezes uważa, że to on rządzi. Krzyczy: nie pozwalam!, gdy chce się skorzystać z opłaconej usługi. Wskazuje, limituje, przydziela trenera niczym deficytowy papier toaletowy. I to wedle nie tylko sportowych umiejętności młodzieży, lecz także - zgodnie z regulaminem - wedle jej zasług dla klubu! Łubu-dubu! Łubu-dubu! (18.09.2006)

Macież ty głowę Lenina?

Wyobrażam sobie Konstancin osiemdziesiąt dwa lata temu. Wtedy w Konstancinie, w niedzielę, 21 września, Stefan Żeromski postawił ostatnią kropkę nad słowami Cezarego Baryki do Szymona Gajowca: „*Macież wy odwagę Lenina, żeby wszcząć dzieło nieznane, zburzyć stare i wszcząć nowe? Umiecie tylko wymyślać, szkalować, plotkować. Macież wy w sobie zawzięte męstwo tamtych ludzi - virtus niezłomną, która może być omylną jako rachuba, lecz jest niewątpliwie wielką próbą naprawy ludzkości?"*

Czemu przypominam „cnotę niezłomną"? Bo dowiedziałem się właśnie, że krew Romana Giertycha, popularnego w mediach przewodniczącego narodowo-katolickiej partii Liga Polskich Rodzin, zawiera czerwone ciałka Żeromskiego. Prababka lidera LPR, z domu Żeromska, była kuzynką pisarza.

Giertych do pokrewieństwa z Żeromskim przyznał się niedawno, spacerując po kieleckiej ulicy Małej, pamiętającej autora „Przedwiośnia". Ucieszyłem się, kamień z serca, bo wcześniej nie potrafiłem wytłumaczyć sobie, skąd u mnie tyle sympatii dla tego młodego polityka.

Przyglądałem mu się zawsze z pobłażliwością i z troską. Wysoki, wszak nie heros, a dźwigać musiał wór kamieni - po dziadku i ojcu - najwybitniejszych kontynuatorach polskiej endecji. Czułem przez skórę, że Romanowi nie po drodze z endecją, ale jak powiedzieć to staremu? Jak wyjawić, że musi zrobić miejsce w plecaku na czerwone kamyki po Żeromskim?

Wczoraj przez Kraków przeszła kilkusetosobowa grupa młodzieży, skandująca: „Precz z Giertychem, Chcemy Polski, nie Wszechpolski, Giertych musi odejść" (ze stanowiska wicepremiera i ministra edukacji w rządzie Jarosława Kaczyńskiego). Młodzieży! - wybaczcie te Giertychowe, szczeniackie bojówki quasi-faszystowskie, te ogolone, nacjonalistyczne łby „wszechpolskie". To były chwilowe erupcje czarno-czerwonego melanżu we krwi. Giertych burzy stare w oświacie, wszczyna nowe. A wy umiecie tylko wymyślać, szkalować... Macież wy w sobie jego męstwo?

Życzę Giertychowi owej *virtus* niezłomnej, patriotycznej, socjalistycznej i demokratycznej, bo ja tę oświatę rozpieprzyłbym także w „drobiezgi"... Giertych musi mieć głowę Lenina, by temu podołać. (21.09.2006)

? - razy 4

Listę najpopularniejszych nazwisk polskich zestawiła Katarzyna Skowronek z Instytutu Języka Polskiego PAN w Krakowie i opublikowała. Kogo przypomniały mi one kolejno, z czym się skojarzyły? Oto wynik „50":

1.Nowak (poseł z transparentem przy trybunie sejmowej; też z Huty im. Lenina). 2.Kowalski (b. dziennikarz „Dziennika Polskiego"; też Roch z „Potopu"). 3.Wiśniewski („Janek Wiśniewski padł"). 4.Dąbrowski (ten od hymnu). 5.Lewandowski (b. minister przekształceń własnościowych; drży?). 6.Wójcik (Magda, aktorka; też trener). 7.Kamiński (Krzysiu, redaktor z Krosna; też polarnik). 8.Kowalczyk (generał). 9.Zieliński („Skaldowie"). 10.Szymański (poseł PiS, nie palący).

11.Woźniak („zegarmistrz światła purpurowy"). 12.Kozłowski (red. „Tygodnika Powszechnego"; też aktor). 13.Jankowski (prałat z Gdańska; tez red. Stanisław M.). 14.Wojciechowski (prezydent RP; też trener tenisa). 15.Kwiatkowski (z filmu „Pułkownik Kwiatkowski"; też budowniczy Gdyni). 16.Kaczmarek („Czemu się boisz, głupia"). 17.Mazur (wychowawczyni syna). 18.Krawczyk (la-la-la, amen). 19.Piotrowski (zabójca księdza). 20.Grabowski (kurne, Kiepski).

21.Nowakowski (pisarz, nie czytałem). 22.Pawłowski (szermierz). 23.Michalski (prawnik, sprowadzający dziennikarzy do pionu). 24.Nowicki (aktor w kapeluszu). 25.Adamczyk (zapomniana pieśniarka). 26.Dudek (bramkarz). 27.Zając (?; chyba że „nu, pagadi!"). 28.Wieczorek (kopalnia imienia; też minister w PRL). 29.Jabłoński (przew. Rady Państwa PRL; też pianista). 30.Król (ten z „Wprost").

31.Majewski (z show w TV). 32.Olszewski (był taki od gospodarki w PZPR, nie Olszowski). 33.Jaworski (filozof z AGH). 34.Wróbel (?). 35.Malinowski (prezes ZSL). 36.Pawlak (prezes PSL). 37.Witkowski (LO imienia). 38.Walczak (?). 39.Stępień (b. wojewoda słupski). 40.Górski (trener).

41.Rutkowski (detektyw). 42.Michalak (ubek z „Człowieka z marmuru"). 43.Sikora (biatlonista). 44.Ostrowski (b. reporter). 45.Baran (poeta znajomy Józef, nie czytałem). 46.Duda (Gracz). 47.Szewczyk (tygodnik „Politechnik"). 48.Tomaszewski (spiker sportowy; też bramkarz). 49.Pietrzak (z kabaretu). 50.Marciniak (?).

? - razy 4. Chyba, że zajrzę do wyszukiwarek... (22.09.2006)

Myśleć szablonami

Na Węgrzech kilkudniowe zamieszki antyrządowe, bessa gospodarcza. W Polsce zamieszki wewnątrzrządowe, hossa po zwolnieniu wicepremiera Leppera. A na Białorusi spokój, spokój.

Oczywiście pokpiwam, bo jestem akurat po lekturze niezłej, probiałoruskiej publikacji. U Łukaszenki drogi dobre, mały ruch, w pociągach czysto jak w naszych salonach, na ulicach bezpiecznie. I nostalgia serdeczna do tych miejsc nowogródzkich, do Białorusina Kościuszki... i Dzierżyńskiego, Moniuszki, Wańkowicza, Giedroycia, Bohatyrowiczów, a w tle polonez Ogińskiego i słowa kolędy „Bóg się rodzi".

Mały ruch na drogach jak u nas za Gomułki, chciałoby się dopisać. Bezpiecznie jak za Dzierżyńskiego. I od razu refleksja, że najłatwiej myśleć szablonami, hasłami propagandy.

Wpiszesz w polską wyszukiwarkę mózgową hasło: „Białoruś" - otrzymasz: „zamordyzm". W białoruskiej wyszukiwarce hasło: „Polska" da „bezrobocie".

Prawda li to i jedno, i drugie? Siebie znamy; wkurza nas rosnące rozwarstwienie majątkowe społeczeństwa. A na Białorusi telefony komórkowe są?, satelity TV są?, pomarańcze są? Bo Gomułka wolał kiszoną kapustę.

Młodych, co nie sparzyli się jeszcze hasłowym myśleniem, ostrzegam. Nie wierzcie słowom-wytrychom, nawet jeśli są prawdziwe. Sam uwierzyłem kiedyś, że w kapitalizmie pracy nie mają tylko tacy, co pracować nie chcą, a ludzie mieszkają w slumsach, bo mają takie życzenie. Słowo! Taki ustrój marzeń wmówiły mi KOR-owskie opozycyjne autorytety, które świętują dziś hucznie z „Gazetą Wyborczą" okrągłą rocznicę swej działalności.

Kpiłem (za plecami) z partyjnej redaktorki, która podobnie uwierzyła w socjalizm. Na kolegium „Dziennika Polskiego" powtarzała: niemożliwe, niemożliwe, oceniając mój reportaż, przywieziony ze Stoczni Szczecińskiej, wtedy im. Warskiego. Nie chce mi się w pawlaczu grzebać za tekstem - komputerów nie było - więc z mroku lat wydobywam ten rys: towarzyszka partyjna nie wierzyła, że socjalistyczne statki klasa robotnicza buduje od góry. Wpierw pokład, potem pokład zrywa, żeby montować pompy, potem znów pokład, potem pokład zrywa, demontuje pompy, żeby wstawić agregaty, znów pompy, pokład, ale agregaty bez prądu, więc pokład itd.

Wtedy ufałem, że w kapitalizmie taka gospodarka byłaby niemożliwa. Ja myślałem - w kapitalizmie, redaktorka - w socjalizmie niemożliwa - i wyciągała z tego polityczne wnioski o sabotażystach. Teraz jestem przekonany, że oboje się myliliśmy. Wszystko i wszędzie jest możliwe. Nawet hossa u nas, a spokój na Białorusi. (23.09.2006)

Wycie do księżyca

Lech Wałęsa nawytrząsał się na Kaczyńskich, do bólu, do niestrawności, i słusznie, choć zapomniał, jak sam latał z siekierką. Ale mnie przypomniał Mariusza Wilka, swego pierwszego epizodycznego rzecznika prasowego.

Wilk wywiózł się na Syberię..., może z powodu Wałęsy. Znam ten ból w skali krakowskiej, nie gdańskiej; w 1990 roku chciałem uciekać gdzie pieprz rośnie z pełnionej przeze mnie funkcji rzecznika i modelarza Forum Partii Politycznych przy epizodycznym prezydencie Krakowa, barwnym Jerzym Rościszewskim.

Mariusza Wilka czytam od lat w odcinkach w „Plusie-Minusie Rzeczpospolitej" z wielkim podziwem. Czytam... (Kiedyś na korytarzach redakcyjnych modny był szelmowski greps: - Czytasz coś? - Ja? Wystarczy mi, że czytam siebie).

Pisarzowi należą się wszelkie hołdy. Jego ostatnia „Wołoka" kandyduje do literackiej nagrody „Nike'2006". Wiem, że Wilk jest najlepszy, i wiem, że „Nike" nie dostanie. Ten były dziennikarz, reporter, po doświadczeniach z polską konspirą 1980 roku i pomacaniu Zachodu, zmienił cywilizację. Od kilkunastu lat mieszka na Wyspach Sołowieckich. Opisuje świat mrozów i przestrzeni postradzieckich tak, że jego teksty trzeba czytać w nausznikach i z szeroką duszą.

I tu problem, bo dusza Wilka tchnie słowianofilstwem, u nas podejrzanym. Od zaborów. Polak, Rusek - dwa bratanki? Prędzej Wawel się zapadnie z Piłsudskim, dla którego nie Niemiec był straszny, lecz Rosjanin - zaborca i złodziej polskiej duszy.

Zatem Wilk może wyć jedynie do księżyca. (27.09.2006)

Orędzie następne

Po sfilmowanej próbie skorumpowania politycznego posłanki „Samoobrony" Renaty Beger przez „formację Kaczyńskich" wypowiedział się w orędziu do narodu premier J. Kaczyński. Dziś zabrał głos też prezydent L. Kaczyński. Obaj powiedzieli dokładnie to wszystko, czego się spodziewałem.

To wszystko, czego się spodziewałem, zawarte jest tu już, ale powtórzę słowo w słowo, co wcześniej zapisałem: formacji Kaczyńskich nie chodzi o naprawę rządzenia, afery gospodarcze, tańsze państwo itp. Zależy jej tylko na jednym - na przekonaniu Polaków, że

niepodległość w 1989 roku można było uzyskać nie poprzez Okrągły Stół, lecz siłowo poprzez odsunięcie od działalności publicznej funkcjonariuszy PZPR i SB. Gdyby udało się wmówić to ludziom, kilka przedokrągłostołowych ugrupowań kanapowych, w tym Kaczyńskich, uzyskałoby poczesne miejsce w historii Polski jako partie słusznego, acz zdyskredytowanego programu.

Dla *bonum commune* (czyt. dla dobra wspólnego, bynajmniej nie dla dobra komuny) postanowiłem wyprzedzić czas i podać treść orędzia, które za kilka miesięcy, może wcześniej, wygłoszą wspólnie lub osobno prezydent i premier Kaczyńscy.

Oto to wystąpienie: „Szanowni państwo. Mamy powody do dumy. Takich dni sukcesów nasza Ojczyzna jeszcze nigdy nie przeżywała dzięki naszej determinacji w likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, ściganiu aferzystów, którzy przez ostatnie 17 lat i dłużej okradali nasz wspólny, narodowy majątek. Z aparatu państwowego usunęliśmy i w dalszym ciągu usuwamy ludzi skażonych PRL-em i ich rodziny, w gronie których niejednokrotnie udawało nam się wykryć agentów NKWD, UB i SB. Prześwietliliśmy do siódmego pokolenia drzewo genealogiczne nowych członków Trybunału Konstytucyjnego i nowego prezesa NBP, aby nikt nie miał wątpliwości, że ludzie ci służą polskiej sprawie.

Warchołom mówimy: nie zatrzymacie nas w budowaniu nowej, czystej, uczciwej, sprawiedliwej, narodowej IV Rzeczypospolitej, bo ta III Rzeczypospolita to obrzeża PRL-u.

Wedle słów znanego nam wybitnego analityka polskiej sceny politycznej nasza budowa w oczywisty sposób niepokoi tych, którzy wedle słów tego wybitnego analityka, tworzą "szarą sieć" zła. Ci ludzie, te środowiska postkomunistów, zaprzedanych liberałów, lepperowców, stracą. Ten sam analityk naszej sceny politycznej Jarosław Kaczyński przewidział kontratak, jaki znów mamy. Odeprzemy i następne kontrataki i ataki!

Szanowni państwo, to prowokacja! To hipokryzja! Zmian dokonujemy dla dobra narodu. Nie ulegniemy presji rozwydrzonej części społeczeństwa, tego układu interesów i życiorysów, nie zaprzestaniemy reformy państwa tylko dlatego, że ta część narodu bezprawnie żąda wyborów.

Na wybory zgody nie ma! Bo nie ma zgody na destrukcję państwa, na próby agenturalnej ingerencji, która ma za cel zatrzymanie naprawy naszej Ojczyzny! Wiemy, że musimy teraz działać! Trzeba wrócić do idei. Jeszcze raz zebrać się. Zmobilizować społeczeństwo i wymusić praworządność w nowej Konstytucji. Wymusić nową ordynację wyborczą, bez komunistów i pogrobowców Okrągłego Stołu. Poza tym utworzyć czystą partię polityczną, a inne zdelegalizować!

Władzę będziemy dzierżyć do końca, czy to się tej skorumpowanej, postsowieckiej części społeczeństwa podoba, czy nie. Czujemy się silni poparciem zdrowej, prawdziwie patriotycznej części narodu. I władzy nie oddamy dawnym ”grupom trzymającym władzę”. Nie pozwolimy na to, by przypadkowy wynik wyborów zniweczył nasze dzieło!

Jesteśmy przekonani, że pod naszym kierownictwem Polska idzie we właściwym kierunku. I będziemy tego kierunku bronić. Będziemy go bronić w parlamencie, jeśli parlament działać będzie w ramach prawa, będziemy bronić Ojczyzny przed opinią publiczną, jeśli trzeba na barykadach. I jesteśmy przekonani, że Polska na starą drogę nie wróci. Że zwyciężymy!”. (28.09.2006)

Granice dobra

Polityk, przyłapany przez dziennikarzy na politycznym korumpowaniu innego polityka, oświadcza wszem wobec: „Dziennikarze zastosowali esbeckie metody”.

Co to znaczy: „esbeckie metody”? Byli funkcjonariusze SB też ponoć blogują, niechże wyjaśnią. Może to nie nagana, a pochwała?

Przyznaję, że określenie „esbeckie metody” podrażniło moją pamięć. Swego czasu zarzucono mi coś takiego i poczułem, jakby mi kto napluł w twarz.

Rozmawiałem jako reporter „Gazety Krakowskiej” i jako reporter wyciągałem różne szczegóły. Po publikacji okazało się, że rozmówca nie spodziewał się, że wszystko opiszę. A nie zastrzegał słów „nie do publikacji”. Moją technikę prowadzenia rozmowy (każdy ma swoje maślane spojrzenie) okrzyknął „esbeckimi metodami”. Że niby tym spojrzeniem osłabiłem jego czujność... Być może, mój drobiazg.

Ale tu, w tym przypadku... Czy jeśli dla obecnego dobra społecznego dziennikarz nagrywa z ukrycia osobę publiczną w trakcie wykonywania zadań publicznych, potem to publikuje - to robi coś złego?

Odpowiem, bo poznałem się na tym: nie, takie działanie jest dozwolone przez prawo. Wiele autorytetów wolnościowych broni takiego prawa jak życia.

Mimo to czujemy w tym wolnościowym prawie coś złego, prawda? Takie delikatne mrowienie na skórze...

Czy jeśli dla PRL-owskiego dobra społecznego SB-ek nagrywał z ukrycia osobę publiczną (działacza opozycji) w trakcie wykonywania zadań publicznych (tajemne zebrania) - to robił coś złego?

Ha-ha! Wolność ma też swoje granice dobra. A wolność mediów smakuje esbecką wszechmocą. (29.09.2006)

Tamten krąg

Kilka razy miałem do czynienia z nienormalnościami. Nic nadzwyczajnego; spotyka się i na ulicach osoby z tamtego kręgu.

Najsilniej wspominam szpital psychiatryczny w Kościanie, w którym jako reporter spędziłem dwa dni. Byłem wśród pacjentek..., nie wiem, czemu, chyba wbrew regule, ale pozwolił mi na to ich lekarz. Ten psychiatra był moim „tematem” i opowiadał mi o szpitalu bulwersujące historie. Pamiętam do dziś jego wywód: - Nie jem kilka dni, lubię być głodny. Wtedy mam jasność umysłu, jeśli nie dopadnie mnie gwóźdź neurotyczny. W szpitalu są czerwone pająki.

Był zdrowo kopnięty. Od czasu tego spotkania przestały mi dokuczać punktowe bóle głowy!

Do mojej redakcji zaglądał pewien poeta, który w czasie buntów młodzieży w 1968 roku w Paryżu dostał czymś twardym w głowę. „Życie Literackie” drukowało jego wiersze, ale gdy wchodził z nimi do pokoju, lepiej było zwiewać przed rozmową.

Traumy pozostawiają trwały ślad u ludzi. Niekiedy można je dostrzec, a niekiedy - nie. Wachlarz objawowy choroby psychicznej jest niezwykle szeroki, orzecznictwo chorobowe zaś wąskie; i słusznie. Z drugiej strony stajemy bezbronni przed ludźmi formalnie zdrowymi, w rzeczywistości chorymi na urojenia wskutek życiowych urazów.

Ci ludzie krzywdzą innych. Nie biegają z nożem po ulicy, ale jednak ranią - oskarżeniami. Mogą ranić, bo media łase są na ich chore słowa.

Najgorsze, że nie ma przed nimi obrony. Wie o tym b. prezydent Lech Wałęsa, oskarżany przez chorych ludzi o agenturalność, bo coś tam podpisał, wiedzą inni pomawiani, wie też o tym od pewnego czasu krakowski kardynał Stanisław Dziwisz. Że nie ma na tę chorobę rady.

Oto pobity kiedyś przez SB ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który za bezradną wiedzą przełożonego kardynała Dziwisza przygotowuje książkę "Księża wobec SB", oskarżył jednego z księży pracujących w Rzymie przy procesie beatyfikacyjnym Jana Pawła II, że był tajnym współpracownikiem SB i wywiadu. A mocno nagrzeszył? Wcześniej łatkę agenta

przypiął wielu godnym szacunku duchownym, w tym infułatowi z Wawelu, ks. Januszowi Bielańskiemu.

Gdybym dziś spotkał w Kościanie znajomego psychiatrę, usłyszałbym, że agentem SB był ksiądz Dziwisz. Potem znany mi poeta dowodziłby, że także Jan Paweł II był zarejestrowanym kontaktem operacyjnym, może nie przekazującym SB żadnych informacji i oczywiście... wyrejestrowanym z czytelni IPN, ale jednak... (1.10.2006)

Wstydzę się

Popularyzowany w internecie wywiad „Gazety Wyborczej" z prezesem „na odchodnym" Polskiego Związku Piłki Nożnej Michałem Listkiewiczem. Osobisty, ciekawostkowy. Nie wiedziałem, że w latach siedemdziesiątych licealistę Listkiewicza wyprowadził na ludzi red. Jan Rotter z „Tempa". Świat mały; pracowałem w „Dzienniku Polskim" z córką Rottera, poza tym z Rotterami miałem wspólnego znajomego - Władysława Jachniaka (tu post z 18.08.2006).

Nie o tym wszak. W wywiadzie pada nazwisko... H.

Niewiele jest spraw minionych, których się wstydzę. Ilekroć wspomni ktoś H., wstydzę się najbardziej. Ten wstyd nie gaśnie, choć czas ucieka. Nie gaśnie, choć wstyd z drobiazgu. Odmówiłem H. przejścia ze mną na „ty".

Chyba jesienią 1982 roku, czyli jeszcze w stanie wojennym, jechaliśmy moim autem do Rzeszowa, na imprezę do redakcji „Nowin". Szyby zachodziły mgłą, bo nie dawało się jakoś ustawić ogrzewania. H., w strachu, przecierał ciągle te szyby palcami.

Powiedział: - To przejdźmy na „ty". Ja: - Wolałbym nie.

Zamurowało go. Byłem szczawikiem reporterki, on - starszym, doświadczonym repem na świeczniku dziennikarskiego światka, umiejącym pisać nie tylko polityczne felietony, ale i reportaże, godne reporterskiego uszanowania.

Ale pisał wtedy przeciwko „Solidarności", uważałem też, że przeciwko społeczeństwu. Powielał i twórczo obrabiał opinie esbecko-partyjnego betonu. Nie chciałem być na „ty" z kimś takim, do tego wyklętym przez środowisko.

Potem osoby trzecie donosiły, że obrażony na mnie H. nachodził szefostwo redakcji, by mnie zwolniono z pracy. Gdy zmieniłem firmę, przychodził w tej sprawie z interwencją do Władysława Machejka w „Życiu Literackim".

A mimo to powiadam, że się wstydzę swego gówniarskiego zachowania przed laty. Postąpiłem jak dogmatyk jakiejś doktryny, nie umiejący pojąć nie swoich racji.

Wstydzę się, gdy słyszę dziś z ust działaczy partii wszelkich, też demokratycznych odcieni, że H. „publikował teksty na zlecenie SB". Hańderek zaprzeczył i wierzę mu, bo to nie tak się działo... Z przydziału redakcyjnego i zainteresowań był on dziennikarzem „milicyjno-sądowym", czerpał z tego towarzystwa i informacje, i poglądy. Następnie przedstawiał... uczciwie!

Działał w strukturach sportowych, od kiedy pamiętam. Uczciwie. Tam nikt się go nie czepiał za stare słowa. Długo to trwało, aż zrobił błąd. Pokazał się jako działacz PZPN w TV! „Demokraci krakowscy" zobaczyli go i ukamienowali.

Z wywiadu „GW" z Listkiewiczem: „Red.: Najgłośniejsza z błędnych decyzji to nominacja na stanowisko przewodniczącego Kolegium Sędziów (...) H. Listkiewicz: (...) H. był członkiem zarządu wybranym ze środowiska krakowskiego, był niezłym sędzią piłkarskim, był... Red.: ...ponurą postacią! Listkiewicz: To prawda, że jako dziennikarz niezwiązany ze sportem w stanie wojennym nie zapisał, delikatnie mówiąc, pięknej karty. Natomiast od strony sędziowskiej, może tu się narażę, uważam, że to, co robił, to robił dobrze. Rozpoczął proces oczyszczania tego środowiska, co potem rozwijał Andrzej Strejlau. Red.: Jak oczyszczał? Listkiewicz: Odsunął od sędziowania wielu sędziów. Wprowadził

zasadę oglądania każdego podejrzanego meczu na wideo i odsuwania sędziów, jeśli coś nie grało”.

Wstydzę się, że żyję w Polsce, w której „ponure postacie” nie mogą robić niczego dobrego. (4.10.2006)

Jajo kosmosu

Od kilku dni myślę o nagrodzie Nobla z fizyki za potwierdzenie hipotezy Wielkiego Wybuchu, czyli scenariusza narodzin Wszechświata. Wydrukowano znane od kilkunastu lat „różowo-pomarańczowe jajowate zdjęcie niemowlęcego kosmosu” z komentarzem, że to największe odkrycie stulecia, jeśli nie wszech czasów. Ale kogo to obchodzi? Na tej samej stronie gazet lista cudów Jana Pawła II do procesu beatyfikacji.

Z Kopernikiem było tak samo. Wstrzymał Słońce? Ziemi odmówił praw boskiego centrum? Nie za bardzo mi się to wydaje, przecież jak jest, każdy widzi...

Cuda, świadczące o świętości i Bogu, są możliwe, a Ziemia była i jest w centrum Wszechświata... Udowadniają to od czasów Kopernika i Darwina całe rzesze jajogłowych, skupione w najprzeróżniejszych instytutach i fundacjach.

I ja nie zgadzam się z Kopernikiem! A tegoroczna nagroda dla Wielkiego Wybuchu, którego koncepcję dawno temu wymyślił taki sam ksiądz jak Kopernik, tylko belgijski, czyli George Lemaitre, potwierdza moją rację. Ziemia była w boskim centrum, bo - tak jak cały wszechświatowy jon - wchodziła w skład „różowo-pomarańczowego jaja kosmosu”, które potem wybuchło niczym dynamit Nobla. Cbdo (co było do okazania).

Cytat z gazet: „Nie ulega wątpliwości, że tegoroczni nobliści John Mather i George Smoot poszerzyli granice nauki. Sprawili, że pytanie o powstanie i ewolucję Wszechświata przestało być wyłączną domeną metafizyki lub religii”. A ja wykażę, ale kiedy indziej, że Ziemia jest nadal w boskim centrum. (6.10.2006)

Hipoteza Sobolewskiego: Ziemia w centrum Wszechświata

Kiedy indziej... nasze poznanie determinuje fizyka Einsteina. To staroć. Wiele teorii i bezpośrednich obserwacji wskazuje na to, że ludzkość wypatruje z wolna narodzin nowego Einsteina.

Nasze poznanie musi sięgnąć dalej i głębiej. Potrzebujemy nowej fizyki, która będzie umiała wytłumaczyć i religijne cuda ze wskrzeszeniami na czele, i śmiesznostki UFO... A także dostrzec i zbadać coś, o czym ponoć już wiemy - że Wszechświat, więc także i my, zbudowany jest w wielkiej części z nieznanego nam na razie rodzaju materii. Istnieją zatem cząstki materii, których nie jesteśmy dziś w stanie zaobserwować, a które w oczywisty sposób są składnikiem wszechrzeczy. Być może to one odpowiadają za najbardziej tajemniczą i tak naprawdę mało zrozumiałą właściwość materii, jaką jest - „udomowiona” przez człowieka - siła grawitacji.

Poza tym dla kosmicznego rozwoju ludzkości potrzeba rozszerzenia idei Einsteina o równoważności energii i masy. Przekracza to nasze zdolności pojmowania, lecz czyż nie nasuwa się myśl o możliwej też równoważności kwantów energii z masą... żywą? A więc o możliwości zamiany życia w energię? Otworzyłoby to ludzkości drzwi do kosmosu i *vice versa*.

I jeszcze jedna refleksja wprowadzająca. Dla obserwacji spadającego z jabłoni jabłka nic się nie zmienia. Ono spadało tak samo za Pitagorasa, Kopernika, Newtona, Einsteina i będzie wciąż spadać tak samo. Rozszerzenie kontekstu spadania, umieszczanie tego zjawiska w coraz to rozleglejszych układach odniesienia, ma dla samego spadania znaczenie niewielkie. Dopóki nie przenosi się ono w kosmos.

Po podważeniu kompetencji współczesnej nauki do ferowania ostatecznych wyroków mogę sformułować hipotezę poprawną i prawdopodobną jak wszelkie inne. Konstatuję i dowodzę poniżej, że odkrycie Kopernika nie zaprzeczyło usytuowaniu Ziemi w centrum Wszechświata.

Przez centrum rozumiem punkt w przestrzeni, wokół którego krąży Wszechświat.

Przyjmuję to, co wiadomo, że ładem kosmosu rządzi siła grawitacji. A więc większe masy materii siłą grawitacji trzymają wokół siebie mniejsze masy. I tak Księżyc krąży wokół Ziemi, a Ziemia wokół Słońca.

A co dalej? Otóż to! Na tym kończy się obecna nauka i zaczynają domysły.

Domyślmy się zatem. Słońce jest drobną gwiazdką Drogi Mlecznej, czyli naszej galaktyki. Galaktyka ta również obraca się wokół swego centrum. To centrum ma tak ogromną masę, że pochłania całe światło, które do niego dociera z gwiazd. Dlatego nazwane zostało czarną dziurą.

Liczba gwiazd w galaktyce, jak i galaktyk w kosmosie, może wykraczać poza możliwości obliczeniowe współczesnych liczydeł. To wielkości niezmierzone.

Czyli Wszechświat składa się z niezmierzonej liczby czarnych dziur, wokół których krąży krocie galaktyk. Moja hipoteza sprowadza się do stwierdzenia, że wszystkie czarne dziury kosmosu krążą wokół jednej Super Czarnej Dziury. Ta Super Czarna Dziura zbudowana jest wzorem kosmosu zarówno z tradycyjnej materii, jak też z nie poznanego rodzaju materii, o niewyobrażalnej sile grawitacji, rosnącej wraz z odległością. Czyli na powierzchni Super Czarnej Dziury siła grawitacji tej nie poznanej części materii praktycznie jest równa zeru.

Tradycyjna materia Super Czarnej Dziury - znajdująca się w centrum geometrycznym wszystkich czarnych dziur, galaktyk, etc. - podlega oddziaływaniu w kosmosie zgodnie ze znanymi regułami sił grawitacji. Nieznana zaś materia Super Czarnej Dziury utrzymuje na uwięzi grawitacyjnej cały Wszechświat.

Ta Super Czarna Dziura - to Ziemia.

Ziemia znajduje się w środku świata. Cbdo. Nic się nie zmienia, tak jak w przypadku spadającego z jabłoni jabłka. Powstaniem świata może zajmować się nadal religia!

Warto też zauważyć związek sił nieznanej materii z siłą ludzkiego mózgu. Te słynne załamania fal mózgowych na kliszach zdjęć... Zależą one od siły umysłu. A ponieważ największe siły umysłu na Ziemi skupiły się według mnie w Polsce - przy założeniu, że każda czarna dziura ma swoją większą dziurę - największą dziurą w głowie dysponuje każdy Polak, składając życzenia „szczęścia i powodzenia” innym Polakom. (8.10.2006)

Odkurzenie pozytywów

Niedawno minął rok od wyborczego zwycięstwa Kaczyńskich, za kilkanaście dni minie rok prezydentury Kaczyńskiego. Rok politycznej gorączki. Ale gospodarczej kontynuacji. W każdym razie w sensie makro. Na szczytach władzy przesilenie, najprawdopodobniej przekroczony został punkt krytyczny masy wybuchowej i buchnie dziś, może jutro, może nie buchnie. Gdybyż tak walnęło w elektrowni i zgasłyby media, ależby był spokój.

Czuję w krzyżu... odkurzenie stu domowych metrów. A jeszcze trawnik czeka na skoszenie. Sąsiad z południa nie zdąży pewnie przed zimą z koszeniem swojej trawy, sąsiadowi z północy w sukurs ruszy jak zwykle firma ogrodnicza. Nie przypuszczam, by młodych sąsiadów z północy i południa kąsała polityka, dopóki nie zagląda do kieszeni.

Jednak ludzie rozmawiają o polityce, głównie starsi, ale nie tylko, wystarczy połazić po placu targowym i posłuchać. Kąśliwości, ale względem wszystkich buziaczków

sejmowych. Oczywiście względem kaczorowatych największe. Bo o komuchach póki co zapomniano.

W sondażach Tusk z przodu, że hej. Kaczyńscy na łeb i szyję, kaczory na czerninę - ha, nawet niezłe hasło wyborcze wypsnęło się mi. Wybory? Wszyscy o przyśpieszonych wyborach. Te samorządowe niebawem, ale parlamentarne? Zawiódłby mnie kalkulator, gdyby politycy na nie poszli.

Szukam oznak zrozumienia. Pozytywów obecnego rozrabiactwa. I niekoniunkturalnie głaszczę amerykańską, dwupartyjną prostotę. To jest to, to jest polityka dla ludzi! Albo republikanie, albo demokraci. I każdy wyborca ma czyste sumienie.

Akurat po lekturze wspominków o Dmowskim. Nie przypadkiem zakreślam wspomnienie o jedynym spotkaniu Dmowskiego z Piłsudskim w niepodległej Polsce.

Ale wpierw o wczorajszym siedmiominutowym spotkaniu Donald Tusk - Lech Kaczyński. W Pałacu Prezydenckim konfrontacja PO - PiS. Tusk tłumaczył potem, że rozmowa z prezydentem trwała tylko siedem minut ze względu na „bardzo podwyższone emocje pana prezydenta”.

Skąd emocje? Lider PO zasugerował prezydentowi, aby wpłynął na dymisję brata, lidera PiS. Prezydent zapowiedział, że bez rządów brata Jarosława Kaczyńskiego, nie będzie akceptował żadnych rozstrzygnięć ustawowych Sejmu”. Ot, powiedzieli sobie, i poszli.

A teraz Dmowski z Piłsudskim dnia 21 maja 1920 roku w Belwederze. Kilka minut. Do spotkania doszło z inicjatywy Dmowskiego, po dwukrotnym telefonowaniu do kancelarii Naczelnika i trzydniowym oczekiwaniu. Piłsudski przetrzymał Dmowskiego w poczekalni więcej niż kwadrans, potem uderzył w dyktatorski ton. Po zapytaniu Dmowskiego: „Na jakiej podstawie mielibyśmy w Paryżu żądać dla siebie przyłączenia kresów wschodnich wraz z całą Galicją Wschodnią, jednocześnie popierając pretensje Ukraińców do tych ziem i do wielkiej samoistnej Ukrainy” - rozmowa urwała się.

Piłsudski i Dmowski uosabiają dwa główne nurty polskiej myśli politycznej, wciąż żywe. Historycy myśli definiują je jako „jagiellońską” i „piastowską”. Zatem mówisz: „Piłsudski” i rozumiesz Polskę wielonarodową, wielowyznaniową jak za Jagiellonów, Rzeczpospolitą samorządną w związkach z demokracjami zachodnimi. Mówisz: „Dmowski” i rozumiesz Polskę dla etnicznych Polaków niby jak za Piasta, jednorodną religijnie wedle równania Polak-katolik, mocną czystym moralnie aparatem państwowym.

Amerykanie mają demokratów i republikanów, my możemy mieć „jagiellonów” i „piastów”. PO albo PiS. Potrzeba tylko, by współczesne partie odwołały się do tych korzeni. Wydaje się, że przynajmniej PiS ma taki zamiar. (11.10.2006)

Skurcz szacunku

Rozdzielono nagrody Nobla, w grudniu wręczanie, a u mnie kolejne załamanie przestrzeni do szanowania.

Przestrzeń ta zaczęła się kurczyć od zszarzałego munduru oficera. W dzieciństwie brzmiał mi w uszach wierszyk: „Nie matura/ lecz chęć szczera/ zrobi z ciebie oficera”. Poza tym stosunek mojego ojca do swego munduru był wówczas - to się zmieniło potem - lekceważący. Może przez ten wierszyk...

Następnie straciłem szacunek dla godności profesora. Podsłuchałem na uczelni dyskusję dwóch profesorskich głów o sprawach polityki. Zemdlił mnie, studenta, prymitywizm ich sądów i myślenia, nie odbiegający od horyzontów jarmarcznych przekupek. Wcześniej profesora sadzałem na diapazonie wiedzy, widziałem w aureoli omalże renesansowej.

Wreszcie ksiądz. Kiedyś ksiądz uosabiał sacrum, bez względu na osobiste przywary. Gdy ksiądz proboszcz wchodził z kolędą do moich dziadków, a dziadek jako naczelnik poczty

należał do miejscowej elity, wszyscy klękaliśmy i całowaliśmy księdza w rękę. Czy można szanować księdza - kumpla, w krótkich spodenkach - jak ujrzałem - na rowerze? Można jako pojedynczego człowieka, nie można jako instytucjonalne sacrum.

Szanowałem też zawód lekarza; przestałem, od kiedy zaczął mi się kojarzyć z mechanikiem samochodowym. Tu posmaruj, a tam śrubka - taka wiedza medyczna trafiła pod strzechy.

A teraz nagroda Nobla, która dziś, uświadamiam sobie, znaczy co innego niż kiedyś. To już nie splendor biblioteczno-muzealny, przejście do historii. Bardziej dofinansowanie badań albo promocja dzieła czy politycznej wizji. Zapomniano by o Noblu, gdyby nie tłuste sumy na czekach. Można na temat nagród dywagować dłużej, zaczynając od Reymonta (czemu on, nie Sienkiewicz; Boże, jak Nałkowska chciała...), kończąc na Miłoszu (przecież nie „peerelowkim" Iwaszkiewiczu!) i „chłodnej religijnie" Szymborskiej (nie Różewiczu czy „agencie" Herbercie).

Do tego stopnia nagroda Nobla - przynajmniej w literaturze - upadła w moich oczach i przestała kojarzyć się z nieosiągalną glorią, że obmyśliłem szczegółowy plan, jak ją zdobyć. Mały pikuś dla mnie.

Nie trzeba być znanym, czytanym pisarzem. Wystarczy pisać średnio. Wystarczy wstrzelić się w kontekst, to wiadomo od lat. Tegoroczny laureat, Turek, Orhan Pamuk, którego poczytałem właśnie, wstrzelił się w kosmopolityczną wizję Europy, rozliczającą czarne karty historii, pisząc po turecku o konieczności zrobienia rachunku sumienia za wymordowanie przez Turków miliona Ormian w latach 1915-17.

To tak jakbym ja - Polak napisał o wymordowaniu przez Polaków Żydów na przykład w Jedwabnem w czasie wojny czy po wojnie w Kielcach.

Więc plan gotowy. Szczególnie, że materiał faktologiczny zebrałem już gruntowny. Jako jeden z pierwszych reporterów podjąłem „śledztwo" w sprawie Kielc, a jego wyniki publikowałem przed dziesięcioma laty w trzech materiałach na łamach „Gazety Krakowskiej".

Zbiorę wszystko do kupy, trochę tam wyglancuję dla picu i gotowe! O coś takiego Komitetowi Noblowskiemu przecież chodzi. Żeby rozliczyć czarne karty historii Polski czy Turcji. Oto ich wizja misji. A jakość tej literatury? Bez znaczenia.

Łudziłem się, że jest inaczej, stąd skurcz rozczarowania. (4.10.2006)

Bukiet myśli

List od mamy, a w nim wycinek z „Dziennika Bałtyckiego" ze zdjęciem. Na zdjęciu mama, od lat działająca społecznie na rzecz ludzi starszych i schorowanych, otrzymuje bukiet czerwonych róż od posła PiS Tadeusza Cymańskiego. Kilkadziesiąt starszych osób bije brawo.

Poseł znany od roku, od kiedy z trybuny sejmowej ogłosił, że jego matka nosi moherowy beret. To było po tym, jak przywódca PO Donald Tusk zdefiniował „moherową koalicję".

Mama najprawdopodobniej starsza od matki posła; poseł czuje się wśród osób starszych jak ryba w wodzie w tematach moherowych środowiska Rodziny Radia Maryja.

Na zdjęciu prasowym dorysowuję balony myśli. Nad głową posła wpisuję: „Proszę przyjąć te róże i pamiętać, by na mnie głosować. Bo kto, jeśli nie pani". Nad głową mamy: „Ja? Nigdy. A kwiaty - ładnie, że czerwone - zaraz przekażę pani Joli"...

Wiem, co wpisywać. Nie pierwszy wycinek prasowy z mamą chowam do albumu. Bo mama to nie matka posła Cymańskiego, tylko moja. (18.10.2006)

Grekom wszerz

U schyłku PRL wymyśliłem, że będę pisać reportaże z miejsc, położonych przy 51. równoleżniku. Wybierałem palcem na mapie punkty od wschodu na zachód, wyruszałem tam i dopiero na miejscu szukałem tak zwanego tematu. Powstało w ten sposób z pięć czy sześć sporych tekstów pod wspólnym tytułem „Wzdłuż 51. równoleżnika". Dojechałem do środka Polski, bo na część zachodnią nie starczyło redakcyjnej cierpliwości i funduszy.

Podobało mi się to, czytelnikom „Życia Literackiego" pewnie mniej. Z okazji mojego przyjazdu do przypadkowej wsi nikt nikogo nie poćwiartował przecież w gumnie ani nawet nie strzelił w sołtysa meteoryt. A to byłyby dopiero tematy! Swoją drogą majstersztykiem moim było wykrawanie reportaży z niczego.

Szukałem prawdy życia, takiej szarej, bez fajerwerków. I mocno płaski wydawał mi się tytuł „Wzdłuż...". Bo ja chciałem wszerz. Głęboko wszerz ludzkich życiorysów i doświadczeń, w jakichś sposób powiązanych wszerz z geograficznym miejscem. Ale jak mogłem dać „Wszerz 51. równoleżnika", byłaby za to dwója (dziś jedynka) z geografii.

I dopiero dziś, przy okazji gimnazjalnej edukacji syna, wykryłem, kto winny jest moim rozterkom. Winni są starożytni Grecy, którym ubzdurały się współrzędne geograficzne. Orzekli swoje, bo pływali po Morzu Śródziemnym długim na zachód i wschód, szerokim na południe i północ. Z tego powodu tylko Ziemia od wschodu na zachód jest długa, a z południa na północ szeroka.

Gdybym to wiedział wcześniej, odważyłbym się zatytułować „Wszerz...". A swoją drogą jakże ekscytujący mógłby stać się powrót w te same miejsca, do tych samych spraw i ludzi, porównanie „Wszerz 51. równoleżnika" PRL z „Wszerz 51. równoleżnika" IV RP. (20.10.2006)

Zrozumieć i wmówić

Pięćdziesięciolecie 1956 roku, obchodzone na Węgrzech, dobrze, że z udziałem naszego prezydenta, jakimże on by nie był. Ofiary powstania, liczone w tysiącach. I w tamtym roku dotarło do świadomości społeczeństw socjalistycznych, że nic nie da się zrobić na siłę. Że Zachód nie pomoże, bo mu dobrze.

Polski Październik 1956 pominięty medialnie... Nie dziwota. Przecież trudno naszym radykałom prawicy odwoływać się do „PZPR-owskiej ruchawki". To, że na czele powstania na Węgrzech stali działacze partii komunistycznej, przełknąć łatwiej, w końcu Węgra trudno zrozumieć.

Ale mnie co innego piknęło. Tamten rok 1956, powiatowe miasto Lębork, kałuża po deszczu tak wielka na podwórku, że można puszczać łódki z kory. A na końcu kałuży chlew z kwiczącymi świniami, na użytek internatowej stołówki. W kilku mieszkaniach kamienicy przy ulicy Chopina 13 radia lampowe. Wspólna ubikacja na korytarzu, piece węglowe, w misce ciepła woda do mycia dla mnie, dwulatka. Ale tak było dwa i trzy lata później, więc odwołuję się do własnej pamięci.

Oczywiście nie ma telewizji. Radio trzeszczące nawet przy orkiestrze Feliksa Dzierżanowskiego, piszczące na mego ojca, który szukał prawdziwych wiadomości z Monachium, Londynu i Waszyngtonu.

Politycy znani jedynie z fotografii. I z gazet. Jakże dalecy. Jakże wielcy. I obcy. Odwołuję się do własnej pamięci i... Dalej ciemna plama niepamięci. Można mi wmówić wszystko o roku 1956, tak jak dzisiejszym trzydziestolatkom o „Solidarności" roku 1980 i stanie wojennym. (24.10.2006)

Wspomnij.eu

Nigdzie tego nie podpatrzyłem. Nikt mi nie zasugerował czegoś podobnego. Może więc jestem pierwszy taki, co...

Kawał drogi za mną, z Krakowa Głównego. Bo Białystok-Starosielce, bo Brodnica. Cmentarze bliskich i najbliższych.

Także cmentarze inne, nie znane. Zawsze to nie znane irytuje mnie na cmentarzu - te groby zmarłych, o których nic nie wiem. Bardzo rzadko natrafiam na dopiski: „profesor LO", „magister farmacji" czy „naczelnik poczty". Rodziny mają się czym pochwalić...

A zmarli bez tytułów i stanowisk nie są warci uwagi? Z jakiej podanej na grobach informacji wysnuwać refleksję? Z długości życia?

Swego czasu napisałem reportaż na Święto Zmarłych, osnuty wokół powyższej myśli. Wybrałem się na cmentarz wiejski i próbowałem odczytać z grobów historie życia. Pamięć żywych, spotkanych tam ludzi, niewiele mi pomogła. Pusta pamięć, więc groby też były puste.

Chciałbym wchodzić na cmentarze i czytać z nich jak z księgi.

Dlatego zrobiłem coś jako pierwszy może... Zleciłem wyrycie na pomniku mego zmarłego ojca adresu strony internetowej: www.wspomnij.eu. Na tej stronie - wspomnienie, napisane przez ojca.

Od tej chwili każdy przechodzień na cmentarzu przy ul. Św. Boboli w Białymstoku, jeśli tylko zapragnie, będzie mógł dowiedzieć się o mym ojcu wszystkiego. I pamiętać. (4.11.2006)

Wyjazd z drabiną

Nie sądziłem, że tak dużo będę myśleć o pracy za granicą. Od dawna to temat w Polsce czołowy. Nie przemawiały do mnie statystyki, te liczby rodaków, wyruszających za chlebem w dal. Lekceważyłem sprawę, dopóki w jesieni nie przytrafiła mi się dziura w dachu. Ileż to ja się wtedy wydzwoniłem za jakimś fachowcem. I nic. Fachowcy wyjechali! A ci, co zostali, terminy mieli zajęte do końca roku.

Przy okazji pewien inżynier dał mi wykład o stanie rynku usług w kraju po wyjeździe najlepszych. W skrócie: ci, co kiedyś kryli dziury w dachach, kryją teraz osiedla wielorodzinne. Ci, co kładli papę na garażach, kryją teraz wille. Ci, co trzymali drabinę fachowcom, wybili się dziś na podstawowe, zwykłe usługi budowlane. A co dalej z tymi od drabiny? Uciekną z drabiną?

Cała prawda. Dziurę w dachu mam nadal. I co robić? Przecież głupi byłbym czekając, aż fachowcy powrócą. Może ruszę za nimi razem z tym dachem... A jeśli nie z dachem, to choćby z moim pisaniem.

Pierwszy krok zrobiłem. Przy okazji bytowania internetowego otrzymałem zachętę do napisania czegoś dla „Pracy i Życia za Granicą", dwutygodnika, o którego istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Sprawdziłem medium i już wiem, dlaczego mam dziurę w dachu.

W piśmie sukces i programowa zachęta: „podpowiemy ci, który kraj jest najlepszy do pracy i życia", „gdzie najłatwiej znaleźć pracę", „pracuj i zwiedzaj Stany Zjednoczone", „wybierz najlepsze dla siebie konto w brytyjskim banku", „co robić za granicą po obiedzie?"! To tematy artykułów z jednego, listopadowego numeru.

Skoro najlepsi pocą się dla zagranicy - to ja też mogę, na czarta. A dla kraju niech piszą dziś ci, co kiedyś trzymali mi drabinę przy usługach dziennikarskich, bo taką działalność gospodarczą, polegającą na pomocy w pisaniu biografii oraz wspomnień przez autorów amatorów, prowadziłem. (8.11.2006)

Optymista

Nic mi się w życiu nie udało, powiedział pesymistycznie Poldan. Bo wszystko dostawałem za późno. Za późno się urodziłem i nie zdążyłem do podstawówki siedmioklasowej, potem za późno skończyłem studia, za późno ożeniłem się i za późno zostałem ojcem. Za późno wybudowałem dom i zasadziłem drzewo. Za późno osiągnąłem wymarzone sukcesy. Wszystko za późno, powtórzył smutnie Poldan. I najpewniej za późno też umrę. (9.11.2006)

Marzenie

88 lat temu wjechał do historii Piłsudski i moi sąsiedzi wywiesili biało-czerwone flagi. Ja nie. Ale miło mi patrzyć na takie świętowanie.

Nie mam flagi, więc nie mam co wywieszać.

Sąsiedzi dekorują się często, kiedy tylko ku temu okazja. A Pani Profesorowa dwa domy dalej zawsze. Wystawiała obrazek z Janem Pawłem II i flagę watykańską na cześć wizyty w Polsce kolejnego papieża, dodała też flagę amerykańską. Pasowała; barwy narodowe w każdym miejscu to takie amerykańskie...

Rozumiem to wszystko. Ale ja wciąż nie mogę. Chciałbym wystawić flagę niepodległości, ale skamieniałem.

Za mocno wryły mi się w pamięć czerwone i biało-czerwone szturmówki na 1 Maja, 22 Lipca, 7 Listopada... Chyba raz przytrafiło mi się je nieść, raz zauważono moją nieobecność i pogrożono palcem.

Do dziś mam awersję do flag, sztandarów i wszelakich manifestacji. Do ludzi, którzy szczerze maszerowali z czerwonymi szturmówkami drzewiej, a dziś deklarują z zapałem cześć dla Święta Niepodległości.

Ale tacy są ludzie, wiem to. Wiem też, że ci ludzie mnie nie zrozumieją.

Ładny widok: domy z flagami. W wielu z nich mieszkają gospodarze młodzi, bez pamięci PRL. Więc tylko przyklasnąć.

Zapytał syn, czemu nie mamy flagi. Kup, wywieś, to będziemy mieli, odpowiedziałem, pomogę, ale mnie w to nie mieszaj. I czekam. Może się doczekam. Marzę, by się doczekać. Akurat na jutrzejsze wybory samorządowe zrobiłem coś realnego i niezależnemu kandydatowi na radnego pomogłem zadiustować ulotkę wyborczą. Takiż mój wkład w rzeczywistość. (11.11.2006)

Składnik

Pewne tematy wymagają celebracji, inne nie. O spaniu, jedzeniu, zakupach, etc. można gadać wszędzie, pisać lewą ręką na kanapie, ale o tym, że Benedykt XVI generuje moje prądy umysłowe w wyższym stopniu niż Jan Paweł II, nie za bardzo. A o tym przecież czytam, myślę. I napiszę.

Tymczasem doniosę, że w sporcie zaczęła się zima. Zaraz znów będzie Małysz, może ktoś jeszcze rozpędzi się jak Kubica. W roku mnóstwo czasu przeznaczam na sport przed ekranem: u mnie tenis głównie (Radwańska!), przed rokiem doszła siatkówka (zbrzydły Złotka). Oczywiście piłka nożna, ale tylko na poziomie narodowym (lot Orłów pod obcym knutem).

Składnik życia. Ważny przecież, bo emocjonalny. Ale mimo wszystko i na szczęście bez determinant. Jak odżywianie i oddychanie. (18.11.2006)

Upodlenie

W kopalni „Halemba” w Rudzie Śląskiej wybuch metanu zabił wczoraj górników, jutro nadejdzie wiadomość, że 23., wszystkich poszukiwanych i ratowanych. Będą potrzebne badania DNA do identyfikacji ciał. W TV górnik-ratownik, przecież bohater wśród bohaterów, opowiada zmęczony, co widział pod ziemią, jak trudno, jak strasznie, jak niebezpiecznie. W pewnej chwili dziennikarka pyta, oczekując potwierdzenia tego, co wiadomo: czy „Halemba” należy do najniebezpieczniejszych kopalń w kraju?

Górnik-ratownik, bohater wśród bohaterów, tężeje na twarzy, oczy mu okrągleją, w bohaterskich oczach widać strach, prawdziwy strach, dopiero teraz strach. Nie, odpowiada, nie, u nas jest niebezpiecznie jak w każdej kopalni.

Ratownik czuje kontekst pytania. Boi się, to widać. Boi się, że kopalnia zostanie po wypadku zamknięta. Że zostanie bez pracy! Przecież nic innego robić nie umie, nawet handlować marchwią na rynku. Boi się nie metanu, nie ognia, lecz... upodlającego losu.

Jego ojciec na emeryturze, też górnik, kiedyś mógł patrzeć w kamerę bez takiego upodlenia przez system gospodarczy. (22.11.2006)

Ale boli...

Formacja Giertychów ma problem z Młodzieżą Wszechpolską. Cholernie bolący problem. Jakaś grupka frustratów urządziła sobie libację quasi-faszystowską, udokumentowaną medialnie. Młodszy Giertych, który parę lat temu patronował wszechpolakom, twierdzi teraz, że to nie była jego młodzież i że w ogóle i od dawna nie ma z Młodzieżą Wszechpolską nic wspólnego.

Zaklina, że mówi prawdę. Pewnie mówi prawdę. Ale to nie pomaga. Skrócić Giertycha o głowę, skreślić z życia!, zdelegalizować faszystowską młodzież - oto postulaty tzw. opinii publicznej.

Panie Giertych, ale boli, co...? Wystarczy, że jakiś gówniarz namaluje na płocie swastykę, i już będzie na pana! Co z tego, że organizacja, z którą miał pan sporo wspólnego, przysięga w TV, że faszyzm potępia jako zło, że faszyzm uważa za ideologię zbrodniczą!? Niestety, przykleiło się.

Boli, co...? To tak jak z tymi parszywymi komunistami z PRL, którzy dowodzili, że ze Stalinem i KGB nie mieli nic wspólnego, mówili, że są socjaldemokratami, przekonywali, że mogli robić coś sensownego dla Polski tylko z legitymacją PZPR. Nie dla pana, panie Giertych, była taka gadka, co? Nie uwierzył pan. Pańska przecież to postawa: skrócić komunistów o głowę, skreślić z życia!

Niesprawiedliwe oceny bolą. Niech pan przypomni sobie swoje słowa o Jaruzelskim, Kuroniu... Nie wspomnę byłemu patronowi wszechpolaków tez o Michniku z powodu jego żydowskiego pochodzenia.

Jakiś chochoł komunizmu podciął część mego pokolenia i żal mi. Nie chcę, by kogokolwiek, i Starszego, i Młodszego Giertycha, podciął chochoł faszyzmu. (30.11.2006)

Największe zło, największe zagrożenie

Papież Benedykt XVI już w Rzymie z bólem niezrozumienia po ubiegłotygodniowej podróży do muzułmańskiego i prawosławnego Konstantynopola. Rozpoczął się adwent, czyli czas refleksyjnego oczekiwania na Boże Narodzenie... Duża radość, mimo iż jestem relatywistą - według Benedykta XVI największym złem i największym zagrożeniem dla Kościoła.

I. Oto pytanie, na które szukam odpowiedzi od zawsze: kim jestem?. Odpowiedź na nie, znajdowana w różnych latach, wciąż mnie nie zadawala. *Summa summarum* pytanie sprowadza się do trywialnego rozważania o bogu: czy on jest, czy go nie ma - albo - czy wierzę, czy nie wierzę? W boga i w Boga! Czy jestem odrobiną przyrody ze świadomością bycia, czy materią nadprzyrodzoną?

Za innymi, P.T. (*pleno titulo*), wpiszę piękne, acz wymijające: nie została mi dana łaska wiary. Źle, że konstatacja ta znaczy tak naprawdę niewiele, a na pewno nie znaczy, że nie wierzę. To tylko słowami łatwo zagrać, kończąc wizytę u znajomych: „nie żegnam się, bo jestem niewierzący". A bez słów, realnie?

Muszę sięgnąć pamięcią wstecz, do okresu dzieciństwa. Do wszechobecnego wtedy, wsiąkającego we mnie materializmu i determinizmu, wspieranego silnie politycznie przez „jedynie słuszną ideologię leninowsko - marksistowską". To też była wiara. Wiara w naukę, w nowoczesność, w rozum, w to, że duszy nie ma, że religia to opium dla ludu. Bóg ateizmu nazywa się racjonalizmem i jak każdy konkurencyjny bóg był i jest dźgany przez inne religie.

Dorastałem więc między Bogiem katolicyzmu a bogiem ateizmu jak całe pokolenie. Ojciec chodził do kościoła regularnie, i ja z nim obowiązkowo. Matka nie, bo bała się o pracę. Widziałem, że można było nie chodzić, łatwiej i przyjemniej było nie chodzić, szczególnie, że w telewizji wyświetlano specjalnie w tych godzinach atrakcyjne westerny. Ale pamiętam też niedzielne wyjazdy do sąsiedniego miasta, blisko czterdzieści kilometrów samochodem, by tam wspólnie iść do kościoła, by matka nie bała się, że ktoś ją zobaczy i oskarży, że jako nauczycielka propaguje wśród młodzieży postawy klerykalne i światopogląd antysocjalistyczny.

Jednakże na mnie największy wpływ wywierała postawa ojca, który chodził do kościoła tak, jak go wychowano za młodu, chodził niejako „na ślepo", dla mnie niezrozumiale. Kościół i ksiądz - to były dla niego do śmierci najwyższe autorytety. I także „ślepa" jego wiara. Nie pojmowałem, dlaczego nie odczuwał sprzeczności między tym, czego uczył się z przejęciem na wydziale biologii uniwersytetu, czym się pasjonował i co szanował - na przykład, pamiętam, darwinowską teorię ewolucji czy choćby nieskończony kosmos - a zapisami w Biblii o powstaniu świata i człowieka.

Przecież zapytałem o to i usłyszałem w odpowiedzi, że zapisy trzeba rozumieć symbolicznie oraz że mądrzejsze głowy, takie jak ojca profesorowie, wierzą w Boga. I koniec, i już, na ślepo do kościoła.

Dla mnie to jednak nie był koniec, lecz początek. Koniec z całowaniem nóżek Ukrzyżowanego, bo jak można całować symboliczne lalki, początek zastanawiania się, kim jestem, gdzie Bóg, czy wierzę.

W tym miejscu dwie dygresje. Pierwsza związana z moim synem, któremu znowuż ja spróbowałem wytłumaczyć parę lat temu sens chodzenia do kościoła: 1) Kościół uczy, co dobre, co złe, zagospodarowuje tę część człowieka, która jest podatna na oddziaływanie zła; 2) lepiej i korzystniej dla jednostki tworzyć wspólnotę kulturową i obyczajową z większością społeczeństwa; 3) Kościół jako *theatrum sacrum* pogłębia osobowość; 4) do ślubu potrzebne bierzmowanie...; 5) dla wierzących - zbawienie w niebie, dla wszystkich spacer dla zdrowia.

I co? Czy w przekazie dla syna bardzo poróżniłem się z tezami mego ojca? W każdym razie skutek odniosłem póki co podobnie żaden.

I druga dygresja, sięgająca korzeni, a więc atmosfery barokowego kościoła mego dzieciństwa, z przejmującym mrokiem i niezrozumiałą łaciną. A tu, teraz papież Benedykt XVI pragnie przywrócić dla nowych pokoleń mszę trydencką, tę odprawianą do 1969 roku po łacinie, tę sprzed Soboru Watykańskiego II, „tyłem do ludu, przodem do Boga", bo „ogłoszenie zakazanym mszału, który był wypracowany przez wieki, poczynając od czasów sakramentarzy Kościoła starożytnego, spowodowało wyłom w historii liturgii. (...) Czegoś podobnego nie było w całej historii Kościoła - przekreślono przecież jego całą przeszłość".

Przywrócić - znaczy dać duchownym prawo wyboru liturgii. Jan Paweł II nie pozwolił na to. Jego następca pozwoli, ponieważ tak oto wspomina zawierzenie swoje w tajemniczy świat wielowiekowego mszału: „Spotykałem tam rzeczywistość, której nikt nie zmyślił, której nie stworzył ani jakiś urzędnik, ani wielka jednostka. Ta tajemnicza struktura tekstu i akcji wyrosła poprzez stulecia z wiary Kościoła (...). Nie wszystko było logiczne, czasami zawikłane i trudne w orientacji. Ale właściwie przez to struktura ta była cudowna i dziwnie przejmująca".

Otóż ja też wyrosłem na mszy trydenckiej, na takie msze byłem prowadzany przez ojca. I ani nie zawierzyłem, ani nie widziałem w nich intrygującej tajemnicy. Ich struktura w żaden sposób nie była cudowna, raczej obca i wroga niż przejmująca, a jeśli się nad czymś tajemnie zastanawiałem, to nad zagadnieniem, dlaczego Bóg mówi po łacinie, a nie po hebrajsku (dokładniej po aramejsku).

Ale to dopiero wstępna moja rozprawka z Benedyktem XVI, ortodoksem...

Przy okazji nie mogę powstrzymać się od dowcipu, i to takiego poniżej umysłowej przyzwoitości, jednakowoż swojskiego, który siedzi głęboko w moje głowie i wychyla się, kiedy tylko pomyślę o Benedykcie XVI: W czasie okupacji niemieckiej młody Karol Wojtyła ucieka przed łapanką. Słyszy nagle „Hande hoch!". Jakiś młodzian z Hitlerjugend o nazwisku Ratzinger mierzy do niego z karabinu. Nie strzelaj, prosi Wojtyła, przecież ja będę papieżem Janem Pawłem II. Tak?, zamyśla się Ratzinger, dobrze, ale ja po tobie!

II. Lata świetliste spędziłem na rozdrożu, nie wierząc, że wierzę, wierząc, że nie wierzę, nie wiedząc, że nie wierząc, wierzę. Nie od razu posiadłem wiedzę, jak się nazywa to egzystencjonalne rozdroże. Wokół było tylko jedno słowo - ateizm. Ale przecież uciekałem od ateizmu, traktując go jak ortodoksję filozoficzną, więc jak zło, które nie przystoi w miarę wrażliwemu umysłowi.

I w latach mojego studiowania karierę wśród niedowiarków zaczęło robić pojęcie jakoby alternatywne - agnostycyzm. Zrobiło się lżej na duszy, bo mogłem wypchać się na ateizm, w zamian przyjąć pozycję wygodniejszą. Faktycznie pasowało mi wtedy coś tak asekuracyjnego: nie potwierdzanie ani nie zaprzeczanie istnieniu Boga, ponieważ nigdy nie da się dociec prawdy. Potem w życiu publicznym wielu kreowało się na agnostyków, aby uciec od oskarżeń katolickich o ateizm.

Jednak nie czułem się dobrze w tych ramach. Z każdym rokiem brakowało mi tu coraz więcej. Przede wszystkim wiary! No bo co to za wiara w niemożność poznania prawdy? Ateista wierzy, że nie ma Boga i już! *Nota bene* ja w kontrze do agnostycyzmu wierzę w możność poznania prawdy, tak jak matematyk wierzy, że w nieskończoności funkcja zmierzająca do nieskończoności równa jest nieskończoności. Wierzy, bo przecież ta nieskończoność - to wiara. Ale ta wiara jest prawdą i z rozwojem nauki coraz bliżej wierze do prawdy.

Poza tym denerwowali mnie i wciąż denerwują niedouczeni agnostycy - pozerzy, co to nie potwierdzają i nie zaprzeczają, że Bóg jest... Filozofia główny nacisk kładzie przecież nie na Bogu, lecz na tezie, że świat jest niepoznawalny. Gdy taki wytyczyłem akcent w agnostycyzmie, wykluczyłem go z kręgu myśli o Bogu.

Stanąłem znowu u drzwi. Wiedziałem to, co zawsze, że albo się wierzy albo nie. Przyszły wyjazdy reporterskie w łemkowskie prawosławie i grekę unicką, a za nimi nauka o innych, niekatolickich wyznaniach świata. Doprawdy, doprawdy, sporo zyskałem. Wiedzy. I tolerancji dla Boga w ludzkich sercach i duszach, potrzebnego człowiekowi do życia, stworzonego na wzór człowieka z potrzeby życia, więc realnego, żywego i istniejącego.

Bóg zaczął dla mnie istnieć bez względu na nadane mu imię, bez względu na przypowieści, skąd się wziął. Bóg - przyroda. Zaczął istnieć? Przecież w moim kręgu narodowym i kulturowym, w Kościele, w którym tkwi moja dusza - to niewiara w istnienie Boga!

Nie mogłem i nie mogę pojąć tego paradoksu. Judaizm - niewiara, islam - niewiara, Świadkowie Jehowy, mormoni itp. - niewiara, Budda - niewiara, hinduizm - niewiara, Tao i Konfucjusz - niewiara, protestantyzm - niewiara, prawosławie - „kocia” wiara... Czyli z grubsza trzy czwarte ludzkości nie wierzy w Boga! Oczywiście łącznie z ateistami, agnostykami i innymi czcicielami Matki Natury.

Wierzący niewierzący. Pytanie: kim jestem, gdzie jestem? wciąż nie znajdowało odpowiedzi. Przyjąłem, że Bóg może i jest, metafizyczny, lecz na pewno nie ten znany, na świętych obrazach, w świętych posążkach wielu kultur, w świętych księgach i symbolach, w świętym ceremoniale. Nie ten, raniący rozum cudami, lepiej niż Herkulesowymi, z wytłumaczeniem których nauka, wierzę, poradzi sobie za parę świetlnych lat. Doszedłem do przekonania, że wierzę w Boga, lecz w Boga bez szaty cywilizacyjnej, bez makijażu regionalnych kultur. Czyli w Boga wszystkich ludzi na Ziemi. W Boga nieogarnionego. Czasoprzestrzennie „zakrzywionego”, który w jakimś czasie może być i jednocześnie nie być... w zależności od przestrzeni... Oczywiście dowcipkuję.

W porządku. W takiego Boga Universalis mógłbym uwierzyć. Mógłbym, gdybym umiał go zdefiniować.

Trudno mi przypomnieć sobie rok, ale musiał to być rok ważny, ten jeden z ostatnich w XX wieku, w każdym razie poprzedzający przedostatnią pielgrzymkę papieża Jana Pawła II do Polski. Wtedy po raz pierwszy pokazał mi się w TV kardynał Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary. To, co tam powiedział, pomogło mi w samookreśleniu. Od tej pory wiedziałem już, kim jestem.

Ratzinger orzekł, że jego Kościół jest jedyną (!) drogą zbawienia, że Chrystus jest jedynym (!) Pośrednikiem, dogmaty wiary niewzruszalne, podobnie święta liturgia i obrzędowa tradycja. A największym złem świata, równocześnie największym zagrożeniem dla Kościoła jest relatywizm, redukujący katolicyzm do jednej z wielu religii, dezawuujący to, w co i jak Kościół wierzył od wieków. W co i jak przez wieki!

Ucieszyłem się, bo dotarło do mnie, że jestem relatywistą - największym złem i największym zagrożeniem dla Kościoła. Duża radość. Kamień z serca po wieloletnich poszukiwaniach, omalże głaz.

Potem kardynał Ratzinger w homilii programowej na konklawe, po którym został Benedyktem XVI, przeciwstawił się uległości Kościoła wobec bezbożnych ideologii i zapowiedział wojnę z „dyktaturą relatywizmu, która nie uznaje niczego za pewnik, a jedynym miernikiem ustanawia własne ja i jego zachcianki”.

Stało się. Pozostaję ze swoim Bogiem - relatywizmem. Choć przecież mogę czynić jak pewien proboszcz po wyproszonej audiencji u biskupa. Księże biskupie, powiedział proboszcz, nie wiem, co mam robić, nie powinienem być proboszczem, bo ja już nie wierzę w Boga. Nie martw się, poradził biskup, rób to, co ja, udawaj, że wierzysz.

Ale mogę też czynić odwrotnie: udawać, że nie wierzę. Jak relatywizm, to relatywizm... (4.12.2006)

Image

Obejrzałem „Jezioro Łabędzie” w wykonaniu „Moscow City Ballet”. Goszcząca „MCB” scena Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego spełnia raczej minimum potrzeb baletowych kreacji, niemniej jednak mnie się podobało. Pam-bam-ram...Ti-ti...

Ponieważ bardziej znam się na marketingu i promocji niż na balecie, to przed występem obserwowałem z jakimś tam podziwem tworzenie *image* zespołu. Z dużym przekonaniem stwierdzam, że kupujący drogie bilety widzowie, mieli zamiar obejrzeć balet słynnego moskiewskiego teatru „Balszoj”. W zamian zaś otrzymali do podziwiania sztukę, jedynie wywodzącą się z „Balszoj”... Siedemdziesięciodwuletni założyciel i szef zespołu

Victor Smirnov-Golovanov młode lata przetańczył w „Balszoj" - i tyle, i aż, by przecież bez kłamstw, cóż że podwiązując się pod „Balszoj", można było budować z powodzeniem markę nową.

Jesienią 1989 roku miałem okazję być w „Balszoj". Teatr Wielki w Moskwie nie wystawiał akurat, czego żałuję, „Jeziora Łabędziego", ale i tak swoje przeżyłem. Był to czas rządów Gorbaczowa i manifestacji ulicznych z udziałem Jelcyna - jednym słowem ostatki starej epoki. Puste sklepy, zdezelowane, powojenne ciężarówki na głównych prospektach. Pętałem się tam między mumią Lenina a skansenem Kołomienskoje, pozaliczałem wszelkie cerkwie, muzea i galerie, „Ukrainy", „Łomonosowy", palące się akurat „Ostankino". Musiałem być wszędzie, więc i w „Balszoj".

Bilety sprzedawano z półrocznym wyprzedzeniem. W ogóle szans na wejście. Stanąłem przed bileterem z głupia frant. I co? I „pakupił polskij żurnalist". Nie umiem powiedzieć, czy u konika, czy „okazyjnie".

Wspaniałe *entourage* „Balszoj". To je chciałem zobaczyć. A że w tym dniu na deski teatru wkroczyła gościnnie słynna „La Scala" z „Cosi fan tutte"?... Dwa grzyby w barszczu! Włosi nie byli potrzebni mi do szczęścia.

O szczęściu przypomniał mi „Moscow City Ballet". (5.12.2006)

Nadzieje prysły

25 lat temu sądziłem to samo, co dziś. Mieszkałem z żoną „na dziko" w kawalerce, należącej do naszej znajomej. Właścicielka lada dzień miała wrócić z Francji i z żalem szykowaliśmy się do przenosin do teściów. Gdy telewizor odezwał się wojennie, powiedziałem, że to koniec. Przepaści między władzą a społeczeństwem nie da się zasypać.

By być w porządku z meldunkiem, spakowaliśmy się do dziesięcioletniego fiata 125 p, podarowanego przez moich rodziców, i przejechaliśmy cały Kraków. Bez zainteresowania mundurowych.

Po południu dotarłem do redakcji „Dziennika Polskiego". Oddałem legitymację PZPR oraz złożyłem pismo o wystąpieniu z „Solidarności".

25 lat temu sądziłem to samo, co dziś. Że przegrano szansę na dogadanie się Polaka z Polakiem. Że winę za to ponosi zarówno partia socjalistyczna, jak i elita działaczy „Solidarności".

Żył Breżniew, do władzy szykował się chory Andropow, po nim Czernienko... Ileż to jeszcze lat było do Gorbaczowa! A „Solidarność" żądała wolności i demokracji, takiej jak dziś, do tego rozliczenia komunistów, tak jak dziś... Wtedy! Gdy podstawowy aparat władzy uważał ekipę Jaruzelskiego za zdradziecką, skoro rozmawiała i negocjowała z wrogami socjalizmu.

Czy wkroczyłaby Krasnaja Armija? W życiu! Choć red. Krzysztof Kąkolewski, z którym miałem kiedyś zaszczyt..., już ją widział, tak jak Lepper talibów w Klewkach…

Popularyzuje się tezę, że stan wojenny oddalił w czasie demokratyzację kraju. Zgoda! Ale winna temu jest zarówno elita PZPR, jak i „Solidarności". 25 lat temu tak sądziłem i sądzę tak nadal. Dziś współwinni dekorują się za zasługi, świętują hucznie... Co? Swą współwinę, zaprzepaszczenie nadziei?

Nadzieje prysły. Mimo stanu wojennego... właścicielka mieszkania wróciła z Francji. Ach, jak to miło było przed wojną. Bo potem to już z górki. (13.12.2006)

Też, życzę

Czas składania życzeń świątecznych. Darkowi Ł. życzyłem wczoraj, w Dariusza. A reszcie?

Formacji Kaczyńskich życzę pączkowania na Marcinkiewiczów.

Księdzu Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu, by zrozumiał, że dobro powszechne nie musi być dobre dla Kościoła powszechnego.

Światu nowego Einsteina.

Flagi biało-czerwonej na dachu.

Znojnych wspomnień Dziadka Mroza.

Liberałom optymizmu noworodka. Na Marsie.

Kontry, oka, kropel, ognia, wycia, przesadzania, rumieńców, odkurzania, opluwania, skoków, zawiasów, śmiechu, marzeń i drabiny.

A sobie też. Życzę. (20.12.2006)

Rok www

Od lat pod koniec grudnia nadaję nazwę rokowi, który akurat ucieka. I wiem wszystko. Wystarczy mi zerknąć w zapisany kalendarz. Czytam nazwę roku - tę ocenę w pigułce życia. Przykładowo 2004 - to rok krańców, a 1997 - ostatniej radości, 2001 - jednego obrazka, 2002 - braku innej drogi niż do przodu. Taki 1996 - to był rok gorzki, 2003 - szpitalny, a 2005 - upadków, etc.

Tylko ja jestem w stanie podpiąć pod nazwy właściwą porcję optymizmu i spełnienia. Oczywiście dziś, bo za iks lat nie obejdzie się bez wnikania w szczególiki notatek kalendarzowych.

2006 - to dla mnie rok www.... I tyle. I aż. (28.12.2006)

Siódmy rok odpoczynku?

Nowy Rok 2007 z „7”, czyli szczęśliwy i magiczny. Nigdy nie wierzyłem w przesądy, choć zawsze na wszelki wypadek chwytam guzik na widok kominiarza. Sięgnąłem za mity kultury Władysława Kopalińskiego, by odkadzić „7”.

Być może wszystko przez niebo starożytnych, na którym astrologowie dostrzegali siedem ruchomych ciał niebieskich: Słońce, Księżyc i pięć planet, po Saturna. To one miały decydować o losach ludzi.

A potem poszło jak po sznurku: w Starym Testamencie Abraham zakłada się o 7 owiec, u Herodota Arabowie nacierali krwią 7 kamieni na zgodę, Żydzi co 7 lat dawali ziemi ornej odpocząć od upraw, Bóg stworzył świat w 7 dni, więc mamy siedmiodniowy tydzień, prorok Elizeusz leczył siedmiokrotną kąpielą w Jordanie, siódmego dnia oblężenia zdobyto Jerycho, 7 dni trwało wesele Samsona, w Objawieniu św. Jana wystąpiło 7 kościołów Azji, 7 świeczników, 7 gwiazd, 7 trąb, 7 aniołów z 7 plagami itd. Ot, od 7 boleści po 7 cnót. 7 cudów świata. 7 grzechów głównych. 7 miast Homera. 7 sakramentów. 7 śpiących z Efezu. Siedmioramienny świecznik. 7 mędrców. Etc., etc...

Po 7 latach chudych życzenia 7 lat tłustych w siedmiomilowych butach, z dzielnością 7 samurajów... (1.01.2007)

Do łez i bólu

Wiem już, czemu nie imałem się publicystyki na tematy tzw. poważne. Po prostu powagi, sformalizowanej publicystycznie do poważnych tez, nie wytrzymywała moja konstrukcja psychiczna. Dostrzegam tę swą dolegliwość ostro dopiero dziś, przed jutrzejszym ingresem arcybiskupa Stanisława Wielgusa, agenta SB, do stołecznej katedry i objęciem przez niego funkcji metropolity warszawskiego. Od kiedy wyszła na jaw agenturalna przeszłość

hierarchy, brzuch boli mnie od śmiechu. W takich stanach obolałych nie umiem pisać „na poważnie".

No bo wyobrażam sobie... U „kryształowych" prawicowców w obyczaju jest niepodawanie ręki agentom SB! A teraz będzie trzeba tę rękę z pierścieniem całować...! I śmiech.

Myśl: arcybiskup Wielgus to wkład Kościoła w budowaną przez formację Kaczyńskich IV RP. I śmiech, do bólu.

Myśl: namęczył się, nadręczył ten ksiądz Isakowicz-Zaleski, by wytropić księży-agentów, toczył on boje o publikację ich nazwisk w „Znaku"... I po co mu to było? A po co to było „Znakowi"?... I śmiech! No, nie mogę! Przecież życzyłem tu temu księdzu niedawno, by zrozumiał, że dobro powszechne nie musi być dobre dla Kościoła powszechnego. Rozumie to szef księdza, kardynał Stanisław Dziwisz, chyba nie agent...

Myśl: arcybiskup Wielgus powiedział, że współpracował z SB „za pomoc w karierze"...! I śmiech, aż trzęsie. Bo kiedyś jakiś esbek nakrzyczał na niego brutalnie, że mu karierę utrudni..., więc podpisał, co kazał. Śmiech do łez.

Myśl: z tej okazji dawno niewidziany w telewizji Krzysztof Zanussi, mentor kościelno-etyczny, reżyser kina moralnego niepokoju. Toż to gotowy scenariusz na film dla niego... I śmiech. Nie mogę powstrzymać się od łez z powodu moralnego niepokoju. W oczekiwaniu na godność kardynała dla arcy-agenta.

Myśl: na jutrzejszym ingresie wszystkie media będą sprawdzać listę obecności... Prezydent RP Lech Kaczyński zapowiedział skrzywiony swą obecność na ingresie, szanującą decyzję papieża. A taki abp. Tadeusz Gocłowski z Gdańska nie musi nikogo szanować i zapowiedział, że na ingresie nie będzie. No, proszę!

Myśl: po 1989 roku zwiędły kabarety polityczne, bo nie było z czego się śmiać. Tyle lat... i wreszcie jest z czego! (6.01.2007)

PS (z 7.01.07): Rezygnacja abp. Wielgusa z funkcji metropolity w dniu ingresu (!)... nastąpiła na żądanie papieża, po nacisku Kaczyńskich! Wykorzystano kanon 401 paragraf 2 Kodeksu prawa kanonicznego w brzmieniu: „Usilnie prosi się biskupa diecezjalnego, który z powodu choroby lub innej poważnej przyczyny nie może w sposób właściwy wypełniać swojego urzędu, by przedłożył rezygnację z urzędu". Episkopat, po chrześcijańsku chcący oceniać człowieka w całej złożoności, kontra czarno-biali Kaczyńscy. Prymas, kard. Józef Glemp, w homilii antylustracyjnej dał nadzieję na ciąg dalszy kabaretu.

Wieczne chwile

Potrzeba tu strun, by wygrać opowiadanie. - Wiesz, co za uniesienie? - drwię sam z siebie - pewny rak!

- Wesoło ci? - Tak, bo to przecież życie. - Co? - Najprawdziwsze antygeny sterczowe, stosunek frakcji wolnej do PSA, pracownie ESWL. „S" w skrócie to „shock". Szok, mości panie, najprawdziwszy.

Dawno nie widziałem szpitala, więc promieniuję. Oglądam nową elewację budynku - pachnidło luksusu. Do luksusu ze złośliwościami komórek. Co za radość, bo przecież codzienność taka szara.

Stoję pod drzwiami pół godziny. Krzeseł nie ma, więc gibaniem na lewo i prawo uciekam od bólu krzyża. Mam tylko ustalić termin potwierdzającej oczywistość powtórnej biopsji, a czas mija. Mnóstwo ciekawych obrazków w korytarzu. Chudy dryblas w czarnym garniturze, w czarnej koszuli, w czarnym krawacie, z jakąś złotą naszywką przy klapie snuje się powłóczyście w tę i we w tę. Wygląda jak „łowca skór"? Nie wiem, czy w tym szpitalu działa zakład pogrzebowy. Z bliska czytam złote litery: por-tier. Oj, to portier. Portier. ...Charon?

Kilka białych zakonnic, od białych czepków po białe tenisówki. Ale oczy kobiet zmęczone, może z rana były białe. Jestem ich ciekawy. Następnym razem zaczepię, zapytam, zanotuję dane. By dociec, gdzie dom, gdzie zakon. A gdzie optymizm.

Znowu portier, tym razem zgarbiony przed jakimś gościem zarządzającym. Słucha wytycznych, wypowiadanych komentarzy. Intrygujące, czy są one warte uwagi.

- Proszę pana, wpierw trzeba do rejestracji! - skonsternowany, idę. A przed rejestracją kolejka na godzinę stania. Sporo plastykowych krzesełek, ale ludzie stoją. Zielone krzesełka wolne, można usiąść. Ludzie stoją. Wszystkim coś dolega, ale stoją. Czuwają na stojąco. A nuż ktoś wepchnie się zdrowo i wykorzysta naszą siedzącą bezbronność. Akcja - reakcja, czyli życie.

Gorąco. Ciężko na dłużej. - Jednak usiądę - oznajmiam. - Ależ oczywiście, niech pan siada - podchwytuje pani z prostymi włosami, pomalowanymi na kruczoczarne, od kilku minut tłumacząca, że stoi nie dla siebie, ale dla znajomej, którą nie ma się kto zaopiekować. Znajoma w gipsie ze złamaną stopą, trzeba prześwietlić, a tu rentgen nieczynny. - Niech pan siada, spokojnie. Ludzie człowieka i tak nie zrozumieją.

Jasno, świetliście od stojącej kruczoczarnej. Aż się chce bliżej do niej. Więc wstaję. - Nie, niech pan jeszcze posiedzi...

Co człowiek to sprawa. Tyle problemów, zawijasów. Nie to, co na co dzień: dwóch sąsiadów do zagadnięcia i sklepikarz z bułkami. W kolejce zdrowia wszyscy intrygujący. Każdy ze swoją historią, nie zapisaną, nie odkrytą. Staruszek w ciepłym berecie doczekał okienka, lecz okazało się, że stał źle, chciał do przychodni, a doczekał do szpitala.

- Czy teraz rozumiesz tę radość? - pytam sam siebie. - Tyle jeszcze przede mną. Tyle wydarzeń, tylu ludzi, tyle historii. Każde badanie - epopeją. Te chwile żyć będą wiecznie w mojej i nie tylko mojej pamięci, o ile zostaną zapisane. (13.01.2007)

Po „Buszu..." busz?

Dziś dopiero dowiedziałem się o odejściu największego polskiego reportera Ryszarda Kapuścińskiego: „Wybitny dziennikarz i pisarz zmarł na oddziale chirurgii w szpitalu warszawskiej Akademii Medycznej przy ul. Banacha. Przeszedł w piątek operację nowotworu. Po trzech dniach został wybudzony i rozmawiał z bliskimi. We wtorek doznał rozległego zawału serca i zmarł ok. godz. 19.30, pomimo wysiłków lekarzy. Skończyłby w marcu 75 lat".

Kapuściński poszedł drogą po Melchiorze Wańkowiczu z tezą, że lepiej być pierwszym reporterem niż pisarzem jednym z wielu. Przez ostatnie czterdzieści lat nikt nie zakwestionował jego przodownictwa w fachu. Dla mnie jego „Busz po polsku" stał się biblią.

W latach siedemdziesiątych, w złotym okresie naszego reportażu, tworzyłem rankingi reporterów, w których zawsze był pierwszy: 1.Ryszard Kapuściński 2.Krzysztof Kąkolewski 3.Anna Strońska 4.Hanna Krall 5.Stefan Kozicki 6.Małgorzata Szejnert 7.Janusz Rolicki 8.Ryszard Wójcik 9.Jerzy Lovell 10.Wojciech Giełżyński... Ten ostatni przyznał niedawno, że na przełomie lat 50. i 60. szantażowały go służby specjalne i zgodził się m.in. na pisanie sprawozdań z zagranicznych wyjazdów.

Teraz poczekam, kto pierwszy wystąpi z inicjatywą nadania imienia Kapuścińskiego jakiejś ulicy i jak ta sprawa potoczy się w buszu IV RP, bo przecież Kapuściński też musiał pisywać różne relacje... (24.01.2007)

Czas dżdżu nienawiści

Przypadkowo obejrzałem wczoraj wieczorem w programie 3. TVP końcówkę programu „Półkowniki" - chyba cyklu, odświeżającego półki TVP.

Zobaczyłem red. Janusza Zielonackiego, sztyletowanego przez dwóch nieznanych mi młodzieńców. Nie poznałem ich nazwisk, i dobrze, bo po co mi to. Ci nożownicy - chyba z IPN - ocenili jakiś reportaż Zielonackiego z manifestacji ulicznej w Nowej Hucie w stanie wojennym (być może z 13.10.1982, kiedy to zginął od kuli Bogdan Włosik, 20-letni uczeń III klasy technikum, pracownik Huty im. Lenina). Ocenili go jako wpisujący się w propagandę stanu wojennego.

Zielonacki - krakowski dziennikarz sportowy, którego zapamiętałem sympatycznie z jego idei *fixe* budowy nartostrad w Bieszczadach, nie do urzeczywistnienia w siermiężnych realiach - tłumaczył się młodym, okrutnym inkwizytorom. Być może ufał, że mu odpuszczą, jeśli powie, że w stanie wojennym oddał legitymację partyjną. Oddał tylko na chwilę, by potem wycofać się z tej decyzji w zamian za wypuszczenie kolegi z więzienia...

Inkwizytorzy zarzucili Zielonackiemu, że z jego filmowania mogła korzystać SB przy identyfikacji uczestników manifestacji. Bo SB, wredna, tak robiła. Zielonackiemu aż mowę odjęło... A CIA święta? - powinien zapytać. Bo mnie od razu przypomniał się klasyk reporterów z 1983 roku, fenomenalny film „Pod ogniem", w którym najemnik Somozy Ed Harris morduje partyzantów nikaraguańskich, wykorzystując zdjęcia fotoreportera Nicka Nolte, któremu towarzyszy reporterka Joanna Cassidy, we łzach po śmierci kolegi Gene Hackmana.

Nie widziałem reportażu Zielonackiego, on sam mi ni brat, ni swat, ale poruszyło mnie to wszystko.

Inkwizytorzy młodzi, zawsze tak samo bezwzględni. W każdym pokoleniu się przebijają. Za komuny wstępowali do ZMP, ZMS i agitowali z iskrami w oczach za ustrojem jedynie sprawiedliwym. Jeśli ktoś zawadzał, niszczyli. W imię wyższej idei!

Aktywiści twardogłowi wychodzą jak glisty z gleby z reguły w sprzyjającym klimacie, podczas dżdżu nienawiści. Tak było w okresie stalinizmu i socjalizmu, gdy potrzebny był wróg. Tak jest dziś, kiedy polityce czystek Kaczyńskich bez wroga ani rusz! W imię wyższej idei: czystej, sprawiedliwej IV RP.

Mnożą się inkwizytorzy - ludzie jednowymiarowych racji, czarno-biali. Dla nich taki bogu ducha winny Zielonacki to wróg! Bo filmował, tak jak by można było wtedy jawnie filmować w TV przeciwko propagandzie komuny... A taki zastrzelony 20-letni uczeń III klasy Włosik, pewnie rzucający kamieniami, to bohater wojny z komunizmem!

Pisałem i drukowałem reportaże w stanie wojennym i wiem, co było. Daję świadectwo, ile mogło tkwić myśli między wierszami, a ile propagandy stanu wojennego. „Co u pana czytać?" - to reportaż - metafora z marca 1982 roku, mój pierwszy po odwieszeniu zamkniętej przez „wojnę" gazety, w którym przepytuję o samopoczucie pacjentów szpitala wojskowego. „Krajobraz bez „Solidarności"" - to pejzaż tamtych Gorlic, z których za „Solidarności" pisałem o „Ulicy siedmiu złodziei". „Rygor natychmiastowej wykonalności" - to prześmiewczy tekst o twardogłowych patrolach wojskowo-cywilnych - w Pcimiu - tropiących śmieci na ulicach. O mały włos, bo tekst trafił już do drukarni, udałoby mi się wtedy opublikować „Kto moją miłość wytłumaczy?" - reportaż o uczuciach wdów, wspominających nieżyjących mężów - górników. Nie podawałem szczegółów, tylko kilka nazwisk. Zorientowano się w ostatniej chwili, że to nie „zwykłe" wdowy, ale wdowy po poległych 16 grudnia 1981 roku górnikach kopalni „Wujek", i temat zakazany zdjęto ku mojej zawodowej chwale... Ukazać się on mógł dopiero w maju 1986 roku i to w tygodniku „Student": *"Do autora: "Katowice, 8.III. Panie Januszu. (...) Chcę po prostu Pana przeprosić, że tak Pana przyjęłam (ta nieszczęsna rozmowa w drzwiach), ale jest w tym i Pana wina. Mam jednak nadzieję, że Pan już o tym zapomniał. Mam jeszcze małą prośbę. Jeżeli uda się to Panu wydrukować, proszę o przysłanie mi jednego egzemplarza gazety. I oczywiście podtrzymuję zaproszenie na herbatę. Krystyna".*

Listy (...). - W stanie wojennym kanarek z pani głowy lekko sfruwa na ławę, trzepocząc skrzydełkami ucieka na meblościankę.

- To jedyna radość córki.

- Ptak nie przeszkadza, gość nie przeszkadza.

- Nie. Tylko spokój i niemoc, i cisza, i samotność (...)

Zdjęcia. - Pani Wilk...

- Co pan robił przez tę godzinę?

- Przemarzłem na ławce.

- Proszę do kuchni. Tam mi się lepiej rozmawia po śmierci Zbyszka.

Albumy ze zdjęciami. Po raz pierwszy przegląda je ktoś obcy. Notuję (...).

Tylko pamięć. Wstał osiemdziesiąty trzeci dzień... Po katowickiej ulicy Wincentego Pola tłum mężczyzn podąża do pracy. (...) - Wiecznie miał tematy do gadki z córką - mówi Róża Czekalska, wdowa od osiemdziesięciu dni. - Grali w karty, zbierali razem znaczki. Mąż po pracy interesował się tylko domem. Najlepszy człowiek. Wszystko. Niech pan idzie. Z tego, co powiedziałam, to całe życie może pan sobie dośpiewać. - Tak, idę...".

Sumienie mam czyste, w zszywkach. Na szczęście nikt mi nigdy złego słowa nie powiedział. Choć gdybym natknął się na inkwizytorów jak red. Zielonacki..., kto wie, czego bym się dowiedział?

Żyjemy w erze apologii demokracji, w przeświadczeniu, że najważniejszym dobrem jest posiadanie przez społeczeństwo prawa wyboru. Tak, niech będzie, jeśli pamiętamy, że już nie raz w historii zdarzyło się, że wybierano demokratycznie złą drogę, wybierano demokratycznie złych przewodników. Wierzący w omnipotencję demokracji głoszą tezę, że ludzie *summa summarum* wybierają dobrze, choćby dlatego, że ludzi dobrych jest więcej niż złych. Oto sedno, oto fundament demokracji: przekonanie, że dobrych ludzi żyje więcej, więc demokracja jest dobra! A jeśli nie, jeśli więcej jest ludzi złych, co wtedy?! W sytuacji, kiedy pojęcia dobra i zła są płynne?

Komunistyczni inkwizytorzy niszczyli kariery wielu ludziom. Ale nie mieli mocy odbierać im społecznego szacunku. Wiadomo... Dzisiejsi inkwizytorzy niszczą życiorysy, odbierają też ludziom społeczny szacunek.

Żyjemy pod ciężarem krzywd, jakie przyniosły ze sobą ustroje totalitarne. Dziś nie dostrzegamy i pomijamy krzywdy, jakimi obdziela ludzi demokracja, kiedy sterowana jest sprawnie przez złych ludzi albo niesprawnie przez dobrych. (29.01.2007)

Masol

Przerabiając „źródła", rozpisuję się do „Podróży do czyśćca", z której nic nie będzie, o swoim bólu: „Hej, no, czółko. Barman!?... Dobrze, że jarzysz. W kółko ćwoków się narobiło, oko i język schnie. Barman!... Weźmy konsensus, czyli panie drogi, dla nas dwie szkockie, z czuciem...

Przeglądam masolów na wskroś, co ci tłumaczyć. Każdy przyjdzie jak mądrala, gada tu, gada tam, co im ojciec do głowy nakładł. Czółko delta mają tak niziutkie, że go prawie nie ma, a przez głowinę tylko niteczkę ciągną, co by uszka nie odpadły. A ty, a co tobie wisi koło uszek? No, pytam każdego.

Sorry, wybacz, ciociu - dewociu, ale twoje sumienie po lewej, a wiara po prawej, walały się psiakrwie po ziemi, to se z nich kolczyki zrobiłem, a bo co, naraz stratę obu miałbym odczuć?

Wiesz, jaki stres w pracy, aż paznokcie w dupę wrastają, a tu przychodzi taki masol, bo ma-sol-idne wykształcenie, no, nie cieć, prawdziwy fachura z odzysku. Słuchaj, no, ale gość po pięćdziesiątce, dziad z rupieci. Wyczytał gdzieś, że u mnie robota. Kumasz? Staruch,

gdzie? Mój ojciec młodszy, dziadek młodszy, czemu nie, a temu nawijaj do brzucha za krawatem.

Widzisz to: siwizna, zmarszczki, garb stary, ręce stare poplamione, jeśli nie teraz, to za chwilę, oddech stary, zęby stare, stary pot jak śmierdzi, a jak gówno i szczyny? Przecież takie gówno po pięćdziesiątce zasmrodziłoby całą naszą firmę!

I co powiedzieć? Że mam go gdzieś i jebię jego dyplomy. Na chuj mi jego doświadczenie. Co mi będzie w głowie bełtał. Zadania stoją przed nami. Przed firmą! Czy taki ktoś podskoczy do celu? Toć go ziemia do grobu wpierw ściągnie. Czy taki ktoś udźwignie pomysł klienta? Toć mu kręgosłup strzeli od dźwigania. Czy taki ktoś skoczy z głową naprzód? Chyba w tomografii...

Ani nie pogadasz na luzie, czujesz to, z takim to nie ta gadka. Radości życia trzeba, nie strupa na głowie, którego nie wypada opierdolić.

Tak, panie drogi. Niby nauki nigdy za wiele. Barman?! A, pan tu. Jeszcze po jednym? Z pana taki Gruzin jak ze mnie moher. Błędy też smakują! ...Jeszcze raz to samo!

I stres, i trochę żal. Przecież żem nie z kamienia. Radzę mu, by robił to, co umie robić najlepiej. On na to, że za to nie płacą. Tak? ...Mówię, że nie wiedziałem, i żeby w takim razie pozostał przy wspomnieniach”. (2.02.2007)

Buszmeni

Drżą palce na myśl, że czyszczenie państwa i ludzi, dokonywane przez formację Kaczyńskich, może spodobać się także i mnie. Takiej akcji, jak ostatnio aresztowanie głównego kardiochirurga warszawskiego szpitala MSWiA za łapownictwo, a może także za większe grzechy i to śmiertelne, nie podjęłyby się opozycyjne dziś partie polityczne. Bałyby się one mitycznych koneksji, uwarunkowań, środowiskowego odium... Szukałyby winy w systemie...

Niestety, taka prawda. I ludzie zapamiętają to na lata, do wyborów!

Nie powiem tu nic nowego: formacja Kaczyńskich porządzi jeszcze długo. Boże, ale co zrobić, żeby ich „czyszczenie” nie przerodziło się w zamordyzm?!

Zauważyłem, że pewne warstwy ludzi porozumiewają się kodowo. Przykładowo Kabaret Olgi Lipińskiej chciał porozumiewać się Gałczyńskim, ale pokolenie pani Olgi zmierzchło... Gdzie elity? Ja coraz częściej porozumiewam się znamiennymi cytatami z popularnych filmów, wierząc, że one przeżyją i trafiają pod czerepy. Zatem co z zamordyzmem Kaczyńskich?

Jest taka piękna scena w „C.K. Dezerterach”: Komendant garnizonu Wagner (Zbigniew Zapasiewicz) wzywa oberlejtnanta von Nogaya (Wojciech Pokora), dla którego wszyscy są „podejrzani politycznie”. I wyłuszcza: „ - *Widzę, że jest pan z gatunku tych oficerów zawodowych, którzy nigdy nie pozbywają się bezkrytycznego zapału do pracy, panie oberleutnant.*

- *Pozwolę sobie zameldować panu kapitanowi, że kompania jest straszliwie rozpuszczona.*

- *Ja wiem o tym.*

- *Uważam, że taki stan rzeczy jest wbrew regulaminowi.*

- *To bardzo dobrze pan uważa. Chciałbym tylko, żeby pan wiedział, że nie widzę możliwości urobienia ich do konsystencji, przewidzianej przez regulamin.*

- *Jak to? (...)*

- *Ja wiem, że posiada pan dane na pogromcę, sadysta patrzy panu z oczu. (...) Posiada pan dostateczne walory na to, aby doprowadzać ludzi do samobójstw i innych desperackich kroków. (...) Teraz chodzi o to, żeby pan się zastanowił nad tym, co panu powiedziałem. (...)*

Wie pan, że nie ma w słowniku ludzi kulturalnych słów, które mogłyby dostatecznie obelżywie określić pańskie postępowanie (...).

- Oficerski sąd honorowy przekona pana kapitana, że to wszystko, co pan przed chwilą powiedział, jest wystarczające do żądania przeze mnie satysfakcji.

- Pan się nie kwalifikuje nawet do sądu dla ludożerców. Buszmenie! W moich oczach jest pan nędznym gadem, omyłkowo tylko nazywanym człowiekiem, panie oberleutnant von Nogay. Niech pan stąd wyjdzie, bo ja nie mogę na pana patrzeć, bydlaku!".

Teraz chodzi o to, panie Kaczyński, żeby pan mnie dobrze zrozumiał. Nie da się ludzi urobić do konsystencji programu czystej IV RP. (15.02.2007)

Dziadowski obowiązek

Już dawno nie wprowadziło mnie nic w tak dobry nastrój jak prasowa informacja o raperze O.S.T.R. (wolałbym wiedzieć, jak się nazywa), docierającym do swych słuchaczy słowami: „Zabrać państwo tym skłóconym dziadkom"!

Inny hiphopowiec Duże Pe wali: „Zmieniają Polskę w IV Świat/ Skupieni na tym, żeby gonić swoje niskie cele/ IV Rzeczpospolita ma dla ciebie smak/ Dla mnie to pachnie drugim PRL-em".

Moi kochani - nadzieja. Ach, młodości, podaj mi skrzydła.../ by mi Polska wnet nie zbrzydła.

Bierzcie, młodzi, to państwo jak najszybciej! Dziadkom dajcie szansę... pogawędzić.

Oto jubileusz 50-lecia tygodnika „Polityka". I cisza, takie nic dla obecnego establishmentu.

Dajcie dziadkom szansę pogawędzić, bo pamięć o dokonaniach „Polityki" podła, wybiórcza. Nie dowiecie się dziś niczego. Może tylko o kłopotach z autolustracją Daniela Passenta, którego inkwizycja IV RP rodem z IPN wytropiła w gronie współpracowników SB. Przesądzająca ocena życia człowieka, spisana z „Dziennika": „69-letni Passent to wieloletni felietonista „Polityki". W latach 80. bronił na łamach tego tygodnika decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego oraz polityki represji władz PRL". I tyle, kropka. Passent zaprzecza, ale kogo to obchodzi.

Aż się oczy szklą we łzach śmiechu i goryczy.

Trzeba sił do walki z fałszem. Dziadkowie mojego pokroju - świadkowie tamtych lat - mają prawo czuć się dziś tak, jak dziadkowie dziadków po wojnie, kiedy fałszowano lata okupacji i II Rzeczypospolitej, pewnie tak jak antenaci, czytający Kadłubka, a widzący z bliska rządy Kazimierza II Sprawiedliwego. Prawnukowie Greków spod Troi też pewnie klęli na fałsze Homera. Zatem pocieszające *nihil novi sub sole*, czyli nic nowego pod słońcem (Wulgata, Eklezjasta, 1, 10).

Ale dziad ma obowiązek gadać. Dzisiejszy tygodnik „Polityka" ma niewiele wspólnego z „Polityką" z PRL - tylko tytuł pozostał. Dawna „Polityka" - jedno z trzech ważnych pism społeczno-politycznych w kiosku (więcej nie było) - stanowiła centrum reformatorskiej myśli społecznej i politycznej, opowiadając się za socjalizmem niedogmatycznym, gospodarką rynkową w tamtych uwarunkowaniach, postulując, by rządził menedżerski rząd, a nie PZPR. Pismo łamało stalinowską „jednolitofrontowość", było ideowym zagrożeniem dla aparatu PZPR i tzw. prawdziwych komunistów. Miało ono łatkę „różowego", „masońsko-żydowskiego" (wypisz wymaluj jak dzisiejsza „Gazeta Wyborcza"), stanowiąc przeciwwagę dla partyjnego betonu. Ciekawe, kogo ten „beton" w nowo pokoleniowym wydaniu wspiera obecnie?

Co najważniejsze z dzisiejszej perspektywy: tygodnik ten w latach siedemdziesiątych poszerzał umysły, kształtował myślenie całego pokolenia magistrów, inżynierów, techników, robotników - tej wielkoprzemysłowej klasy pracowniczej, która - dzięki niemu w dużej

mierze - wymiotła komunizm do lamusa. To „Polityka" (a nie paryska „Kultura", czytana przez dwadzieścia osób w kraju, w tym dziesięć w budynku KC PZPR) dała wizję, wiedzę. „Polityka" ulepiła głowy, a papież Polak dał odwagę - i stał się sierpień 1980 roku.

Gloria „Polityce". Ludzie stali po nią w kolejkach, by przeczytać teksty najlepszych publicystów i reporterów, felietonistów na czele z Passentem. Passentem, piszącym zawsze o cenzuralny krok do przodu i przemycającym wiele między wierszami. Wystarczy, więcej nie wiem i nie chcę wiedzieć - jakim kosztem, nie ma znaczenia.

...Nie mogę pominąć siebie z tego czasu... Studiowałem, zacząłem dopiero drukować w pismach studenckich. Łamy pism profesjonalnych, nie mówiąc już o „Polityce", to były Himalaje. Marzyłem, by zobaczyć na nich swoje nazwisko. Ale oczywiście przy wielkim reportażu...

I tak się wydarzyło 19 sierpnia 1978 roku. Tam, gdzie drukowali mistrzowie pióra tamtych lat, na trzeciej kolumnie „Polityki", zarezerwowanej m.in. dla perełek Hanny Krall, pojawił się mój reportaż „Diobak" (...o Janie Diobaku, który spłodził siedemnaścioro dzieci...). Pamiętam swoją radość; takich chwil w życiu miałem potem tylko kilka.

Druk w „Polityce" dał mi przepustkę do zawodu. Kiedy trzy lata później, po studiach, wprost z ulicy, wszedłem do redakcji „Dziennika Polskiego" z pytaniem o pracę, wspomniałem oczywiście o „Polityce". - Co to było? - zaciekawił się redaktor naczelny. - A, taki reportaż „Dziobak". - „Dziobak"? Ach tak, przecież pamiętam. Czytałem! - I dostałem etat.

Pamiętam każdy szczegół „Dziobaka". Że z góry wiedziałem, przed zebraniem materiału, jak go napiszę. Materiał zbierałem więc pod zamysł... Dziwiłem się, że redakcja „Polityki" puszcza tekst nieznanego, obcego autora - studenta, przecież mogłem zmyślać. Ale w druku zobaczyłem zdjęcie Jana Dziobaka, wykonane przez fotoreportera „Polityki", który odwiedził po mnie opisanego bohatera...

Reportaż szedł tak: ble-ble-ble, Dziobakowa urodziła pierwsze dziecko, ble-ble-ble o Dziobaku, Dziobakowa urodziła drugie dziecko, ble-ble-ble, Dziobakowa urodziła trzecie dziecko... I tak do siedemnastego dziecka - na dwunastu stronach maszynopisu.

Kończę hiphopowo: urodziłem zbyt długiego blogaska /I spodnie spadły mi z paska /Dziadowska chwała „Polityce", dziobatym raperom /Pamiętaj! /Też post-pe-er-elowskim saperom! (28.02.2007)

Kwestia gustu

Mam pewien problem z Konopnicką. Wyedukowano mnie, że jej poezja marna. Ale przecież z wypiekami czytałem dzieckiem „O krasnoludkach i sierotce Marysi", „O Janku Wędrowniczku", „Na jagody". Do tego jej bogoojczyźniana „Rota" przegrała tylko o włos z „Mazurkiem Dąbrowskiego" w rywalizacji o status hymnu państwowego.

Ponoć Konopnicka to kwestia gustu, a *de gustibus non est disputandum*. „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,/ Nie damy pogrześć mowy!/ Polski my naród, polski lud,/ Królewski szczep piastowy,/ Nie damy by nas zniemczył wróg/ Tak nam dopomóż Bóg!"... Nie wyprę się, kupuję to. Ale przede wszystkim szanuję gust poprzednich pokoleń! (wiersz poetki posłużył za motto rodzinnemu wspomnieniu mego ojca).

Może szkoda, że pani Maria nie skończyła twórczości na „Rocie"..., bo reszta, ta „Nasza szkapa"... I żaden literaturoznawca nie zawziął się na nią z tajemnych, polakożernych pobudek...

Są pomniki, place, ulice Konopnickiej. Do niedawna wydawało się, że jej imię niewzruszone, mimo planów IPN weryfikowania zasług wszelakich patronów. Aż tu dowiaduję się, że do Konopnickiej przyznają się lesbijki, organizujące za kilka tygodni Marsz

Równości. Ponoć Konopnicka i malarka Maria Dulębianka... Proszę IPN o tolerancję, mimo szargania heteroseksualnej pamięci narodowej!!!

Lesbijki i Konopnicka - matka sześciorga dzieci...? Proszę lesbijek: Konopnicka to naprawdę kwestia gustu. (2.03.2007)

Nowi patroni

Odnotowuję pierwsze jaskółki wiosny: krakowscy samorządowcy, z dzielnicy Podgórze, wpisali na listę kandydatów na patronów szkół, domów kultury, placów i ulic zmarłego niedawno mistrza reportażu Ryszarda Kapuścińskiego. Tak trzymać! i nie zważać, że na pogrzebie Mistrza nie było śladu formacji Kaczyńskich (ponoć Kapuściński ze swoich podróży pisywał raporty dla służb...) ani jakichkolwiek pośmiertnych honorów. Tematu „Kapuściński" nie odpuszczę w buszu tworzonej przez prawicę IV RP.

Patronem ma być też rotmistrz Witold Pilecki, który - wedle przekazów - z własnej woli trafił we wrześniu 1940 roku do obozu koncentracyjnego (KL) Auschwitz, by organizować konspirację, a potem stamtąd uciekł w kwietniu 1943 roku. Pierwszy raz zetknąłem się z sylwetką Pileckiego na początku lat osiemdziesiątych - w 1983 roku, przy okazji pracy nad książką dla Krajowej Agencji Wydawniczej o ucieczce z KL Auschwitz Lucjana Motyki - i przyznam, do dziś nie daje mi ona spokoju. Z książki nic nie wyszło, bo jej „reporterska jakość" nie spodobała się Motyce.

Na Pileckim wykonano wyrok śmierci w 1948 roku za działalność wywiadowczą na rzecz rządu londyńskiego, Motyka był do 1980 roku członkiem KC PZPR.

Odwiedzałem warszawskie mieszkanie Motyki przy Alejach Róż wielokrotnie, *notabene* w tej samej kamienicy mieszkał b. premier PRL Józef Cyrankiewicz, też więzień KL Auschwitz i organizator obozowej konspiracji. Cyrankiewicz był dla Motyki - I sekretarza PZPR w Krakowie, następnie ministra kultury i sztuki do 1971 r. - mentorem i promotorem.

Pytałem Motykę o Pileckiego, a w tym kontekście i o Cyrankiewicza... Usłyszałem, że Cyrankiewicza zmienił w hedonistę obóz, że Cyrankiewicz nie mógł uratować Pileckiego przed UB, bo UB mógł zagrozić i jemu. Stąd list Cyrankiewicza do sądu, w którym stwierdził, że czym innym była obozowa karta Pileckiego, a czym innym jego wroga działalność przeciwko Polsce Ludowej.

Dziś pisze się, że Cyrankiewicz omalże sam skazał Pileckiego na śmierć - sugerując w liście do sądu najwyższy wymiar kary - by uchodzić za jedynego twórcę konspiracji w KL Auschwitz. Bratanek Pileckiego twierdzi, że stryj mógł zaświadczyć, że Cyrankiewicz był konfidentem gestapo, donoszącym na członków obozowej konspiracji... Nie uwierzyłem w coś takiego i nie uwierzę, choć przecież w tamtych warunkach trzeba było nieraz ratować życie jednych kosztem drugich.

Swoją drogą coraz mniej świadków tamtych lat, a przede wszystkim zrozumienia czynów ludzi, poddanych najgłębszemu upodleniu. Uwagę tę kieruję ku nowym pokoleniom historyków. Ponoć myśli się o filmie fabularnym o Pileckim, czemu nie, sądzę jednak, że dużo bardziej twórczym i kształcącym byłby uczciwy film fabularny o Cyrankiewiczu. (7.03.2007)

Przecież

Nie pamiętam już z jakiej okazji Robert Sala, syn przyjaciela domu i ojca chrzestnego mego syna, podarował mi powieść J.C. Oates. Minęło prawie pięć lat od tego czasu i zmieniło się wszystko u przyjaciół, u mnie nic.

Przeczytałem „Amerykańskie apetyty" z zainteresowaniem, takim średnim, ale przede wszystkim ukradłem od Oates jedno, takie byle jakie zdanie. Na koniec 2002 roku zapisałem

je na kartce. Potem kartkę tę zawiesiłem wysoko na ścianie, by o zdaniu ukradzionym ze strony 84 nie zapominać.

Jestem wdzięczny Oates i synowi przyjaciela za sprezentowane zdanie, bo ono dźwignęło mnie wtedy i nadal dźwiga.

To zdanie towarzyszy mi cały czas: i na ścianie, i nie tylko... Przed półtora rokiem zamówiłem w firmie poligraficznej samoprzylepny pasek ze zdaniem Oates i zakleiłem nim reklamę autosalonu na tylnej tablicy rejestracyjnej nowego Forda Mondeo. Nie widziałem u nikogo równie pięknych słów! Reklamuję je - a nie autosalon - za darmo. Choć pewnie powinienem zmieścić pod nimi nazwisko autorki... Zabrakło miejsca, sorry!

Znajomi czytają zdanie na tablicy rejestracyjnej i myślą, że w aucie brak wstecznego biegu. Cha, cha. Nie mają pojęcia, co czytają. Oates czytają, amerykańską jak mój ford, z amerykańskim apetytem na sukces. A może z polskim: postaw się, a zastaw się. Kierowcy w korkach czytają... Cha, cha. A to Oates!, panowie, panie. Niech się wreszcie dowiedzą wszyscy z zatłoczonych ulic o Joyce Carol Oates, bo ta suspensowa pisarka, kilkakrotnie nominowana do nagrody Pulitzera, otrzymała w tych dniach ku mojej dumie prestiżowe wyróżnienie amerykańskich humanistów - nagrodę „Humanisty roku 2007" za „rozwinięcie świadomości humanistycznych ideałów".

I jeszcze to zdanie: „Przecież nie ma innej drogi niż do przodu". (10.03.2007)

Biały wywiad

Od wczoraj 700 tys. ludzi ma podlegać nowemu prawu o lustracji i wypełniać oświadczenia dla IPN... Ten moment w naszych dziejach historycy powinni przyjąć za początek „czystej Polski".

Szczerze mówiąc, aż boli mózg. Zwykle w takich sytuacjach przekonuję siebie, że niewiele mnie to obchodzi. Nie mój rewir. Chronię głowę. Żadnych oświadczeń składać nie będę, nie muszę; no, może jedynie tu, na blogu: mam czystą kartę!

Nawet szkoda, bo inaczej ileż historii uzbierałoby się do opowiedzenia... Na studiach miałem laseczkę Alę (młodzież to chyba tak się wyraża), a ta laseczka miała drugą laseczkę Olę, której mężem był oficer SB. Między laseczkami trudno o tajemnicę, więc i ja usłyszałem o SB. Znaliśmy się zresztą wszyscy. I wtedy zastanawiałem się, czemu mąż koleżanki nie podszedł był i nie zaproponował mi czegoś tajnego.

Szybko odpowiedziałem sobie na to pytanie. Po prostu byłem dla niego zerem! Nie nadawałem się. Z dalekiego powiatu, na stancji - a nie w akademickim maglu. Nietowarzyski - kiepsko nawiązujący kontakty. Lichy student uczelni technicznej, nieumiejący pojąć „matematycznego geniuszu" wykładowcy, dr. Furdzika. Do tego zarozumiały bufon - dziennikarz studencki! Przekleństwo - to, że przez wszystkie lata moją naturalną nieśmiałość odbierano jako zarozumialstwo, wyrzeźbiło mi życie.

A może mąż Oli oszczędził mnie ze względu na Alę i Olę?

Czy podjąłbym propozycję współpracy z SB? Chyba nie. Parę miesięcy temu znajomy zapytał, czy mógłbym, czy byłbym w stanie - teoretycznie - zdradzić żonę? Chyba nie, odpowiedziałem, tyle tylko, że nie wiem tego z całą pewnością, bo nie miałem żadnych propozycji...

Po paru latach, wiosną 1983 roku, odebrałem w redakcji krakowskiego „Dziennika Polskiego" telefon. Dzwoniła kobieta, która przedstawiła się..., nie pamiętam dokładnie, ale miało to coś wspólnego z „białym wywiadem" SB, czyli ze śledzeniem przez SB informacji, zawartych w artykułach prasowych (że też IPN poniechał „biały wywiad"...). Poprosiła o rozmowę w sprawie moich publikacji w „Dzienniku Polskim" i „Życiu Literackim" na temat łemkowskiej „wojny religijnej o cerkiew" w niskobeskidzkich Polanach nad Wisłoką. „Żeby

pan nie musiał przychodzić do nas - zaproponowała - może spokojniej porozmawiamy w kawiarni?".

No, co robić? Umówiliśmy się w kawiarni hotelu „Cracovia". Mieliśmy poznać się po jakiś szczegółach ubioru. Dziś nie pamiętam twarzy tej kobiety, co dopiero garderoby. Była mniej więcej w moim wieku, stremowana jak ja, lekko zażenowana, odniosłem wrażenie, że debiutowała w swojej roli. Rozmowa żadna. Bo ja nic więcej, poza tym, co wydrukowałem w prasie, nie wiedziałem. Gdybym wiedział, czy powiedziałbym...? W szczególności o jakiejś „nieprawomyślności Łemków". Zresztą w obrębie własnych tekstów o Łemkach, a było ich więcej (można je znaleźć godnie w bibliotece miejskiej w Sanoku), prowadziłem własną „politykę wyznaniową", polonizującą z lekka tę grupę etniczną. Uznawałem Łemków za Łemków, a nie za Ukraińców czy Polaków.

Moja rozmówczyni nie notowała niczego w trakcie rozmowy. Nie miała co. Dopiliśmy kawę. I do widzenia.

Może szkoda, że u mnie to wszystko na temat SB. (16.03.2007)

PS. 11 maja Trybunał Konstytucyjny orzekł niezgodność z Konstytucją nowych praw lustracyjnych.

Strumień

W mojej *in spe* „Podróży do czyśćca":

„Zachwycam się. - Czy wiesz, gdzie babcia Mira?

- W niebie - Zukeros ziewnął.

- W niebie, oczywiście. Jasne. Ale ona jest w sieci!

- W sieci?

- Sieć lepsza niż niebo. Pomyśl, o niebie decyduje Bóg. A o tym, że babcia Mira dostała się do sieci, postanowiłem ja. Ja! Niebo to boski strumień marzeń, a sieć internetowa to ludzki strumień pamięci. O niebie wiadomo, że... błękitne. A sieć? ...To czarna magia dla babć.

- Babcia Mira bała się magii, więc wytłumaczmy, przecież usłyszy nas po dziesięcioletnim pobycie w niebie. Kiedyś ludzie bali się elektryczności albo maszyn. Szukali za telewizorem tego pana z ekranu. Internet to kolejne medium, które wypiera i zastąpi wszystkie dotychczasowe, może z niebem włącznie.

- Mówimy to tysiącom starszych, z lekka przestraszonych ludzi. Drodzy! O tym, że byliście, żyliście, zaświadczy nagrobek. Ale tylko o osobach wyjątkowych, jak (za przeproszeniem) Kopernik albo Einstein, przechowują pamięć biblioteki czy archiwa filmowe. O reszcie, liczonej w miliardach miliardów, zapomina się. Reszta umiera naprawdę, bo ginie wiedza na temat dokonań i słabostek, koloru oczu czy ducha zwykłych ludzi.

- Groby bez pamięci są puste.

- Sieć to ludzkie niebo, tak, niezmierzona, niczym nieograniczona. Każdy może tam trafić, jeśli zechce. I to w taki sposób, jak zechce. Po to, by inni nie zapomnieli, by dać szansę pamiętać. Kiedy już to się stanie, tym innym wystarczy wpisać w komputerze indywidualny adres www..., by każdy mógł żyć wiecznie w elektronicznym strumieniu pamięci. Adres... Z adresem jak z książką, trzeba znać jej tytuł, to tak jak z rzemieślnikiem materii i ducha, który musi podać innym swój adres, by do niego trafić. Adres do babci Miry w sieci wyryję na cmentarzu; groby trwają wieki.

Wkrótce komputer stanie się jedynym medium w domach, wyprze telewizor, tak jak telewizor wyparł radio jakiś czas temu. Na jednym ekranie wyświetli się wszystko: tradycyjna telewizja, kina, teatry, wszystkie gazety, biblioteki z książkami o Koperniku i Einsteinie czy encyklopedie, biura, urzędy, szkoły, sklepy, szpitale... itp. Też własna cząstka sieci,

zaprojektowana wedle własnych życzeń. Może się ona już wyświetlić na wszystkich ekranach świata, o Tobie, babciu Miro, dokładnie w dziesiątą rocznicę pożegnania”. (28.03.2007)

Gra w zielone

Usłyszałem i zostało na cały dzień. Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy /Jeszcze któregoś ranka odbijemy się od ściany (W. Młynarski).

Chodziłem po wiosennych bulwarach Wisły i nuciłem: Jeszcze nie, długo nie!

Cholernie wpasowało się to w moje „teraz”. Jeszcze w zielone gramy, choć skroń niejedna siwa, /Jeszcze sól będzie mądra a oliwa sprawiedliwa. Jeszcze nie, długo nie!

- Grasz w zielone? - Gram. - Masz zielone? - Mam... - Bo jeśli nie, to wystawiaj... Konia z rzędem, że pokolenie zielonoludków komputerowych nie ma pojęcia o grze w zielone.

A przecież gra trwa. - Grasz w cud? - Gram. - Masz cud? - Mam... No, to święty, święty natychmiast (santo subito!). Dziś, w drugą rocznicę papieskiej śmierci.

Narodów poruszenie. Do świętości potrzebne cuda. I cuda są! Uzdrowiona zakonnica Marie-Simon-Pierre, Rafał, młody Polak z Lubaczowa, Kanadyjka Angela Baronni, Emil Barbar... - Naprawdę jest w czym wybierać - przyznaje ksiądz prałat Sławomir Oder, postulator procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II.

Na powszechne życzenie wiernych postępuje dezawuowanie doktryny cudu. Przecież cud to cud! Starający się nadążyć za cywilizacją, Kościół chce iść naprzód z ludźmi, wychowywanymi przez media, i niczym paparazi goni i naciska flesz. Cuda być muszą, bo inaczej trzeba będzie wystawić d...

W zielone gra. A może: Różne drogi nas prowadzą, lecz ta, /która w przepaść rwie - /Jeszcze nie, długo nie...

Dobrze życzę, więc pokibicuję grze. (2.04.2007)

Zauważenie

Przeczytałem: „Od grudnia zeszłego roku działa serwis internetowy wirtualnycmentarz.pl. Z pozoru nie różni się niczym od pozostałych serwisów. Kolorowa grafika, ale kolory stonowane, w tle nastrojowa muzyka, jest forum, regulamin, kontakt z twórcami serwisu i cennik: ile za znicze, kwiaty czy nagrobki. Postawienie grobu tutaj nazywane jest „wpisaniem do bazy danych”, zaś zaprojektowanie nagrobka - „postawieniem grobu VIP”.

Na pomysł stworzenia Wirtualnego Cmentarza wpadł Dariusz Pałęcki. Zainspirowała go historia, którą opowiedziała mu przyjaciółka. Kiedy zmarła jej bliska osoba, zgodnie z jej wolą ciało poddano kremacji, zaś prochy rozsypano nad rzeką. Szybko okazało się, że brakuje miejsca, w którym przyjaciółka mogłaby uczcić pamięć zmarłej osoby. - Wirtualny Cmentarz jest po prostu rodzajem wspomnienia po zmarłym - opowiada Marcin Najdyhor, obok Pałęckiego odpowiedzialny za koncepcję serwisu. - Taką samą jak nekrolog, tylko w formie elektronicznej (...).

Pomysł czczenia zmarłych w ten sposób nie jest nowy - od jakiegoś czasu cieszy się dużą popularnością na Zachodzie. Mimo to wzbudza spore kontrowersje. Wystarczy zajrzeć na forum Wirtualnego Cmentarza. Opinie są przeróżne (...). Każdy nowy pomysł jest kontrowersyjny. Zawsze będzie miał swoich zwolenników i przeciwników - komentuje Mariusz Chałupczak. Innego zdania jest ks. Adam Boniecki, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”. - Taki serwis trafia w szczerą potrzebę uczczenia czy zachowania o kimś

pamięci - opowiada. - Zaprasza do pewnego sposobu myślenia i uszanowania odejścia czyjejś osoby w sposób inny niż dotychczas.

Mimo to twórcy strony powtarzają, że Wirtualny Cmentarz nie może i nigdy nie zastąpi prawdziwego. Ks. Boniecki komentuje krótko: - I tak wszyscy spotkamy się po tamtej stronie (...). Mariusz Wiatrak, „Gazeta Wyborcza - Kraków”, 13.04.2007”.

Przypomnę tylko o składzie porcelany oraz słoniu. I żeby nie było jak w bajce „Ciekawy” Kryłowa: „Słona-to ja i nie primietił”.

Uważnie przyjrzałem się zauważonej inicjatywie. Niestety, do poruszania się w strefach sacrum potrzeba dojrzałości, doświadczenia, czucia. Zabrakło tego młodym informatykom, którzy nie udźwignęli idei, tchnącej z fachowej promocji. Ale zapamiętam. (14.04.2007)

Mistrz

Z mojej *in spe* „Podróży do czyśćca”, z której nic nie będzie najpewniej, o sobie: „Uśmiałem się, rzekłem. Za życia uważałem się za mistrza prakseologii stosowanej. Ja - mistrz! - dyplomowany organizator produkcji. Umiałem załatwić wszystko jak po sznurku, precyzyjnie jak w szwajcarskim zegarku, sprawnie, bez dziur w czasie i przestrzeni. Takie codzienne zakupy, wymagające prakseologicznej koordynacji miejsca, czasu i emocji, świadczyły nieomylnie o moim przodownictwie w rodzinie. Taka niecodzienna praktyka reporterska, polegająca na rozmowach z ludźmi, mądrymi i głupimi, w nieprzeliczalnych galaktykach, gdzieś w polu albo na salonach, czasem paralelnie, w różanych obłokach - dzięki prakseologicznemu mistrzostwu - udawała mi się w dwa, trzy dni, podczas gdy innym fachurom zabierała przynajmniej tydzień. Mistrzostwo świata.

Naszły mnie śmiechy, bo ostatnio znów się sprawdziłem. Gdy inni nie umieli przez pół roku przygotować się do poważnej operacji medycznej, ja skompletowałem wyniki z badań migiem. I byłem gotów. Ci inni zyskali - spokojnie - jeszcze pół roku życia! Mnie już nie ma”. (16.04.2007)

Złoto

Opowiedziałem synowi o piłkarskim „Euro 2012” w Polsce i na Ukrainie. Że fakt przyznania nam dziś zaszczytu zorganizowania tej imprezy znaczy dla Polski tyle omalże, co wybór Polaka na papieża przed trzema dekadami. Wtedy zaświtało wolnością, dziś złotym skokiem cywilizacyjnym. Itp., itd. o zwycięstwie ducha pierwszej Rzeczypospolitej, o końcu drażliwości polsko-ukraińskiej z drugiej wojny światowej.

Poczułem, że skoro opowiedziałem, to nie chce mi się już tego, co opowiedziałem, zapisywać. A chwilę potem, że skoro nie czuję potrzeby zapisywania opowiedzianych myśli, to myśli te nie są warte zapisania.

Doszedłem też do wniosku ogólnego, że to wszystko, co opowiadamy, co wysławiamy na głos słowo po słowie, w gruncie rzeczy nie wytrzymuje próby pisma i topi się bez śladu w bezkresach. Zatem tylko z milczenia - złoto. (18.04.2007)

Atrybut

Z mojej *in spe* „Podróży do czyśćca” - książki, której przecież nie napiszę, bo po co, dla kogo?:

„To tak, ciebie nie ma? Przestraszyłem się. To tak? Ale czy jesteś, czy nie jesteś, przecież jesteś. Czy byłeś, czy nie byłeś, przecież byłeś. Nic się nie zmieniło, nie zmienia. Niezmienność była i jest niezmienna. Hm?

Zrozumiałem to. Że... Potem... Potem to samo. Widywaliśmy się dwa razy, czasem raz w roku. Pisaliśmy do siebie, być może piszemy nadal, Tato.

I nie stało się nic, i nie stało się coś. Bowiem życie to duch. To myśl oplatająca. Pamięć potwierdzająca. Constans.

Mówię to prostym słowem. Jesteś. Nie przejmuj się. Pamiętam.

Pomyśl. Już....? Od tej chwili jesteś wieczny.

Bo ludziom ciąży w głowach materia. Zmarły rozsypuje się w proch, proch wietrzeje, miesza się z cząsteczkami ziemi, powietrza, wody. Znika. Tak jak ktoś, kto znika z oczu na rok, dwa, dziesięć, wieczność. Tego kogoś nie widać, nie czuć, nie słychać; nie można zapytać, by dostać prostą odpowiedź.

To cząstki materii oddziałują na materialne zmysły. To definicję życia zamknięto w klatce materii. Ruch powieki - życie, bo wywołane przez materialne mięśnie. Nie ma ruchu, nie ma życia. A myśl? Myśl, stworzona przez materialne komórki mózgu? Przecież ta myśl, wpierw zależna od materii, potem istnieje samodzielnie, odrywa się od komórek, które ją wytworzyły. Jeśli materialna powieka zależna jest od życia, to materialna myśl - nie.

Materialna myśl staje się obłokiem iluzji, wizji, fikcji. I z tego tylko powodu, że separuje się od komórek, pozbawia się ją prawa bycia atrybutem życia.

Ja protestuję! Drgnąłem.

Właśnie. Myśl, stając się obłokiem myśli, istnieje po nas i za nas, żywa, towarzyszy innym, uczy, rozmawia. Nie umiera. Ponadto ku radości pocztu teologów - tak na marginesie - obłok myśli, odbierany przez receptory materii, sam wcale dalej nie musi być materią i żyć jedynie w jej świecie.

Ciebie nie ma, to tak? Podniosłem głos. Jako redaktor ziemskich myśli głoszę trwałość tylko zapisanych myśli. A ty zapisałeś. I jesteś. Pamiętam”. (23.04.2007)

Pożytek z lektury

Spostrzegłem, że łatwiej mi się pisze niż czyta. Zaniepokoiłem się. To tak, jakby stwierdzić, że szybciej mi się mówi niż myśli.

Od dawna nie mogę skończyć Henri Bergsona, mimo iż dotarłem - też bardzo dawno temu - do ostatniego rozdziału „Dwóch źródeł moralności i religii”. Zdążyłem zapomnieć dokładnie wszystko, co przeczytałem, z czym się nie zgodziłem, a z czym z rzadka zgodziłem. Powinienem więc prześledzić tekst od początku. Ale chyba nie podołam, bo ciężki, trudny nie tylko dla niedouczonych inteligentów.

Piszę o tym, by się zmobilizować do czytania, poprzez zapis - zobowiązać. Wymyśliłem sposób na siebie?

A tak... przerwa... chwila... I zmogłem wreszcie „Dwa źródła moralności i religii”... Spodziewałem się, że Bergson odkryje jedno źródło dla moralności, a drugie dla religii... Z tego powodu tylko wziąłem na ząb pracę tego francuskiego filozofa pierwszej połowy XX wieku, bez doświadczenia II wojny światowej. Kompletne *qui pro quo*. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego błędnie zrozumiałem tytuł. Wrzucenie do jednego worka i moralności, i religii, wyszukanie dla nich źródeł w naturze i Stwórcy, niestety nie rozświetliło mego niedouczonego móżdżku.

Ot, kilka błysków, po chwili bledniejących. Lata kształcą i windują pragnienia. Ale jeden pożytek z trudnej lektury, to też się liczy. Dedukowałem, że świat czeka na nowego Einsteina. Teraz dodaję, posilony Bergsonem, że świat czeka i na nowego Einsteina, i na nowego mesjasza. Groźne to, co?, wszak na miarę XXI wieku. (10.05.2007)

Przed czasem

Wyemigrowałem do wnętrza i wewnętrznie. Coś mi się zacina, w bieli, ucina mam nadzieję, że nie głowę. Słowa słowem, ciało ciałem, z nimi i bez nich biała pustka na białej kartce. Powinny spłynąć z bieli emocje za czas jakiś.

Więc nadzieja. SMS od syna z Norymbergi z życzeniami. Niby w Dniu Ojca. Odpowiadam, dziękując, że ten dzień dopiero za gruby miesiąc. Lecz nie, u Niemców dziś. I w ten sposób po raz pierwszy mam szansę poświętować przed czasem.

Tylko to przed czasem, oby, radosne, z resztą umykam czasowi do czerwca! (17.05.2007)

Biała myszka

Znów z mojej „Podróży do czyśćca” *in spe*:

„Aż zakaszlałem po operacji. - Czy to możliwe? - Ale co możliwe? - To, że zgodziłem się być białą myszką. Poproszony, zaskoczony, bez pełnej informacji, wziąłem udział w testowaniu fentanylu.

- Bez informacji?

- Powinienem wiedzieć, co to fentanyl, a nie wiedziałem. Czy zgodziłbym się na test, wyposażony w wiedzę, że to lek przeciwbólowy stukrotnie mocniejszy od morfiny, silnie uzależniający, przynoszący stany depresyjno-lękowe, z nieokreśloną dotąd dawką śmiertelną, użyty jako gaz przez rosyjskie siły specjalne „Specnaz” w Moskwie w akcji odbijania zakładników, przetrzymywanych w teatrze na Dubrowce 26.10.2002 roku, po której to akcji zginęło kilkaset osób?

- I zgodziłbym się, wiedząc...?

- Wątpię. Wiedząc wszystko, zadrżałaby mi dłoń. Przecież pytanie, pod którym podpisałem się na zgodę, w brzmieniu: „Czy dodatkowa podaż małych dawek fentanylu może zmniejszyć zapotrzebowanie na morfinę w bezpośrednim okresie pooperacyjnym?”, oceniam teraz jako zmyłkowe, sugerujące, że fentanyl lepszy od morfiny.

- Myśląc pozytywnie, wiele pożytków z białych myszek.

- Myśląc pozytywnie, zaskakująco często niedoinformowanie służy dobru”. (4.06.2007)

Coraz więcej, coraz mniej

Coraz więcej odkrywam, coraz mniej myślę. Mogę się śmiać, że to wiek. Ale to wiek! Uniwersytecki trzeci wiek, którego sens: zrozumieć! z uszanowaniem pojąłem.

Dużo iluminacji, z konieczności schowanych głębiej. Nie da się inaczej, jeśli w tłumie zacząłem dostrzegać kręgi ludzi naznaczonych. Wielkie kręgi kosmicznych cierpień.

Albo kręgi uczuć. Jeden prezes uznał moją zadrę za zamkniętą, drugi zauważył moją nieobecność. Miłe i bez nadziei. Swego czasu obu prezesom wysmarowałem policzki tuszem.

Odkrycie z bólem. Tak to już jest z kradzionymi stronami. Ale na półeczkę wsunąłem własne, w podzięce, niechże komuś uleczą duszę.

Dzięki złodziejstwu zrozumiałem Europę. Tę konstytuującą się w Unii. Tę z korzeniami we francuskim oświeceniu, nie w chrześcijaństwie. Kto wyrysował granice Europy, niech się przyzna, kto? Fiksum dyrdum. Tam oświecenie, tu średniowiecze równie złodziejskie.

Historia myśli - złodziejstwo. Po Grekach nic mądrzejszego nie wymyślono. A przed Grekami? Nie wiemy, kogo Grecy okradli z myśli. Troglodytów. Przypomnę pewnego

jaskiniowca, któremu w jesieni zamarzyły się poziomki... I który zanucił: „A mnie jest szkoda lata”. Ale lato dopiero przede mną.

Gdy odkrywa się dużo, nie ma czasu na myśli. Dzieje się tak na początku, w wieku dziecinnym, a potem na końcu, w trzecim wieku. (10.06.2007)

Zacierają rączki

Chciałoby się wspomóc słowem, ale „po cholerę”? Fakt, ten głos bezradności zwycięża we mnie, każąc podpierać się lagą: to, co orzekłem wcześniej, przyłóż i pasuje.

Zadziwiające, jak wiele mądrych słów padło z ust polskiej elity. Więcej, te słowa oprawiane są wciąż w nowe złocenia. Elita wypełnia swój opiniotwórczy obowiązek! Chyba tak było zawsze, przed wiekami i dziś. Oto słyszę w radiu z godnych szacunku ust o zakłopotaniu rzeczywistością, w której mali ludzie stają się o dziwo wielcy, mity zastępują fakty, a kokon uprzedzeń historyczną przestrzeń. Brawo! I zadziwiające, jak niewielki wpływ na myślenie Polaków takież opinie elity wywierają.

Z sondaży politycznych wynika, że formacja Kaczyńskich niezmiennie przewodzi. Wodzi rej w narodzie szowinizm, zaściankowość, lustracja rodem z rasizmu-faszyzmu-komunizmu (trzy w jednym), w których to formach bytów społecznych lustrowano do szóstego pokolenia pochodzenie i poglądy człowieka.

Wielce czerpie się z totalitarnych „dokonań”. Nie wnikając już w miazmaty, formacja Kaczyńskich bez wstydu zbiera plon po wielu dziesięcioleciach trzebienia elity, jej wykorzeniania i deprecjonowania.

Głos mądry nie dociera, konusy zacierają rączki. (15.06.2007)

Pieska pauza

W blogu moim PAUZA LETNIA, kanikuła.

PS. Dowiedziałem się czegoś o kanikule. Canicula (łac.) to piesek, a raczej suczka. Starożytni Rzymianie nadali imię Canicula najjaśniejszej gwieździe po Słońcu, świecącej w konstelacji Psa Wielkiego - Syriuszowi. W mitologii greckiej Syriusz był psem Oriona.

Rzymianie nazywali kanikułą także porę roku, w której Słońce znajduje się w gwiazdozbiorze Psa, tj. od 22 czerwca do 23 sierpnia.

Wedle wskazań współczesnych astrologów nie inaczej, od 22 czerwca astronomiczne lato. No, mniej więcej... W tym roku od 21 czerwca, godz. 20.05, kiedy to Słońce weszło w znak Raka. Nasze lato dłuższe od rzymskiej kanikuły o dobry miesiąc.

Pieska kanikuła? Rzeczownik „kanikuła” zanotował Jan Mączyński w słowniku łacińsko-polskim z 1564 r.: „To psie dni, które się o św. Małgorzacie poczynają a ku św. Bartłomiejowi trwają”. Wówczas uważano, że zbliżenie się Syriusza (Psiej Gwiazdy) do Słońca skutkuje... letnimi upałami, a te powodują wiele chorób, w tym szczególnie szaleństwo, oraz zanik weny poetyckiej.

Prawda li to? Cóż, szaleństwo widzę dookoła, blisko, aż dusi wenę. *Чепуха, победимы*. Niemniej jasne..., że pauza. (21.06.2007)

Na piątkę

Oczy ciężkie po wczorajszym weselu w rodzinie, wyprawionym w Dworku w podkrakowskich Tomaszowicach. Ponad rok po rezerwacji miejsca, ponad dziesięć lat po poczęciu związku młodych. Takiż czas.

Sukces zawodowy, finansowy - i takaż feta. Wśród tłumku gości - znajomy z krakowskiego Pałacu Sztuki przy Placu Szczepańskim, którego swego czasu ubodłem kpiną

w tygodniku „Fakty". Szturchnąłem za to, że szukał po Krakowie i świecie cennego obrazu, wiszącego jakby nigdy nic za plecami w gabinecie. Znajomy chyba mnie nie zauważył, ja też chyba go nie zauważyłem.

Po weselu poprosiłem kilkunastoletniego syna o pisemną ocenę wakacji. 1.Krynica (główne wrażenie - „spotkanie z babcią po wielu latach"; ocena - ewentualnie ponowić, czyli na 4). 2.Sielpia („palenie ogniska w deszczu"; ewentualnie ponowić). 3.Łeba („wypite piwo w miłym towarzystwie taty"; ocena - ponowić, czyli na 5). 4.Rzeszów („spotkanie Niuńka, o którym tak dużo słyszałem"; ujdzie, czyli na 3). 5.Muszyna („wygranie na obozie turnieju w tenisa"; zdecydowanie ponowić, czyli na 6).

Tata, piwo na piątkę?! (2.09.2007)

ZIP poczęcia

Z mojej *in spe* „Podróży do czyśćca", czyli w literackiej polewie o sobie:

„Zadrżałem na myśl, że tak można. Że wspomnienia można na życzenie wymazywać z pamięci. Przeczytałem o tym, o niszczącej substancji ZIP (źródło informacji pamięci?). Jakieś enzymy, neutrony, PKM-zeta, zastrzyki z chlorku litu, kora wyspowa w mózgu, pipetki, stymulowanie neuronów hipokampa, nakłuwanie ostrzem szpilki, PTSD, jajo o jajo, niepamiętające szczury, no i neurobiolodzy izraelskiego Instytutu Naukowego Weizmanna w Rehovot i szkockiego University of Edinburgh. Żydzi i Szkoci. Horror!

W te pędy odtworzyłem więc słowa Mamy, by zostały na wieki, by żaden ZIP ich nie wymazał, choć to słowa ciekawe jedynie dla mnie: - A Baniowa to w stanie... Pamiętasz Dankę? Miała wylew, potem drugi; paraliż. Tylko Bań potrafi zrozumieć, co mówi. Leżałam na zabiegach, patrzę Bań, obok. Rozmawiamy. No i mówi to wszystko. Ja spontanicznie, że może ją odwiedzę. Zapytam, powiedział.

Dzień minął, a na następnej rehabilitacji usłyszałam, że skoro przez tyle lat nie odwiedzałam, kiedy była zdrowa, to ona teraz nie chce moich odwiedzin. Przykre. Prawda? Przykre. No, co o tym sądzisz? Powiedz, przecież to twoja matka chrzestna.

- Przykre.

- Właśnie.

Bań kiedyś sprzątał jako dozorca, żadnych studiów. Teraz zrobił w Lęborku wystawę zesłańców syberyjskich. Ta wystawa cieszy się dużym powodzeniem wśród ludzi. Bań był na Syberii, jest prezesem Koła tych Sybiraków. Czyli musiał nabrać ogłady przy Dance.

Ta Danka też prosta, bez studiów. Może o to miała do mnie pretensje. Mieszkałyśmy obok siebie w domu na Chopina, wtedy to był internat. Ja z tatą, ona i Maciejewski, nauczyciel historii. Ona nazywała się wtedy Barska, po pierwszym mężu. Ale ten mąż coś działał, ukrywał się i UB go aresztowało. Ja uczyłam w liceum biologii, a ona muzyki i tańca. Odeszła ze szkoły, bo nie miała wykształcenia; dawała lekcje w domach kultury, świetlicach. Rozeszłyśmy się.

A przecież była moją najlepszą przyjaciółką w życiu. Twoja babcia i jej matka bardzo się polubiły, bez przerwy rozmawiały. Obie z Kresów; Danka - córka przedwojennego pułkownika.

Żyliśmy razem: schody drewniane, ubikacja wspólna na korytarzu, piece na węgiel, woda do mycia, grzana na kuchni, na ogromnym podwórzu internatu - chlew. Wpadła Danka i z buzią na twego ojca, że już czas. Czas, a on nic nie robi. Wieczór pięćdziesiątego czwartego roku, dziesiąta, ona wrzeszczy, że rodzę. Taka to moja wiedza, żadnego uświadomienia... Wzięła mnie pod rękę, a ojciec chyba pobiegł przodem... Zaprowadziła mnie do szpitala, ileż tam jest, trzysta, czterysta metrów? Innej możliwości niż na piechotę nie było. Po godzinie już się urodziłeś, ponoć się nakrzyczałam.

Naturalnie Danka i Maciejewski, Tadeusz, zostali twoimi chrzestnymi. Danka zerkała na Maciejewskiego, ale ten zakochał się w uczennicy, zrobił dziecko, sensacja na tamte czasy. Spakował manatki i wyjechał z Lęborka z tą uczennicą i dzieckiem, chorym na Heine-Medina.

Danka potrzebowała mężczyzny. Wiem to od babci, a babcia wiedziała to od matki Danki, bo one rozmawiały ze sobą. Że musiała mieć mężczyznę. I ten Bań jej spasował. Babcie mówiły, że oni byli fizycznie dobrani.

Potem, gdy Danka zachodziła do nas, to twój ojciec zamykał się w pokoju i nie chciał jej widzieć. O co mu chodziło? I kontakty urwały się.

Tyle lat... Usłyszałam, że ona teraz nie chce moich odwiedzin. Przykre. Prawda? Przykre. No, powiedz, co o tym sądzisz?

- Przykre.

Odtworzyłem słowa Mamy, a gdy Mama skończyła, ujrzałem tę przykrość - niczym w czarnoksięskiej kuli - we własnych obrazach, wizjach dramatów tamtych lat. Dla Danki - córki sanacyjnego pułkownika - nie było miejsca na studiach w Polsce Ludowej (domyślnie). Mąż - ofiara UB. Męża brak, ona niewierna, nieczekająca, zrywająca dla Sybiraka. Zobaczył to, swego ojca, zapamiętał zapach z kuchni. I (domyślnie) jak pryncypialny politycznie ojciec zamyka drzwi. Do tego ten Sybirak... Z powodu sybiractwa on też nie miał szans na godną pracę (domyślnie). Maciejewskiego, chrzestnego, zmuszono (domyślnie, bo za późno na pytania) do zmiany miejsca pracy, adresu. Dusznego klimatu...

Odtworzyłem słowa Mamy, bo w tym klimacie się urodziłem. I z niego wyrosłem. A teraz tę pamięć o chrzestnych rodzicach, o klimacie, o poczęciu, o wszystkim może zaatakować ZIP. Nie dam wymazać z pamięci niczego. Nie dam... Więc zapiszę wszystko. Bo tylko zapisane wspomnienia pozostają trwałe”. (5.09.2007)

Nad poziomy wylatuj

Brawo, młodzieży, ty nad poziomy i poziomami...! To młodzież wygrała wczorajsze wybory parlamentarne, zapędzając formację Kaczyńskich (z ich IV RP) do śmierdzącego jadem i ksonofobią chlewu. Wybory historyczne młodzieżą stoją... Czas teraz otoczyć Pałac Prezydencki - szaniec Kaczyńskich przez najbliższe dwa, trzy lata - łańcuchem ciernistych róż..., by nie woniał szambem.

Moja Polska to kraj gospodarki socjalno-liberalnej, tolerancji światopoglądowo-obyczajowej, świeckości instytucjonalnej. Ta wizja nie ma większości, ale nie szkodzi, bo radość czerpię z faktu, że ciągle ociosywany ruch socjaldemokracji coraz bardziej przylega do moich oczekiwań. Młodość, nowoczesność, otwartość - sic! A najbardziej cieszę się z tego, że dałem kreskę tam, gdzie jest Europa.

Mam nadzieję, że młodzież zwycięskiej Platformy Obywatelskiej myśli europejsko w lewo i nie ściąga ku chadecji i państwu kościelnemu. A prywatnie... czekam na deklarację nowego ministra edukacji w sprawie niewliczania ocen z religii do średniej nauczania - papierek lakmusowy intencji. Od tego uzależniam uwolnienie syna z lekcji religii w szkole. Z powodów światopoglądowych właśnie głosowałem na Lewicę i Demokratów do Sejmu (wczoraj przegranych)... i - by nie marnować głosu - na PO do Senatu. (22.10.2007)

PS. ...„uwolniłem” syna z lekcji religii w szkole, bo PO szybko okazała swą chadeckość.

Intelektualista z kamieniem

Z mojej *in spe* „Podróży do czyśćca", książki, której przecież nie napiszę, choć zalega mi ona w głowie niczym kamień:

„Zrozumiałem kamień filozoficzny. Jego strukturę ze złotych ziaren. Ziarno za ziarnem niczym filozoficzny nerw za nerwem. Ich splot decyduje o tym, kto jest, a kto nie jest człowiekiem myśli. Bo kamień - ten splot ziaren, ten splot nerwów w człowieku, kamień żywy - przeinacza ludzi w złoto. A potem dla ludzi ze złota sam staje się złotem.

Mogę sprzątać, gotować, kosić trawę, odśnieżać, mleć kawę do gazety. Mogę pomagać dzieciom w lekcjach albo edukować na uczelni, mogę doradzać w mediach albo pisać za kogoś książki w internecie... To i to. Tak i tak. I nic! Nic! Pustka - porażka. Brak czucia tych złotych ziaren… Wrażenie nicnierobienia przez cały dzień.

Ale są chwile, kiedy udaje mi się uchwycić jakąś myśl i ulepić ją w słowa. Wtedy świat jaśnieje mi niczym spełnienie. - Nie zmarnowałem dnia! - wiem to. Tradycja każe wybudować dom, zasadzić rosochate drzewo, spłodzić pierworodnego syna… To nic! Dla mnie coś - to zapisać cokolwiek..., głupstwo nawet, dla wielu niewarte uwagi... Wtedy czuję! Czuję się niczym alchemik, który stworzył złoto.

Czy do końca to rozumiem? Czemu inni cieszą się inaczej? Czyżby pisanie miało moc zamieniania materii w złoto tylko u mnie i tylko dla mnie i dla podobnych do mnie było tym kamieniem filozoficznym, tym znakiem przy drodze myśli? Teraz prościej?

Kiedyś wycierając kurze, zobaczyłem siebie w lustrze - z tym kamieniem filozoficznym na plecach, uśmiechniętego, uginającego się z radością pod jego ciężarem. Pojąłem, dlaczego nie chciałem nigdy w życiu zatrudnić sprzątaczkę. Ona wzięłaby szmatę i wytarła lustro do czysta z mojego filozofowania. I z mojej radości. (13.11.2007)

Wszystko!

Zmarł Jan Kaczmarek, którego piosenek balladowych i kabaretowych słuchało w radiu moje pokolenie studenckie lat siedemdziesiątych. Trafiał w jasne łany młodej duszy niczym ogary do lasu (uśmiecham się grafomańsko), może nie aż tak jak Agnieszka Osiecka do wątroby z ekspresją Maryli Rodowicz. Uczył wszak: „*Popatrz - pchła! Daj spokój, pchła to też istota*". Co niedziela, o dziesiątej, brać studencka włączała w „Trójce" magazyn „60 minut na godzinę", ta brać, co nie szła wtedy do kościoła.

Mieszkałem na stancji, z kolegą Tadeuszem Kołodziejem, w pokoju z dębowymi meblami, stołem, służącym nam do gry w szachy i cymbergaja, elektryczną grzałką i lampowym radiem. Nie szła mi ta nauka inżynierska, poza tym przeżyłem przegrany, siłowy związek z dziewczyną z fizyki, ale Tadeuszowi szło i choć nie miał dziewczyny, podśpiewywał co rusz: „*Czego się boisz, głupia? /Czemu nie chcesz iść na całość? /Czasem warto dobrze upaść, /tak niewiele brakowało...* ". Z racjonalnym przesłaniem: „*Skąd ta rozterka durna, /czemu seks jest dla nas tabu? /„Muszę najpierw skończyć studia!" /A ja zdobyć jakiś zawód (koniecznie!)".* Ależ mu się to wtedy podobało! I zrobił jak należało. Stworzyliśmy nawet listę przebojów Kaczmarka, ale która piosenka wygrała...?, wyparowało z pamięci.

Jan Kaczmarek ujmował mnie swoją inżynierską delikatnością i romantyzmem, wyczuwalnym w ten sposób jedynie u „technicznych". *„Nim karmiona sztucznie krowa /da zielone, sztuczne mleko, /zanim wzruszysz się wąchając sztuczny kwiat. /Zanim naturalny erzac /w krew ci wejdzie tak daleko, /że polubisz plastikowy, /śmieszny świat. /- Do serca przytul psa, /weź na kolana kota. /Weź lupę, popatrz - pchła! /Daj spokój, pchła to też istota. /W jeżyny nura daj, /lub usiądź na mrowisku. /To może nie jest raj, /lecz trwaj tam, trwaj, /w jeżynach trwaj - /wiosna, maj, a ty trwaj, /a ty trwaj, /bo to jest w końcu wszystko!".*

Tak, wszystko! Niech On zostanie w pamięci u mnie. (15.11.2007)

Skromność na sztorc

- A czemu nie? - zapytałem. Skoro innych zachęcam na swojej stronie internetowej do wspomnień słowami: „Pamiętasz o osobie bliskiej, najbliższej, od wielu lat albo od niedawna myślisz o niej często. Znajomi nie wiedzą lub zapomnieli, kim jest, kim była, co zrobiła dobrego jako człowiek. Każdemu, bez względu na zawód, osiągnięcia, przeżyte lata, należy się chwila przypomnienia" - to czemu sam mam nie wspomnieć o sobie?

Wpisuję w wyszukiwarce onet czy google (w innych też) swoje nazwisko i znajduję choćby to: *MBP Sanok. Bibliografie: Łemkowie 7 SOBOLEWSKI, Janusz Łemku, wnuku daliekij...- / Janusz Sobolewski- // Dziennik Polski. - ... 74-94 SOBOLEWSKI, Janusz Raj utracony. ... Łemkowie- / Janusz Sobolewski- // Życie Literackie. http://biblioteka.sanok.pl/www/bilemkowie1.html* .

Moje teksty biblioteczne służą wnukom.... Ha...

Autopromocja? Ależ tak. Auto... Przecież nie jest to promocja proszku do prania, lecz człowieka. Ludzi trzeba, warto promować. Wszystkich, bo czemu nie? Chyba, że ciąży im kryminał. Kryminał? Toć ponoć kryminaliści to hity encyklopedyczne.

To nasza specjalność - ta skromność. Ta minoderyjność. Ten fałszywy półskłon. To niepatrzenie prosto w oczy i drganie ramion zamiast słów: - Ależ ja jestem taki skromny... Jaki ze mnie skromniś...

Przy pełnej dewaluacji ksiąg prawd na pewno nie do promocji jakichkolwiek usług dziennikarskich mi ta encyklopedyczność. Wiem, co mówię, skoro sam parałem się parę lat temu pisaniem haseł z... geografii do encyklopedii Pinnex.

W naszej dobie - encyklopedia elektroniczna nie zna ograniczeń objętościowych (tony-tomów-papieru). Nie trzeba być Kazimierzem Wielkim czy Kościuszką, by się tam znaleźć. I kosa mi staje na sztorc, gdy jakiś „skromniś redaktor" Wikipedii jednym beknięciem utrąca choćby najskromniejszy dorobek...

PS Jestem:
http://pl.wikipedia.org/wiki/Janusz_L._Sobolewski (21.XI.2007)

Cieplej

Wiele słów na tych łamach poświęciłem formacji Kaczyńskich, może niepotrzebnie tak wiele. Świat odbieram wszak na bieżąco i niechże wolno mi się usprawiedliwić wezwaniem *memento mens* (pamiętaj myśl). Swoje dołożyłem, a teraz, po piątkowo-sobotnim *exposé* nowego premiera Donalda Tuska, kiedy rządy objęła niepodzielnie formacja chrześcijańsko-liberalna, czuję się w obowiązku odnotować ten fakt... bez entuzjazmu. Oczywiście ku temu parłem, tego mniej więcej chciałem. Jednak... Opaska nie zasłania mi oczu.

Posługując się stylistyką nieocenionego b. prezydenta Lecha Wałęsy, wystarczyło odebrać małpom brzytwę, by poczuć się bezpiecznie. Już nie przeszkadzają chore idee i retoryka Kaczyńskich, ponieważ nie przekładają się one na rzeczywistość.

I jakoś cieplej spojrzałem na b. premiera, małego Jarosława, czulej, iż omalże poklepałbym go po policzku. Tyś mi, tyś! Boś w tej menażerii polityków toć gość! Przy Tusku, takim nauczycielu historii dajmy na to w zawodówce, przy efemerycznym b. premierze Marcinkiewiczu, takim nauczycielu fizyki w liceum - toć ty prawdziwy, uniwersytecki doktor! Buzia w buzię z bratem Lechem, cóż, że lichomedialnym profesorem.

Tusk wrócił do idei Wałęsy, by „brać swoje sprawy w swoje ręce" i zmieniać Polskę wedle ludzkich potrzeb i wyobrażeń. Ustawił się na pozycji wykonawcy społecznych

postulatów, a nie lidera, kreatora, wizjonera, pantokratora wszechświata. Mały Jarosław pociąga za sobą swoich wyznawców, sam czaruje i manipuluje. Zwolennicy dużego Donalda muszą w jego imieniu i za niego brać się za robotę. Sądzę, że to drugie dobre, lepsze mimo wszystko.

Od formacji Kaczyńskich nie doświadczyłem realnie niczego złego. Nie mogę powiedzieć tego o liberałach z przełomu ustrojowego lat dziewięćdziesiątych. Wtedy to dotknęła mnie ich doktryna postępu, wyartykułowana przez ówczesnego ministra Tadeusza Syryjczyka: wrzucić wszystkich na wody gospodarki rynkowej, jeśli ktoś się utopi, to trudno! Utopiłem się. Jestem topielcem po dziś dzień. I z pozycji topielca będę się liberałom przyglądać niczym upiór. (25.11.2007)

Grzechy

Stowarzyszenie dziennikarskie, do którego należę, którego jestem członkiem-założycielem, przyznało swoją honorową nagrodę za 2007 rok - pośmiertnie - Ryszardowi Kapuścińskiemu.

Komunikat zabrzmiał tak: „Podejmując taką decyzję zdajemy sobie sprawę z tego, iż w kontekście licznych międzynarodowych nagród, jakimi honorowana była wielokrotnie twórczość najwybitniejszego polskiego reportażysty i pisarza specjalizującego się w literaturze faktu - nasz laur może się wydać mało znaczący, a ponadto jest spóźniony, gdyż Człowiek, którego nim obdarzamy, już nie żyje. Chcemy jednak w ten sposób dać wyraz przekonaniu, że bezprecedensowy dorobek pisarski Ryszarda Kapuścińskiego wraz z jego odejściem nie tylko nie ulegnie zapomnieniu, lecz przeciwnie - jego ranga z biegiem lat będzie rosła, a ten znakomity reportażysta dla wielu młodych adeptów zawodu pozostanie po wsze czasy wzorem i przykładem warsztatowego mistrzostwa, niezwykłej profesjonalnej rzetelności i wielkiej skromności osobistej".

Odnotowuję ten fakt zgodnie z daną obietnicą, że wszystko, co dobre o Kapuścińskim, zapamiętam - wbrew bezczelnie wrednym inkwizytorom lustracyjnym, którzy do dziś mają Kapuścińskiemu za grzech jego wielce prawdopodobną współpracę z wywiadem PRL. Z polskim wywiadem! Nagroda mojego stowarzyszenia - przyznana po konsultacjach ze wszystkimi członkami - wpisuje się w ten kontekst i chwała stowarzyszeniu za to.

Nie podaję nazwy stowarzyszenia... Kiedyś, na początku redagowania tego blogu, podałem, chcąc go jak najcieplej opisywać - i skończyło się na skreśleniu mnie na ponad pół roku z listy osób, otrzymujących klubową korespondencję. Zgrzeszyłem niby, wykorzystując w blogu jakieś zdanie z „wewnątrzklubowego e-maila". Teraz też czerpię słowa nie tylko z oficjalnego komunikatu... Oto dowód absurdalności „wewnątrzklubowego myślenia". Cóż, ludzie noszą różne klamry w głowach. Tacy ludzie byli zawsze, kiedyś i dziś przydatni szczególnie w aparacie partyjnym.

Wielki Kapuściński wpisał się w moją drogę życiową jak wielki mistrz i sprowokował do grzechu...

Kapuściński w 1962 r.: *„Jak mają grosz, gnają do tej mety co sobotę. Pielgrzymki zaczęli już w maju. Trochę za chłodno, ale nic: chłodno, za to pusto! Zajęcia kończą na uniwerku w południe, łapią za teczki, w tramwaj, na dworzec i już siedzą w pociągu. Linia na Działdowo, przesiadka na Brodnicę. (...) Od stacji Tama Brodzka, piechotą przez las, idą do Stanicy Wodnej. Gniazdo domków rozsiadłe na płaskim stoku wzgórza nazywa się Bachotek. Asystenci prostują ramiona, czynią przysiady, wreszcie nieruchomieją. - Dzwoni? - pyta jeden. Nasłuchują. Dzwoni! - szepcze drugi. - Co dzwoni? - pytam. (Widzę, że się wygłupiłem). Są oburzeni: - Cisza, człowieku, cisza dzwoni!"* („Ocalony na tratwie" w zbiorze „Busz po polsku").

Ja w 1982 r.: „*Wysiadają na przystanku Kobierzyn, gdzie w czasie wojny miała swoją siedzibę Hitlerjugend. Robią rozgrzewkę. Krok w bok, plecak z rąk, przysiad w kąt. Marsz na łąg.*

Na łągu pasą się krowy. (...) Zakoński zrywa źdźbło i żuje. - E, Tomek, nie przegap krowiego srania - krzyczy Morawski z dziesięciu kroków.

Zakoński żuje, pozierając w dal.

- Krowiego srania! Ogłuchłeś?

- Nie. (...). Karol, nie. To niezależność. Krowa jest niezależna. Niezależność to przywilej silnych. Krowa jest silna" („Wycieczka do Tyńca", „Dziennik Polski" 99/82).

Kapuściński: „*Oni nie mają gruntu od dawna. W świecie nastąpił kryzys wartości, mówią, kompromitacja tradycyjnych instytucji, moralność straciła sens, uznane prawdy - zakwestionowano. Nie mają zaufania nawet do faktów, których uczą. Czy w tamtych wiekach też nie fałszowano tekstów? Człowiek działa pod terrorem okoliczności, jak tratwa zachowująca się zależnie od kierunku wiatru. Człowiek stracił grunt*".

Ja: „*Kiwają głowami. Tak, zgadza się. Zwieńczenie dziejowego procesu. Ideały, normy, zasady i reguły straciły sens. (...) „W coś wierzenie" postawione ponad rzeczywistością, aby dać tej rzeczywistości w ogóle jakiś cel, jakiś porządek i - jak to się krótko mówi - nadać sens, upadło, straciło znaczenie i wartość. Nie wstrzymuje chciwej złodziejskiej ręki. „W coś wierzenie" umarło. Trzeba więc przemienić dotychczasowe wartościowanie i stworzyć nowe, oczyszczone z nawarstwień politycznych*".

Tekst Kapuścińskiego utkwił we mnie tak głęboko, że popełniłem przed laty grzech naśladownictwa. Powieliłem formę i ducha. Nikt tego nie dostrzegł, a ja, póki nie porównałem zdań, sądziłem do dziś, że zerżnąłem dużo więcej...

...Na marginesie „Ocalonego na tratwie": Na jeziorze Bachotek moja babcia o mało nie utopiłaby przed wojną mojej matki podczas wycieczki kajakiem; burza, fale, etc. Rodzinne groby w Brodnicy odwiedzałem i odwiedzam corocznie. Zatem oddychałem z Kapuścińskim tym samym powietrzem! (6.12.2007)

Zamknięcie

Przegrywam rodzinne kasety VHS na płytki DVD. Sporo się tego nazbierało przez szesnaście lat, od kiedy żona przywiozła kamerę aż z Singapuru. Widzę i słyszę z ekranu osoby bliskie, których już nie ma. A wszyscy inni, którzy jeszcze są - przecież dziś zmienieni nie tylko fizycznie.

Powie ktoś: żadne odkrycie. Jest początek, jest koniec. Obramowane filmem życie. Dawna Wigilia, wesele wiejskie, narty, rozmowy, ognisko z Elą wtedy jeszcze nie na wózku inwalidzkim, kiedyś dzieci, dziś... Tylko że oglądam również siebie i też widzę początek i koniec, sfilmowaną całość. Zamknięcie! A przecież powinienem móc się filmować dalej.

Niewiele zostało mi do zrobienia. Mijającemu rokowi - zgodnie z wymyśloną regułą - nadałem nazwę i to już dawno, przed kilkoma miesiącami, wiedząc, że żaden kataklizm jej nie zmieni. Czyli to akurat zrobione... Muszę dokończyć wspomnienia bliskich i swoje. Ale gra w szachy on-line pochłania mnie bardziej. Powinienem wymarzyć sobie jakieś dzieło, niekoniecznie książkę, ale skręca mnie w dołku na myśl o goryczach trudu jałowego. Nie mogę w sobie - *clou*! - przełamać tej postawy. Dentystka dopiero w styczniu, docent od operacji też, Bruksela dla syna też... Najgorsze, że nie kupiłem jeszcze kalendarzyka TIK na rok następny. O tej porze zawsze go miałem. Oto dowód na zaniechanie życia. (12.12.2007)

Olśnienie

Z „Podróży do czyśćca" - książki *in spe,* zawierającej zbiór moich literackich impresji - fragment o fiasku moich usług dziennikarskich:

„Nie piszę, nie czytam. Patrzę. Przeobrażam się. Niczym z gąsienicy w motyla, niczym z kaczątka w łabędzia. W proch.

Podobają się mi własne słowa. I te zapisywane, i te słowa, słowa... Po prostu - słowa. Otaczam je kultem, jeśli akurat słowo „kult" jest na miejscu, jeśli oddaje wystarczająco szacunek, jakim te koncentraty z myśli obdarzam.

Słowa siedzą w książkach, tam znajdowały swe miejsce od zawsze, czarno też było z nimi na szpaltach gazet. Ich formowaniu się na linotypie towarzyszyłem w drukarni, potem ich składowi do północy. Gorący zapach ołowiu wynosiłem na krakowski róg Bohaterów Stalingradu, często nie mając szans na tramwaj, który pojechałby ku obrzeżom miasta, do domu.

Mija trzydzieści lat. Po zecerach pozostaje wspomnienie. Łączę wspomnienie ze słowami, kując hasło: „Tylko zapisane wspomnienia pozostają trwałe". To jest hasło dla klienta moich usług. Czas usług ucieka, a klientów nie przybywa, klient wciąż jest jeden, ten sam. Ja sam.

Bo okazuje się, że tylko ja jeden pojmuję swoje hasło. Tylko mnie jednemu ubzdurza się, że będę żyć po życiu w słowach. Ot, może jednej jeszcze pani...

Inni nie odczuwają potrzeby zapisywania się w pamięci. Nie rozumiem, dlaczego. Trochę domyślam się, ale nie wierzę domysłom.

Przypadkiem, goniąc za techniką, pieszcząc kolejny multigadżet w internecie, zauważam, że ludzie nie chcą, by o nich pamiętano. A ułamkowi tych, którzy chcą, zbędny wydaje się kult słowa. Przecież aby pisać, nie trzeba umieć pisać. Aby czytać, nie trzeba umieć czytać. Aby śpiewać, nie trzeba umieć śpiewać. Aby tańczyć... Codziennie przekonują o tym media. Wystarczy patrzeć! W internetowe multigadżety.

Postanawiam więc patrzeć. Nie pisać, nie czytać. Tylko patrzeć. Skoro tak - paletę swych usług rozszerzam o patrzenie. - Patrzę - wołam nieustannie.

Na nic. Klientów nie przybywa, klient wciąż jest jeden, ten sam. Ja sam. Ludziom zbędna wydaje się umiejętność patrzenia. Przecież aby patrzeć, nie trzeba umieć patrzeć...

Olśnienie przychodzi samo. Zastanawiam się przez chwilę nad jego syntezą, wyjaśniającą prosto niepowodzenie usług. - Aby zapisać się w pamięci, nie trzeba umieć zapisać się w pamięci - orzekam wreszcie. I klikam „Plik - zapisz". A potem uśmiecham się gorzko nad ludzką naiwnością". (19.02.2008)

Niewidziany

Z mojej „Podróży do czyśćca" *in spe* o tym, jakie to można przeżywać towarzyskie katusze:

„Nie wiedzieć, dlaczego... zobaczyłem siebie w przedszkolnej piaskownicy. - Ta zdzira powiedziała na ciebie. - Ona? - A w oczy gapi się. - Ona sama złodziejka. - Uważaj na nią. (Zapłakałem). - Cicho... Tej kurwie trza kłaki powyrywać. - Zostaw to i idziemy.

Chór: - Mamy cię w dupie.

A teraz przywitałem się z nieznajomymi z Colegium Maius. - Przecież Fuguet zrywa z baśniowością.. - „Publishers Weekly", czytałeś? - To pułapka realizmu magicznego. (Chciałem powiedzieć coś o pogodzie). - A „Criticas"? - Hm, pomińmy prostaczków, tańczących cumbię. - Cha, cha, McOndo, świat McDonaldów i macintoshy.

Chór: - Mamy cię w dupie.

Zaplątałem się na raucie. - Pytał mnie po sąsiedzku Penderecki o pozwolenie na budowę... - U Hindusów na Rameswaram podłożyłem serwetkę Starowieyskiemu, a on namalował mi fallusa... - Wpadł do nas ksiądz Dziwisz, teraz kardynał, zapomniał parasola... - Moja ciotka i Szymborska..., więc wiem o pochówku... (Stęknąłem, że ojej, ojej). - Ten żydożerca? Pożyczyłem mu niezłą sumkę dolarów. W Paryżu obśmiał go przy mnie Wajda... - Kiedyś spotykam Różewiczów, a wiecie, jak byliśmy blisko...

Chór: - Mamy cię w dupie.

Aż wreszcie zobaczyłem siebie w domu starszych, na wózku, otoczonego przyjaciółmi. - No, i jak z nim? - Bez wątroby nie pożyje. (Wykrztusiłem, że dobrze). - Na endoprotezy też późno. - Ale nie robi pod siebie. - Wspaniale. (Szepnąłem, że chyba źle spałem). - Wywieźmy go może na trawkę. - Wiesz, jaką kasę włożyłem w surowiec? - A nowe autko widziałeś?

Chór: - Mamy cię w dupie.

Poczułem, że krzyczę: - Mam was wszystkich w dupie! - A chór: - Mamy cię w dupie!

Krzyczę: - Ja pierwszy mam was wszystkich... - Przebudziłem się spocony. Złapałem powietrze. - Ale kto? Ale kogo? Dlaczego?”. (11.03.2008)

Dla dobra

Im bliżej Wielkiej Nocy - a święta w tym roku wcześnie, za cztery dni - tym więcej tematów kościelnych w mediach. A to jakiś ksiądz molestował seksualnie ministrantów, inny znowu duchowny dotykał dziewczynki po religii dziesięć lat temu, a stanowczy proboszcz z pokolenia JP2 nie chciał pogrzebać zmarłego w wypadku, ponoć człowieka dobrego, acz antykościelnego. Zorganizowano w telewizjach panele dyskusyjne na temat powszechnej praktyki ukrywania przez Kościół spraw przykrych, typu homoseksualizmu wśród biskupów, czy akceptacji pedofilstwa w Watykanie. U nas homoseksualizm to grzech, więc każdy ma to, na co głosował.

Na pierwszy rzut oka (i ucha w Radiu Maryja) to spisek żydo-komuno-liberalny. W tym duchu prezydent Lech Kaczyński uciekł przedświątecznie przed Europą w wideoklipowym przemówieniu z muzyką z serialu „Polskie drogi”.

Ale ja z inną czkawką - panelową. Dyskutanci przeróżnych opcji prezentują stanowisko wypisz-wymaluj wedle szablonów: dla dobra Kościoła lepiej postępować sekretnie - albo - dla dobra Kościoła lepiej tonować skrajności - albo - dla dobra Kościoła lepiej mówić o wszystkim otwarcie... I ci, co krytykują postępowanie Kościoła, i ci, co je gloryfikują, podpierają się chęcią czynienia dobra dla Kościoła, postulując co najwyżej jego małą naprawę.

Czemu czkam? Ano dlatego, że tak samo było za komuny. Wszyscy pragnęli dobra dla socjalizmu! W każdej dyskusji o ustroju podkreślano (i to głosami dzisiejszych „antykomunistycznych kombatantów”), że wszystkie wnioski, czyny i myśli, sugestie jakichś napraw ustroju - to dla dobra socjalizmu. Było tak, ponieważ inaczej być nie mogło. Teza otwarta o ustroju złym groziła represjami zawodowymi i bytowymi.

A dziś? Pewnie z podobnych jak wyżej powodów dyskutuje się zawoalowanie o Kościele. Oczywiście to nic złego takie werbalne pragnienie dobra Kościoła, taka chęć jego naprawy. Nic złego i nic nowego. Dobrze chciał już Marcin Luter. Ponoć obecny papież Benedykt XVI ma zamiar zdjąć anatemę z Lutra, ale wedle ironisty Michała Ogórka (w „Gazecie Wyborczej”) nie wiadomo, czy ów wyklęty miałby takie życzenie.

Hm, w końcu z niebios widać lepiej, że Bóg i Kościół to nie to samo.

Przed Wielką Nocą politycy przypomnieli Kościół - tę opokę tysiącleci. Też pożytki, płynące z ugruntowanego przez wieki postępowania... W wieku ubiegłym nie wyobrażano

sobie upadku komunizmu, tak jak w wieku XXI trudno sobie wyobrazić upadek Kościoła. (19.03.2008)

Mecz

Z początku zbyt asekuracyjny, lekko zaskoczony przez czarne, wreszcie przyduszony, z każdym ruchem coraz bardziej, omalże skopany, lecz wykorzystujący brak tchu przeciwnika na dobicie i kontratakujący zwycięsko...

Nienajlepsza, mimo to jedna z radośniejszych moich wojen w systemie on-line: *1. e2e4 c7c5 2. Ng1f3 e7e6 3. d2d4 c5xd4 4. Nf3xd4 a7a6 5. Bf1d3 g7g6 6. O-O Bf8g7 7. c2c3 Qd8c7 8. Bc1g5 Nb8c6 9. Nd4xc6 b7xc6 10. Nb1d2 d7d6 11. Ra1c1 Ng8e7 12. b2b3 O-O 13. c3c4 c6c5 14. Bg5e3 Bc8b7 15. f2f4 Ra8d8 16. Qd1e2 Qc7d7 17. Nd2f3 f7f6 18. Rf1d1 Qd7c8 19. Qe2f2 Rf8f7 20. e4e5 f6xe5 21. f4xe5 Bg7xe5 22. Bd3e2 Be5g7 23. Qf2g3 Ne7f5 24. Qg3f2 Qc8c6 25. Kg1h1 Qc6c7 26. Nf3g5 Rf7f6 27. Be2g4 h7h6 28. Ng5f3 Rd8f8 29. Bg4xf5 Rf6xf5 30. Rd1f1 Bb7c6 31. Qf2e2 Qc7f7 32. Nf3d2 Qf7b7 33. Rf1xf5 Rf8xf5 34. Rc1f1 Qb7f7 35. Rf1xf5 Qf7xf5 36. Nd2f3 Qf5b1+ 37. Be3g1 Qb1f5 38. Qe2d2 Qf5f8 39. Qd2e2 Qf8e7 40. Bg1f2 Kg8h7 41. Bf2e3 Qe7f6 42. Qe2f2 g6g5 43. Qf2e2 Bc6xf3 44. g2xf3 e6e5 45. Kh1g2 Kh7g6 46. Qe2d3+ Kg6f7 47. Qd3d5+ Kf7g6 48. Qd5c6 h6h5 49. Qc6xa6 g5g4 50. Qa6c6 Bg7f8 51. Qc6e4+ Qf6f5 52. Qe4xf5+ Kg6xf5 53. f3xg4+ Kf5xg4 54. h2h3+ Kg4f5 55. Kg2f3 Bf8e7 56. a2a4 Be7d8 57. Be3d2 Bd8b6 58. a4a5 Bb6a7 59. b3b4 h5h4 60. b4b5 Kf5e6 61. b5b6 Ba7b8 62. A5a6* - i czarne poddały się!

Kiedy poddadzą się „czarni", wygram nie tylko w szachy. (9.04.2008)

Istota

Nagrodę Templetona, zwaną religijnym Noblem, ustanowioną w 1972 roku za wybitne działania, „prowadzące do pokonywania barier między nauką i religią" - bagatela w wysokości 795 tys. funtów, zatem ponad miliona czterystu tysięcy dolarów, czyli wyższej niż Nagrody Nobla - otrzymał i odebrał w ubiegłym tygodniu w Londynie, w pałacu Buckingham, ksiądz profesor Michał Heller, polski teolog, kosmolog i fizyk.

Ks. prof. Michał Heller, urodzony i mieszkający w Tarnowie, związany jest z Papieską Akademią Teologiczną w Krakowie, gdzie pełni funkcję kierownika Katedry Filozofii Przyrody oraz dyrektora Ośrodka Badań Interdyscyplinarnych.

Pozwoliłem sobie wejść na stronę sir Johna Marksa Templetona (http://www.templetonprize.org), 96-letniego bogacza rodem z Tennessee, z kokosami zbitymi na funduszach powierniczych, od 1968 roku poddanego królowej Elżbiety II, by ugruntować swój domysł: Templeton ze swoją nagrodą stanowi przeciwwagę dla świata dogmatów, złocąc relatywizm w krystalicznej postaci, jakże wrogi Kościołowi katolickiemu.

Wpierw skopiuję wywiad Izabeli Redlińskiej z ks. prof. Michałem Hellerem („Rzeczpospolita", 2.05.2008):

„(...) - Dogmaty religijne stają często w sprzeczności z tym, co udowadnia nauka.

- Są problemy w byciu księdzem i uczonym, ale nie tam, gdzie się pani ich spodziewa. Dogmaty akurat w niczym nie przeszkadzają. (...) Nieporozumienia wynikają z niewiedzy dotyczącej doktryny o stworzeniu świata. Ludzie wyobrażają sobie, że - tak jak się uczy przed Pierwszą Komunią - Pan Bóg stworzył kwiatki, motylki, a więc świat w gotowej postaci. Tymczasem tradycyjna teologia chrześcijańska mówi całkiem co innego. Stworzenie nie jest aktem jednorazowym, ale nieustanną relacją pomiędzy światem i Bogiem. Polega ona na tym, że świat jest w swoim istnieniu zależny od Boga. Św. Tomasz z Akwinu przekonywał, że można sobie wyobrazić świat bez początku, a mimo to stwarzany przez Boga nieustannie. Dlatego, że stworzenie to nie jest zapoczątkowanie istnienia, względnie nie tylko zapoczątkowanie, ale

podtrzymywanie w istnieniu. Kiedy w XIX wieku pojawiła się teoria ewolucji, wielu teologów podchwyciło, że ewolucja świata jest dalszym ciągiem stwarzania. Nasz papież Jan Paweł II powiedział, że katolikowi wolno uznawać ewolucję, że jest to teoria naukowa. Mity o jej wykluczaniu przez religię są więc nonsensem.

- Skąd się w takim razie wzięły?

- Na początku XX wieku powstał w Stanach Zjednoczonych ruch tzw. kreacjonistów, którzy interpretowali Biblię dosłownie. Uważali, że teorię ewolucji należy usunąć ze szkół i walczyli o to w bardzo prymitywny sposób (...).

- W tłumaczeniu przyczynowości świata nauka często prześciga religię. Ksiądz profesor zresztą w jednym wywiadzie o tym mówił.

- Pani traktuje religię jako gorszego typu naukę, która również tłumaczy świat, tylko gorzej. Jest to metodologiczny błąd. Częsta zmiana ról i przeskakiwanie ze świata nauki do świata religii było dla mnie psychologicznie trudne. Religia jest czymś zupełnie innym od nauki. Nauka ma zasoby swoich metod. W przypadku tej najbardziej dojrzałej i mi bliskiej, fizyki, metody te sprowadzają się do doświadczeń i zmatematyzowanej teorii. Za ich pomocą nie da się niczego udowodnić w religii. Te metody w niej nie funkcjonują, bo religia zajmuje się rzeczami, które są dla nauki niedostępne. Przykładem jest istotne pytanie, które udramatyzował wielki i bliski mi myśliciel Gotfryd Wilhelm Leibniz: „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?". Na to pytanie nauka nie odpowiada. Najprościej by było, gdyby nie istniało nic. Nie byłoby żadnych problemów do rozwiązania. A tymczasem istnieje raczej coś niż nic i za pomocą żadnej metody matematycznej, żadnym doświadczeniem nie odpowiemy dlaczego. Teologia odpowiada: istnieje coś, bo coś zostało stworzone (...)".

Powtórzmy: ksiądz, teolog, zakłada w zgodzie ze swym rozumieniem wiary, że stworzenie jest jedynie relacją pomiędzy światem i Bogiem. Że istnieje „raczej coś" niż „nic"... I Bóg niekoniecznie stworzył świat w siedem dni.

Pójdę do końca w tym rozumowaniu i zapytam: do kogo wołał Chrystus na krzyżu? Do wszechmogącego Boga, który stworzył świat w siedem dni, czy do „boga - raczej coś", czy do „boga - nic"? Wyobraźmy to sobie. Bez uśmiechu.

Tu tkwi istota sprawy. Chrystus na krzyżu i Jego zmartwychwstanie - to symbol. Jak dzieło stworzenia przez Pana Boga świata z kwiatkami i motylkami.

I z tym się zgadzam, wszystko w porządku. Niestety, takie pojmowanie wiary - wedle Kościoła - jest niewiarą! Relatywistycznym złem. Papież i cały wierny Kościół wierzy i każe wierzyć dosłownie w Boga z Jego zmartwychwstaniem z ciałem, widząc, i słusznie, w relatywizmie zagrożenie dla swych dogmatów i struktur. W ostatnią niedzielę - Zesłanie Ducha Świętego, za parę dni - Boże Ciało i polskie procesje..., wystarczy popatrzeć.

Tym, którzy głoszą doktrynalny Kościół inny dla prostego ludu czy dzieci komunijnych, a inny dla intelektualistów, oświadczam zgryźliwie - że to relatywizm, a jakże. Księże Hellerze, to relatywizm. Profesorze, strzeż się. Bez uznania przez Kościół za dobro myślenia relatywistycznego nie może być „innych" kościołów. Proszę zapytać o to arcybiskupa Józefa Życińskiego, przyjacielsko towarzyszącego księdzu w pałacu Buckingham.

72-letni ks. Heller przekazał pieniądze z nagrody po połowie rektorom UJ i PAT z przeznaczeniem na stworzenie w Krakowie Centrum im. Mikołaja Kopernika, by badało relacje między nauką, filozofią i teologią... No, jasne... W końcu ks. Kopernik - to pierwszy relatywista. I w jakim strachu umierał...

Nie sam ustawiłem się zatem na barykadzie w obronie relatywizmu jako idei i postawy głęboko ludzkiej, twórczej, postępowej, niezbędnej człowiekowi do rozwoju w duchu... (też świętym). (14.05.2008)

Ludzie z gnoju

To nie ogórki w sezonie. Tylko gnojenie - według jednych, czyszczenie - wedle drugich. Mamy gnojonych jak Wałęsa (za współpracę z SB w latach siedemdziesiątych) i gnojących z formacji IV RP. Mamy czyszczonych i czyszczących z IPN, wedle których zdrowe ogórki nie urosną bez gnoju.

Zgodnie z wypróbowaną, jakże wysublimowaną stylistyką, Żydzi gnoją Żydów w sprawie śmierci Pyjasa i ohydnego donosiciela SB Maleszki, a Polacy Polaków w sprawie stanu wojennego. Przy błogosławieństwie kardynała Dziwisza ekshumujemy gen. Sikorskiego, aby zgnoić Anglików, *sorry* - wyczyścić karty historii. Nie zapominamy nawet o królu Stasiu Poniatowskim w kontekście niedopieszczenia go przez IPN. Kto zlustruje agenturalność Piłsudskiego?... Taki czas.

Śmiałem się tu, że przyszło Polakom omalże całować donosicielską rękę arcybiskupa Wielgusa, a teraz z wesołością wspominam polityków, którym zdjęcie z Wałęsą - „Bolkiem" gwarantowało wygraną w historycznych wyborach 1989 roku! Ot ci kabarecik, skecz, może pod tytułem „Człowiek z żelaza"? Cha cha.

Chcę dojść do sedna „Bolka", więc cytuję: *„Wracało do mnie echo „Człowieka z marmuru", którego scena finałowa kończyła się właśnie przy bramie stoczni w Gdańsku. To mógł być dobry pretekst do nowego filmu - mówił o powstawaniu "Człowieka z żelaza" Andrzej Wajda. Jak zanotował w swych wspomnieniach, przy bramie jeden ze stoczniowców poprosił: - Niech pan zrobi film o nas... - Jaki film? - zapytałem. - Człowiek z żelaza! - odpowiedział bez namysłu. Nigdy nie robiłem filmu na zamówienie, ale tego wezwania nie mogłem zignorować. Film powstawał szybko, z dnia na dzień, pomimo ogromnych trudności, zwłaszcza scenariuszowych".*

Fakt, scenariusz „Człowieka z żelaza" to knot. Film - drętwota. Niby na tego „z żelaza" wytypowano syna Birkuta, lecz wszyscy odczytali i zapamiętali przecież, że - Wałęsę.

W tej sytuacji dopiszę trochę scenariusza, by nadać bohaterowi filmu brakującej pełnowymiarowości:

„Scena 1. Jednostka WSW. Inspekcja. Oficer do oficera: - To ilu masz stuków? ...Co, to ja mam was uczyć? Przyjrzyjcie się tym, co podpadli, złe wyniki z dyscypliny, po przepustce spóźnieni. Jasne? - Tak jest!

Scena 2. Oficer do stuka w stopniu kaprala: - Ty mi powiesz, co w kompanii, czy żołnierze zadowoleni z żarcia, jakieś pyskówki, rozumiesz, a ja skreślę naganę z przebiegu służby. Dogadaliśmy się? Coś wiesz, coś ktoś mówi, to stukasz i meldujesz. Jako „Bolek". Może być?

Scena 3. Wydział SB. Oficer do „Bolka": - Przejrzeliśmy pana akta z wojska. Właściwa postawa. Proszę kontynuować w stoczni, bo wróci pan do gnoju!".

Ciąg dalszy filmu znany. A tytuł? „Człowiek z gnoju". W finale *chapeau bas!* przed Wałęsą. (2.07.2008)

Tylko JEMU

Moje próbki literackie zapisuję tu pod wspólnym tytułem „Podróże do czyśćca" *in spe*. Ta akurat o skutkach anonimowości człowieka:

„*Ecce homo* - oto Człowiek (Jan Ewangelista 19,5).

A tenże albo ów wylegiwał się był pod sosną. Zapach, w runie szyszki. Obok sosny rosła druga sosna. Obok drugiej - trzecia. I tak dalej, i tak dalej. Wszystkie sosny wyrastały w równej odległości od siebie. Jakież to dziwne, pomyślał człowiek. Las sosen, a do każdego pnia, od pnia do pnia, równa ilość kroków. Przecież przyroda nie odmierza swego dzieła krokami.

Przeciwpożarowego rowu, biegnącego skrajem, nie wyorał meteoryt. Jakiś most, jakiś dom z bajki.

Leśnej przecinki dla grzybiarzy nie wytyczył wiatr. Wydmy za przecinką też. Po wydmie - plaży. Świadkował rekultywacji i wydmy, i plaży, co roku obserwował statki - pompy, tłoczące piasek z dna na brzeg.

Człowiek mieszkał w szarej, starej kamienicy z tabliczką przy bramie. Na tabliczce wyryto informację, kto wybudował dom. Bardzo mu się to podobało. Przecież to takie ważne, by dzieła ludzi nie pozostawały bezimienne. Ale pozostawały.

Żył w bezimiennym świecie, w którym domy, mosty, drogi, statki stworzył... nie wiadomo, kto. Ktoś - nikt. Ktoś - nieważny. Ktoś - z kulturowego nakazu - skromny aż do niebytu.

Wyobraził sobie inny świat, świat twórczych ludzi, świadomych mocy i nieskromnych. Na każdym domu nazwiska budowniczych, na przykład Wałacha i Ziarkowskiego, przy każdym moście nazwisko nie tylko Kierbedzia, przy wydmie i plaży nazwisko Słomki, przy sosnach nazwisko Kowalika, zmarłego leśnika. Nawet ten słup oświetleniowy wsuwały w ziemię czyjeś ręce. Czyje? Chciał znać to nazwisko. I znał: Podgórski. Wszędzie pełno nazwisk, gdzie by nie popatrzył - człowiek. Ugryzł jabłko - nazwisko, włożył koszulę - człowiek. Przekręcił kurek - śp. hydraulik Pawlik.

Oprzytomniał i nagle, niczym wykładowca, zmazał z tablicy całą wiedzę. Wszystkie wzory, wszystkie nazwiska, wszystkie wspomnienia. Oto tabula rasa - rzekł. Zadrżał, bo stworzył to, co znał: pustkę, czeluść próżni, groby bez wspomnień. Zrozumiał, że świat anonimowy, z reguły bez podpisu, świat bez dzieł człowieka, ...tak ułożony świat służy JEMU, tylko JEMU jednemu.

Ecce homo - powiedział mądry Piłat do ludu. Zapamiętajcie dzieło i przesłanie.

Oto człowiek, zapamiętajcie - mówił z pewnością Piłat wcześniej i później, wiele razy, przy różnych okazjach. Nadaremnie”. (11.09.2008)

Fakt nienormalny

Pojutrze przybywa do Polski Francois Brune, francuski duchowny, teolog, absolwent paryskiej Sorbony, badacz przekazów transkomunikacyjnych (kontaktów ze światem zmarłych za pomocą urządzeń technicznych) - nazywany papieżem transkomunikacji - autor książek poświęconych problemom transkomunikacji, m.in. „Umarli mówią do nas”; ostatnia „Powiedzcie im, że śmierć nie istnieje” ukaże się po polsku w tym roku. Gość spotka się z czytelnikami i ciekawskimi w Warszawie, następnego dnia w Krakowie.

Ks. Brune został uhonorowany nagrodą roku 2008 przez prezesa mojego stowarzyszenia reporterskiego. Nie ujawniam bynajmniej szczegółów wewnętrznej korespondencji; kiedyś coś ujawniłem i bęc...

Według prezesa mojego stowarzyszenia fakty naukowe potwierdzają istnienie transkomunikacji, a ksiądz Brune jest postacią wybitną i znaną na całym świecie, do tego fascynującą. Mało tego - to erudyta i wielkiej klasy intelektualista. Według prezesa pisanie o kontaktach ze światem zmarłych przez duchownego stanowi sporą sensację, ponadto Watykan przygląda się działalności księdza z tolerancją.

Sprawę podjął się pilotować medialnie największy krakowski dziennik z b. kolegą z mego stowarzyszenia reporterskiego, i uff. Na pewno nie odpuści radio i telewizja, w końcu różnych redaktorów w bród (w tym czasie na topie red. red. Wojewódzki i Majewski w stacji TVN).

I co...?! Przecież ja też tu nie odpuściłem! W pierwszym odruchu - jak każdy normalny - puknąłem się w czoło. Chichot... W drugim odruchu przypomniałem sobie własne

rozważania o niepoznanym świecie, o nieznanych cząstkach materii i zaczynającej kiełkować nowej fizyce XXI wieku. Śmiałem się dalej, śmiałem, ale kpić przestałem.

Na koniec zadumałem się, skąd wśród moich kolegów, szczególnie u jednego prezesa - starych reporterów, wychowanych na klasycznych ideach reportażu, budowanego ze zweryfikowanych faktów - taka przychylność dla nienormalności... Otóż to! Jeśli zdarza się coś niewytłumaczalnego, coś w duchu piosenki A. Osieckiej z czasów STS **:** *"Życie jest formą istnienia białka,/ ale w kominie coś czasem załka*" - to to coś też jest faktem! Dla reportera fakt to fakt, nieważne, czy normalny. Reporter nie może zignorować żadnego, nawet nienormalnego faktu. (1.11.2008)

Zaczyn

Od pokoleń wpatrzeni w Amerykę jak w obrazek z Panienką Jasnogórską, dziś, po wyborze Baracka Obamy na prezydenta USA, mamy szansę dostrzegać na świętej polskiej ikonie Czarną Madonnę. Ameryka - wybierając czarnoskórego Obamę na przywódcę świata - poszła do przodu. To bodziec, by pójść za nią ku wolności przekonań, tolerancji dla różności obyczajowej. Mam nadzieję, że teraz młode pokolenie Polaków przetrze oczy i zakontestuje naszą „normalność”.

Wybór Obamy to krok milowy dla quasi-rasistowskiej Ameryki. To zaczyn dla Polski, by wytrzepać nasze życie z kurzu prawicy klerykalnej PiS i PO. Tylko że wpierw trzeba by naturalizować na lewicy - wzorem z piłki nożnej - jakiegoś Murzyna. (5.11.2008)

50+

Lubelski ośrodek telewizyjny zorganizował casting na prezenterów „50+” do prowadzenia programów dla „50+”. Co za pomysł?! Hucpa! Takie coś mogło wpaść do głowy tylko menadżerom z pokolenia „20+” albo „30+”. Młodym wydaje się, że ci z „50+” chcą oglądać na ekranie zmarszczki i łojotoki... Prawda o „50+” przedstawia się tymczasem banalnie: od pięćdziesiątki lepsze są zawsze dwie dwudziestki piątki.

Czemu mnie to ruszyło? Bo przypomniałem sobie siebie z okresu przynależenia do „20+”, „30+”. Akurat zaczęto popularyzować Uniwersytet Trzeciego Wieku. Staruchy „50+”, „60+” tłoczyły się w aulach Uniwersytetu Jagiellońskiego, by słuchać o historii filozofii albo o podstawach marketingu. Słuchać! A przecież już głusi... Po co im to? Po cholerę ta wiedza? Nie potrafiłem zrozumieć. Odpowiedź, że „50+” potrzebują wiedzy dla samej wiedzy, wydawała mi się niedorzeczna. Staruchy wyjaśniały: - Uzupełniamy wiedzę, bo zabrakło na nią czasu w młodości. Chcemy też zrozumieć swoje życie. - Trudno było kupić to tłumaczenie.

Sprawa wróciła do mnie jak bumerang, kiedy ot tak, dla własnej satysfakcji, dociekałem historii pewnego wydarzenia, a syn zapytał: - Po co ci to? - Po co? - żachnąłem się.

Pomyślałem. I znalazłem odpowiedź, czerpiąc z mądrości pokoleń... Może ona zabrzmieć buńczucznie, a niech tam. „50+” uzupełniają wiedzę w praktycznym celu. Aby nie zostać ubezwłasnowolnionym na stare lata przez „20+”! By móc do końca kontrolować swoje życie.

Oczywiście dla młodych, dla takich menadżerów „20+” z castingu dla „50+” - jak kiedyś dla mnie - wyjaśnienie powyższe to kompletna abstrakcja. Nie szkodzi. Pojmą je za kilkadziesiąt lat. Otrzeźwieć mogą wszak wcześniej przy zerowej oglądalności telewizji z prezenterami „50+”.

Wiem, bo sam startowałem w castingu tego typu przed wielu laty i już wtedy czułem brzemię starości... Odpadłem, bo mam ciut skrzywioną przegrodę nosową, co ponoć czułe ucha wychwytują.

Staruchy nie potrzebują staruchów do szczęścia, lecz świata młodych, w którym jest miejsce dla nich. Czasem mają wolę powalczyć o miejsce na podium, ucząc się.

Aha, w tym roku uzupełniłem swoją wiedzę o karaty; że inne są dla złota, a inne dla kamieni szlachetnych. Oraz o pisownię nazwy zwierza. Słownikową „klępę” ludzie lasu od zawsze nazywają „klempą”. Trzymam z leśnymi. Jeśli dowiem się czegoś jeszcze o czymkolwiek, napiszę. (11.01.2009)

Pozostałem z „L”

Zmarł Janusz Sobolewski. „Z głębokim smutkiem informujemy, że 17 stycznia w godzinach wieczornych zmarł nagle nasz kolega JANUSZ SOBOLEWSKI, członek Związku Polskich Artystów Fotografików od 1979 roku. Fotoreporter - od 1961 roku współpracownik polskiej prasy ilustrowanej. Przez długie lata specjalizował się w fotografii mody. Wspaniały kolega i życzliwy przyjaciel (...)”.

Nie znałem JS. Kiedy jako student rozpoczynałem współpracę z prasą studencką, „w towarzystwie” mylono mnie z JS, którego piękne zdjęcia zdobiły okładki tygodnika studenckiego „itd”. Tylko z tego powodu w połowie lat siedemdziesiątych zdecydowałem się na podpisywanie tekstów jako JLS, z inicjałem drugiego imienia - Leopold. Później, w pracy zawodowej, w małym prasowym Krakowie, czyli w „Krakówku”, co bardziej nobliwi uznawali używanie „L” za megalomanię z mojej strony...

Nie znałem JS. Kiedy u schyłku Gierka trafił mi się ryczałt w „itd”, w redakcyjnej stopce tego tygodnika widniał „Janusz Sobolewski” jako fotoreporter i ja - „Janusz L. Sobolewski” jako reporter. Bez „L” niewykonalne.

Nie znałem JS. Księgowość tygodnika „Polityka” pomyliła JS ze mną. Za wydrukowane zdjęcie JS, chyba w 1979 roku, przesłano pieniądze mnie, wygrzebując moje namiary, zachowane przy okazji wcześniejszego druku. Parę groszy... Nie pamiętam już w jakich okolicznościach, na stojąco czy na siedząco przy kieliszku szampana?, powiedziałem o tym JS. Zachował twarz. A przecież każdego trafiłby szlag, że tak ważna redakcja pomyliła znanego fotoreportera z debiutującym młodzikiem. JS powiedział: - E tam, nie szkodzi. Postawi mi pan za to kiedyś kawę. Aha, oj, przecież pan z Krakowa?... (Koniec anegdoty pokazującej, za jakich skąpców uchodzą w Warszawie krakusi).

Nie znałem JS. I więcej się jakoś nie spotkaliśmy. (Przepraszam, dopiero tu koniec anegdoty).

Minęło. Zatarło się w pamięci. Pozostałem ja: JS z „L” - z powodu JS. (31.01.2009)

Stanąć przeciw

„Mówię ludziom, by mnie nie zaczepiali. *Noli me tangere*, nie dotykaj mnie, kurwa, to rzecz pierwsza. A oni nie pozwalają żyć, mają coś zawsze do mnie. Kiedy skarżę na nich, to szurają: „Ja to tam pisać nie będę - kolega kpi - ja nie jestem literat”. Stosują różne formy ostracyzmu. Ale mniejsza z tym. Potrafię odgryźć się, no nie?

Piłem mało, teraz nie pije w ogóle. Paliłem dużo papierosów. Nie palę. Życie spędzam w izolacji od większej grupy ludzi. Nie sądzę, bym nie umiał współżyć z nimi. Bardzo chętnie rozmawiam, dowcipkuję, ale gdy jestem sam, to nie płaczę. Czuję w sobie złość od dzieciństwa. Powiedziałbym, że jestem zajadły, zaprogramowany do walki. Jak bokser, pies bokser.

Wyrzucali mnie zewsząd, od kiedy rozpocząłem życie społeczne. Wpierw odesłali z kościoła, bo odszturchnąłem się koledze ministrantowi przed ołtarzem. W szkole podstawowej i średniej przesuwali z klasy do klasy. Nie poradzili. Bo ja nigdy nie uwierzę, że czarne jest białe dlatego tylko, że uważa tak większość. Odpychali mnie. Odgryzałem się w miarę możliwości. Przeciwko większości trudno zareagować specjalnie. Lubię ludzi, którzy potrafią stanąć przeciw masie. Bo ja nie lubię siły, nie lubię przemocy i nie lubię większości".

Koniec cytatu fragmentu mojego reportażu z czerwca 1985 roku, zamieszczonego w „Życiu Literackim" pod tytułem „Przypuśćmy, że każdy psychiatra ma źle w głowie". To słowa o mnie, skoro mógłbym się pod nimi podpisać? Nie, to wywód doktora Jana Tomaszkiewicza, w życie którego wniknąłem. Po spotkaniu z doktorem przed ćwierćwieczem przestał mi dokuczać w głowie „gwóźdź neurotyczny". I nie wrócił. Doktor za to wrócił ostatnio w swoim środowisku jako orędownik ujawnienia współpracowników bezpieki wśród duchowieństwa, antyróżowy apologeta linii PiS-u, przeciwnik zamykania ust krytykom „świetlanych" postaci, wojownik dla wojowania.

Panie doktorze, dlaczego?! Dlaczego w tym obozie? A może ma pan rację... *Noli me tangere*, kurwa, nie wstrzymujmy, to rzecz pierwsza, żadnych działań, też słów. W zgodzie z ewangelicznymi słowami Chrystusa do Marii Magdaleny. (4.03.2009)

Prawda...

W Święto Pracy liberalnie... zwalnianym zbiorowo z pracy stoczniowcom, hutnikom, kolejarzom i górnikom... niech się szczęści 1 Maja! Spoko, znam temat, są zasiłki, kursiki, odprawki. Jak to się robi?

Przypomniał mi się taki oto dowcip o dwóch rekinach: tatusiu i synku. Synek woła: - Tatusiu, zobacz, ile tam u góry fika nóżek. Chapniemy? - Spoko - mówi tatuś - to się robi tak. Wpierw podpływamy, następnie wynurzamy się, ale tylko trochę, na tyle, by było widać płetwę. Potem pięć kółeczek w prawo. I zanurzamy się. Następnie znowu podpływamy, wynurzamy się, ale tylko na tyle, by było widać płetwę. I pięć kółeczek w lewo. - Tatusiu, ale dlaczego tak? - pyta synek. - No, wiesz, lepsze jest mięsko bez gówna!

I tekst zespołu „THS-Klika" pt. „PRL", podaję jak leci: *„Już dobre ponad dwadzieścia lat mija odkąd komuna padła na ryja (...). PRL system śmiać się chce gdy o tym pomyślę robienie wody z mózgu z ludzkim umysłem. (...) Bieda nie ma cukru i mięsa banany w święta na zapisy listy stałeś w kolejkach (...). PRL, PRL system śmiać się chce gdy o tym pomyślę robienie wody z mózgu w ludzkim umyśle to PRL (...) Tak mówią fakty jak nie pamiętasz spytaj se matki koleżanki Baśki kolejki w sklepach mięso na kartki (...) a w kinie w nocnej telewizji prawie same radzieckie filmy. (...) Dzieciaki by dziś nie dały wiary po co te puszki po Coli po tych napojach na szafie stały. Masy ludzi na pochodzie na tym 1-majowym chodzie (...). W ogrodzie na samochodach flagi w rękach czerwone maki z dumą na twarzy niosą dziewczyny i chłopaki".*

Młodzi przyjaciele dali mi posłuchać „PRL" i zapytali, czy to prawda. Prawda, odpowiedziałem. Jedna wielka ideologiczna iluzja - świętem 1 Maja chciano zadekretować szacunek do pracy! (1.05.2009)

Pięć lat niełechtania

Z zaskoczenia... Powodzeniem cieszą się w okresie urlopów internetowe strony turystyczne, na przykład beskid-niski.pl. Wszedłem tam i patrzę, patrzę, oczom nie wierzę. Klikam w "Łemkowie i Łemkowszczyzna", potem w „religia", na koniec w „Konflikt o cerkiew w Polanach" i co wywołałem? - http://www.beskid-niski.pl/index.php?pos=/lemkowie/religia/polany ...Otóż mój tekst sprzed dwudziestu sześciu

lat („Życie Literackie” 17/83). Musiałem uszczypnąć się w policzek, by potwierdzić, że żyję. O tak, żyć - jaka to przyjemność.

Jakiś czas temu ktoś zadał sobie wiele trudu i uczynił z jednego z moich reportaży dzieło omalże klasyczne. Teraz łechce to moją próżność. Tylko czemu dowiedziałem się o tym sam, przypadkiem, z zaskoczenia i dopiero dziś - po pięciu latach obecności owego tekstu w internecie? Pięć lat niełechtania próżności, jaka to strata! Uznano chyba, że pozostały po mnie w XXI wieku jeno trociny.

„Spór o cerkiew” to reportaż ważny w moim dorobku. I - okazuje się - wciąż wywołujący komentarze, polemiki, dyskusje. Z punktu widzenia jego autora - to cieszy, z punktu widzenia obywatela państwa - nie, bo opinie na marginesie reportażu potwierdzają diagnozę nietolerancji religijnej części Polaków.

Pod tekstem sporo wpisów. Mógłbym i ja ujawnić tam, że istnieję. Że żyję. Odnieść się do niektórych uwag. Uwaga - to ja - autor! Milczę, by nie zakłócić atmosfery tej internetowej strony. A za jej twórców trzymam kciuki - już wiem o was i popieram - oczywiście zrzekając się wszelkich tantiem... (3.07.2009)

Sto lat!

Nic nie zatrzyma nowego świata? Nic, jeśli nie będzie on nacierał zbyt szybko. W przeciwnym razie - wojna! Dlatego pamiętajmy, wspominajmy, czcijmy szczęście naszych pokoleń i nie śpieszmy się. Dobro potrafi przepaść przez pośpiech.

Tyle lat bez wojny, tyle naszych pokoleń bez wojny własnej. Szczęście, o którym powinno się pamiętać. Właśnie to jest to szczęście do czczenia z Niemcami pod Westerplatte i z Rosjanami wokół Kołomyi...

Mam wrażenie, że doczekam tu albo w niebie setnej rocznicy wybuchu wojny światowej. Sto lat! Przecież do tego niedaleko. Trzydziestoletnia chwila i już. Sto lat - to i dla historii długo.

Znane przyczyny konfliktów - sądzę - zanikają z powodu rozwoju cywilizacji, głównie informatycznej. Rozszerzanie terytoriów dla osiedlania się, dla surowców... Dziś osiąga się te cele bez wojny. Krucjaty ideologii, religii... Szabla, którą Mahomet przeciął Księżyc na pół, powisi co prawda nad naszymi głowami jakiś czas jeszcze... Ale w zasadzie widać już przyszłość. Kształtującego się nowego modelu świata nic nie zatrzyma.

To model bez granic gospodarczych i kulturowych. Model bez państw tradycyjnie narodowych i wyznaniowych - model państw otwartych, autonomicznych, samorządowych. Model bez wojny. Życzę temu “Sto lat”!

Ale to dopiero za sto lat? Dziś przebija się hasło francuskiego marszałka Ferdynanda Focha: „Narody, które tracą pamięć, tracą życie”. Inni też mieli na ten temat coś do powiedzenia. „Narody, które tracą pamięć - giną” - Stanisław Witkiewicz. „Naród, który traci pamięć, traci sumienie” - Zbigniew Herbert. Ale jakoś nikomu nie skojarzyło się, że narody są za karę. Przecież Bóg pomieszał ludziom języki, by nas ukarać...

Przewodnicy duchowi naszego narodu rozdrapują do bólu każdą rocznicę lania w dupę. Pamięć narodowa większości Polaków to jedna wielka trauma. Pacjenta, który trafia do psychiatry z taką pamięcią, leczy się, by zapomniał. (1.09.2009)

Powodzenia...

Do zapamiętania - początek tworzenia ponadnarodowej Unii Europejskiej po wejściu dziś w życie Traktatu Lizbońskiego - z Polską niezmiennie w czapce błazna. Domagamy się od Unii Europejskiej, która powstała moim zdaniem w kontrze do Stanów Zjednoczonych

Ameryki i to z zamiarem zawierania aliansów z Rosją, by działała zgodnie z interesem mocarstwowym USA i przeciw Rosji. Powodzenia...

Marija z Barcelony u syna. „Szatańskie wersety” (interpretacyjna paranoja; na podstawie zasobności internetu stwierdziłem, że nie ma w Polsce z kim porozmawiać o tym dziele). Wideoksiążki i fajna zabawa. Redagowanie zbioru reportaży, wygrana z „Netią”, grobowiec, kabina, garaż, parasol, basen, zdrowie, sosenka, klient, laptop, LO, 56, kuna w aucie, sesja reporterska na Śląsku.

Twórcy a opisywacze twórców, którym własne myśli wyparowują z mózgownicy, przytłoczone myślami innych. Młodzi mają przed sobą całe życie. - O, Boże! - moja refleksja. Społeczeństwo jak barany zgadza się na kłamstwa w mediach i nie chce mi się z tym kopać. Teoria prawdopodobieństwa do kitu - to moje nowe „odkrycie”. Czy się w „Lotto” zawrze jeden zakład czy dziesięć, wszystko jedno. To tak jak z prawdopodobieństwem znalezienia borowika w mniejszym albo większym lesie. Bez szczęścia ani rusz. Nie zbierałem grzybów w tym roku, mimo to było fajnie. (1.12.2009)

Czernidło

Bohomazy wypisuję. Daleko mi oczywiście od sformułowania tezy o wielkiej stracie dla cywilizacji ludzkiej, wynikającej z powyższego powodu, niemniej jednak coś, czegoś..., kto wie, czy nie..., a Cyganów żal. Muszę wykończyć wpierw pewne zamiary antologiczne, by poczuć się okay.

Rok nowy - rok polityczny, i nie popuszczę. Tak jak dokładałem onegdaj Kaczyńskim, tak pokopię Tuska w swoim czasie. Co za rozczarowanie! Może i Polska idzie gospodarczo w przód, lecz staje się krajem fundamentalizmu religijnego, państwem religijnym. Nie przesadzam. Tak, panie Tusk, w konstytucji Bóg katolicki, wszędzie krzyże, realizowany zamiar wprowadzenia obowiązkowej nauki religii katolickiej w szkołach. Co to? Wszelkie ogólnotolerancyjne wywijasy interpretacyjne - to fałsz, takie z Owidiusza *pia fraus*, czyli pobożne oszustwo w szlachetnym niby celu. Przyginajcie z Tuskiem to wahadełko, panowie, przyginacie, a jak się odwinie...

Rok nowy - to rok czarnej materii. Hm..., omen - wróżba.

Docierały wieści o zwołaniu światowej konferencji naukowej w połowie grudnia minionego roku, na której miano ogłosić twarde dowody na istnienie czarnej materii - publikacje już nastąpiły - co stanowiłoby przełom w fizyce, a nawet początek budowy nowej fizyki. Coś się odwlekło, ale to coś wybuchnie! (Tylko 5% energii i materii we wszechświecie to „zwykła” energia i materia, 25% to czarna materia, a 70% to czarna energia - „czarna”, gdyż nie można jej było dotąd zaobserwować). Kopernik udowodnił heliocentryzm wiele stuleci po odkryciu go przez kapłanów egipskich i Greka Arystarcha z Samos. Po idei czarnej materii spodziewam się skutków realnych w XXI wieku - podobnych do kopernikańskich przewartościowań naukowych, kulturowych, światopoglądowych. Przecież my - ludzie, z naszymi mózgami, zbudowani jesteśmy z tych samych atomów co wszechświat.

Per saldo - jak by nie było idzie ku czerni. (7.01.2010)

Sympatia przeniesiona?

Dziś Międzynarodowy Dzień Pisarza - usłyszałem w „Trójce” - w radiu hurmem opanowywanym właśnie przez hunwejbinów znad Wisły, czyli nasz „front narodowy”. To dzień pisarza, takiego jak Ryszard Kapuściński - świeżo sportretowany przez biografię Artura Domosławskiego, a opluwany po śmierci przez hunwejbinów. Tylko durnie mogli nie domyślać się, że reporter i pisarz Kapuściński konfabulował, współpracował z wywiadem, czuł sympatię dla komunizmu (idei szczęścia wszelakiego). Że napisał „Cesarza” przy barze -

to wiadomo było od razu w latach siedemdziesiątych. Bez współpracy z wywiadem nie jeździłby po świecie. Ciekawe, czy sympatia czytelników do Kapuścińskiego nie przeniesie się trochę z Kapuścińskiego na komunizm...? Prorokuję to.

Krajowy Klub Reportażu przysłał mi hasło: „Nie dyskutuj z durniami. Wpierw sprowadzą cię do swego poziomu, a potem pokonają doświadczeniem”. To zdaje się coś z humorystycznych „praw Murphy'ego”. KKR przysłał hasło, ale nie podał, o co chodzi. Zatem chodzi - o wszystko, i o Kapuścińskiego. (3.03.2010)

Kształtowali życie

Prezydent Polski Lech Kaczyński zginął. Katyń bis. Wstrząs porównywalny z emocjami dnia ogłoszenia stanu wojennego 1981 roku. Lista ofiar katastrofy samolotowej długa, znacząca.

Dzień 10 kwietnia. Zacząłem go od uczczenia pamięci swego ojca, który zmarł w tym dniu przed czterema laty. I od złożenia życzeń urodzinowych synowi. Śmierć i życie.

Wielu zmarłych w katastrofie kształtowało życie milionów Polaków. Żałoba. Przewidywalne jutro: Jarosław Kaczyński kontra Włodzimierz Cimoszewicz w finale przyspieszonych wyborów prezydenckich. (10.04.2010)

PS (27.04.2010): Panie Cimoszewicz, precz z mej pamięci na wieki za kolejny walkower polityczny!

Gorsze i lepsze

Z mojej „Podróży do czyśćca” *in spe*: „Wszystko coraz gorsze. Pokolenie po pokoleniu coraz gorsze. Dzieci coraz gorsze. Dzieci dzieci coraz gorsze. Po Sodomie i Gomorze gorsze, choć ludzie spostrzegli wtedy, że są źli. Zbudowali zasady, niebo i piekło, i chwycili się za mordy. Jedno to to dobre, a drugie to to złe. Przetrwali. Ale przyrodą rządzi entropia, ten kierunek zmian ku niczemu. Dobry anioł miesza się ze złym diabłem, aż dobro przestaje być dobrem, a zło złem.

Cholernie się miesza. Wszystko staje się mieszaniną niczego. I człowiek, i jego plemię, i w człowieku, i w jego plemieniu. W ciele i w duszy. A co, pradziadkowie nie mówili naszym dziadkom, że są gorsi niż oni? A co, dziadkowie nie mówili naszym rodzicom, że są gorsi niż oni? A co, rodzice nie mówili nam tego samego? A co, my powtarzamy to samo naszym dzieciom. Że one to nic... Mówimy, ale nie za bardzo wierzymy własnej mowie. Dziadkowie i rodzice, mówiąc, też nie wierzyli. Ale uwierzmy, bo tak jest. To prawda.

Nie wierzymy, bo zło z dobrem wiruje w dół. Widział ktoś opadanie tego zygzaka? Świra nurkującego? Czasem świr podnosi się z błota. To jednak złudzenie z wykroju czasu. Bo w przekroju pokoleń świr konsekwentnie zmierza ku niczemu.

Założyłem nogę na nogę, by powiedzieć, z jakiego powodu się podnosi. Z powodu idei i mordów. Im liczniejsze i krwawsze, tym lepsze. A mordy, szczególnie te ideologiczne, pochłaniające miliony ofiar, najlepsze. Świetne pokolenia odradzały się w ideach wojen krzyżowych, wojny trzydziestoletniej itd..., różnych rewolt i rewolucji, wojen światowych dwudziestego wieku. Upuszczenie krwi unosi gatunek, wegetujący na dnie przed mordami „w słusznej sprawie”.

Tylko, co to znaczy: lepsze, gorsze pokolenie? Wedle czego, jakiej skali? Te pytające wygibasy relatywistyczne depcze prosta odpowiedź. To skala fundamentalna, namaszczająca zwierzę na człowieka, czczona we wszystkich kulturach i tradycjach ducha. W cywilizacji europejskiej opowiada się o niej słowami: „nie pożądaj żony bliźniego ani żadnej rzeczy, która jego jest, nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu, nie kradnij, nie cudzołóż,

nie zabijaj, czcij ojca swego i matkę swoją”... W Koranie to samo, punkt po punkcie, przykładowo: „I postanowił twój Pan, abyście nie czcili nikogo innego, jak tylko Jego; i dla rodziców - dobroć”! U Konfucjusza podobnie z *yi, li, ren, shu*: „Nie czyń innym, czego dla siebie nie pragniesz”. U Buddy też w pismach Tipitaka z prawdami z pierwszej sutry. Przykazania, zakazujące zabijania, kradzieży, kłamstwa, niedozwolonych stosunków płciowych, picia napojów upajających. Etc, etc.

Gorsze wypiera lepsze. Każdy słyszał. I nikt nie rozumie. Że to powszechne prawo. Jak ciąży powszechne prawo ciążenia, tak deprawuje powszechne prawo gorszego. Prawo do gorszego. Do wypierającego lepsze gorszego.

W każdej dziedzinie. W dziedzinie igrzysk i chleba. W dziedzinie pieniądza dostrzegł je ponoć pierwszy Kopernik. Że gorszy pieniądz wypiera lepszy. Istnieje powiastka, jakoby to krajanie Kopernika odłupywali po brzegu złote i srebrne monety, a okruchy zbierali sobie na kupkę. Kopernik zauważył, że tego obgryzionego pieniądza coraz więcej na targu, że pokancerowany wypiera cały. I wysnuł prawo. Opowiastka to prawdopodobna nader, dowodząca - tym razem bez wątpliwości - polskich „cnót” krajan Kopernika, jak i jego samego. Oczywiście cnót oszczędności.

Gorsza książka wypiera lepszą, gorszy film lepszy. Nie ma o czym dyskutować. To samo w gospodarce, aby sprzedać byle co. W polityce, aby się nachapać. Etc., szkoda głowy. Wystarczy popatrzeć na dzieci za oknem. Coraz gorsze. Blade, nijakie. A kiedyś: „My ZMP, my ZMP, my pracy nie boimy się”. Niechby choćby nosiły na klacie Che z gwiazdą, niechby tego Boba z Marleyów czy Popiełuszkę. Bo bez idei ideą staje się łatwizna.

Oceniamy, porównujemy, taksujemy wedle siebie, wedle własnego wzroku i umysłu przecież. A pamięć nasza żywa sięgać może najwyżej pradziadków. I co? Zgoda, pradziadowie byli lepsi w przywołanej skali ludzkiej. Czystszy w intencjach, z prostszymi kręgosłupami. To zasługa ich czasów, wypełnionych ideami.

Obumierają, karłowacieją idee. Wyzwania. Tę degrengoladę notuje nasza pamięć, nasze doświadczenie. No bo co ma do zrobienia współczesne pokolenie? Te grzeczne dzieci po domach i na ulicy? Nic! Tylko zsunąć się ku Sodomie i Gomorze. Aż się stanie. Stanie... Strach pomyśleć. Strach czekać na zło. Ale zły czas wskrzesza dobre pokolenia.

Pokolenia odradzają się w podmuchach idei jak od iskry, to jasne. Ale potrzebują grzybni, zdrowej tkanki, by zapłonąć. Tu ukłon dla Kopernika z prawem do gorszego. Odgryzione z monet kruszce ubezpieczały fortuny kupców. Podobnie ubezpieczają zdolności ludzi do odradzania się uszczknięte z minionych pokoleń ogryzki wartości.

Unoszę palec. A morał tej bajki jest krótki i niektórym znany. To tylko mamy po przodkach, co zapamiętamy”. (7.06.2010)

Najmłodszy

Za trzy dni wybory prezydenckie: bez wahań - tylko ten najmłodszy, czyli Napieralski, a potem zobaczymy! (17.06.2010)

PS (z 22.06.2010). Dla pamięci wynik I tury: Bronisław Komorowski (Platforma Obywatelska) - 41,54 proc., Jarosław Kaczyński (Prawo i Sprawiedliwość) - 36,46 proc., Grzegorz Napieralski (Sojusz Lewicy Demokratycznej) - 13,68 proc. (2.299.870 głosów), pozostali w granicach 2,48 proc. i mniej. Frekwencja - 54,94 proc. Sukces i nadzieja na Polskę nowoczesną, bo to odrodzenie lewicy i początek budowy wyczekiwanej przeze mnie, klarownej sceny politycznej: lewica - prawica. W II turze - będąc w opozycji do PO - nie głosowałbym, gdyby nie potrzeba wdeptania w ziemię chorej z nienawiści ”IV RP” Kaczyńskiego.

PS (z 5.07.2010). II tura: B. Komorowski - 53,01 proc., J. Kaczyński - 46,99 proc. (1.014.753 głosów mniej, w tym mój głos na Komorowskiego). Frekwencja - 55,31 proc. No,

i uff - to finał ”IV RP”, jej koniec w pokłosiu katastrofy samolotowej pod Smoleńskiem. A za rok w wyborach parlamentarnych: ci z prawa - na prawo do PiS, a ci z lewa - na lewo do SLD, ci z elit wiejskich - do PSL, a ci z liberalnych gospodarczo elit miejskich - do PO, która zakaszle Niesiołowskim, Hallową, czy Gowinem.

Gość z parasolem

Przez te upały w lecie: nie zabiegałem o nic, z nikim się nie ujadałem, naderwałem hamak, wyparował mi mózg.

Teraz pada deszcz, nawadnia tkanki, wrócę więc do klawiatury laptopa w świetle dnia. Nie tu..., bo plany inne, iskrowe. Do bloga bliżej mi będzie dopiero gdzieś za rok.

Objawił mi się w snach zamierzchły kolega z lat dziennikarskich debiutów. Sentymentalny sen, jak i wspomnienia, choć ów kompan wbił mi drzazgę w serce - chyba przypadkiem - kiedy runęły mury.

Zawsze wołałem o tolerancję. Nie mam za złe, jeśli komuś bliżej do Isakowiczów, Majdzików, Lasotów i innych książąt myśli. Proszę jedynie o wzajemność.

Zatem chłód, żółć. Podszedł gość z parasolem, kiedy czekałem na żonę pod jej pracą, popatrzył. - Widział pan, jak mnie obstąpili? Koniec świata - powiedział gość. - Żeby czarnoskórzy zaczepiali nas w Polsce!

Przypomniałem sobie, kto ja zacz, jakim to ja jestem człowiekiem światłym i tolerancyjnym, do tego jeszcze otwartym... - No, co pan! - odburknąłem. Odsunąłem się na bok.

Po kilku chwilach otoczyło mnie trzech studentów, Murzynów. Rozdawali ulotki. - Pizza-bar, coffee-bar! - reklamowali lokal z uśmiechem. Wziąłem broszurki i uciekłem. - Koniec świata! - Ale tego gościa z parasolem już nie było. (11.09.2010)

Smak wspomnień, wykwintność reportaży

Z reguły co sobotę i niedzielę oglądam „Familiadę” w TVP2. Obiadowa pora wyświetlania teleturnieju, jego familiarność, no i moje filuterne przyzwyczajenie wygrywają. Ostatnio zastrzygłem uszami, słysząc pytanie o wspomnienia. W jakiż otóż sposób można utrwalić wspomnienie o kimś? Najwięcej osób odpowiedziało, że robiąc zdjęcia, potem, że filmując... I tyle, i już. Jaka świadomość tematu, takie odpowiedzi. Nikomu nie przyszło do głowy, że... pisząc!

Bez dozy nadmiernej uszczypliwości... Wspomnienia o najbliższych, zamknięte jedynie w albumach ze zdjęciami i kuwetach z rodzinnymi filmami, smakują jak polizany papierek, w który zapakowano słodycz. To dotykanie głębi czyjegoś życia przez plastyk albo szybę w gablotce bez wkładania rąk w ciasto.

Można to zmienić i napisać wspomnienie. Pisząc o kimś, o konkretnych ludziach, nie umyka nam *wiedza na temat ich mniejszych czy większych dokonań, słabostek, pragnień, nastrojów*... I pamięć, i prawda, która - zapisana - błyszczy w głębokich szlifach pisarstwa niczym brylant. Ha!

Dostrzegłem, że walory literatury wspomnieniowej posiadła też literatura faktu. Ktoś pamięta, co to? Tak, tak, to reportaż literacki. Gatunek wymierający dzisiaj. Ludzie nie chcą ponoć go czytać. Za długie to, za absorbujące... Redakcje nie kupują tekstów powyżej pięciu stron, czyli gdzieś jedenastu tysięcy znaków. Niestety, w pięciu stronach nie znajdziesz sztuki, a nawet rzemiosła. Ktoś kiedyś zaoponował w tej materii i zapytał mnie, dlaczego? Odpowiedziałem jak praktyk: dobry reporter potrzebuje trzech godzin na zebranie materiałów do reportażu pięciostronicowego, ale minimum trzech dni - do piętnastostronicowego. Na tym polega to od kuchni. Oto wyznacznik jakości reportażu. Cała reszta nie ma znaczenia.

Ponadto tekst piętnastostronicowy - w przeciwieństwie do pięcio - wymaga kompozycji, narracji, dialogu, czyli literackiego sztychu. Dlatego reportaże literackie sprzed lat - jeśli ich tematem byli ludzie - mają walor też pełnokrwistych wspomnień. Wspomnień o konkretnych ludziach, o wydarzeniach. To dokumenty epoki. Bohaterowie trwają na kartach reportaży, tak jak trwaliby na kartach wspomnień.

Z musu redakcyjnego i niemocy czytelniczej poniechałem reportaży. Ale wspomnień - nie. Pisząc za kogoś wspomnienia rodzinne (też anonimowo, więc sza!...), nie zgubiłem szlaku. Moja droga autorska pobiegła naturalnie: od reportaży do wspomnień. Dobrze napisane wspomnienia smakują niczym wykwintne reportaże. Znalazłem swoje credo: zarówno literatura wspomnieniowa, jak i literatura faktu, zachowuje pamięć o ludziach. O to mi chodzi, to wiem na pewno. Usługowo promuję pisanie wspomnień. *Tylko zapisane wspomnienia (i reportaże) pozostają trwałe...* Utrwalamy wspomnienia, pisząc przede wszystkim... Pisząc! Może ktoś da kiedyś taką odpowiedź w telewizyjnej „Familiadzie". Wtedy moja droga sięgnie celu. (1.04.2011)

Ułuda

O czym dumam zapisuję w moich „Podróżach do czyśćca" *in spe*: „To, co jest tylko wytworem wyobraźni, utrwalić nie sposób. Mówi się, że malarz tworzy dzieło z wyobraźni, że pisarz przelewa na papier swoją wyobraźnię... Źle się mówi. Tak nie jest. Nie jest?

Piotrem targnęły nerwowe tiki. Niedawno dyskutował z księdzem Wincentym, że jedyną szansą dla wiary w Boga jest to, by był On t y l k o wytworem wyobraźni. A tak nie jest. Jedyną szansą dla wiary w Boga jest to, by Bóg był nierealny. A Bóg jak człowiek, rzeczywisty. - To jaki? - zapytał ksiądz Wincenty. - Jaki ma być Bóg?

Piotr cofnął się do chwil, kiedy myślał po kolei, krok po kroku. Czemu jedni mają większą, a inni mniejszą wyobraźnię? Czemu jedni wyobrażają sobie maj, a drugi raj? To proste: wyobraźnię przesłania doświadczenie, wyobraźnię bałagani wiedza, wyobraźnię mataczy osobowość. Do cna! My sobie w gruncie rzeczy nie wyobrażamy nic albo niewiele. Przemycamy jedynie do sfery wyobraźni nasz byt, nasze postrzeganie i wrażliwość. Dużo tego, dużo tego przemytu. Im go więcej, tym dalej odchodzimy od wyobraźni czystej, krystalicznej.

- Czyli od czego odchodzimy? - zaciekawił się ksiądz Wincenty i zaczął kaszleć.

- Od duszy - uśmiechnął się Piotr. - Ta krystaliczna wyobraźnia to nic innego jak dusza człowieka, która przywarła do materii i niknie.

Wyjaśnił, że ta dusza źródlana - jako sacrum - to Duch święty. I że to wszystko, co powszechnie uznaje się za duszę i ducha, nie jest duszą i duchem, lecz jedynie poświatą bytu, igraszką materii. Duszy źródlanej jako wytworu czystej wyobraźni nie da się utrwalić. Nie da się utrwalić ducha jako sacrum, bo jest on obcy ludzkiemu doświadczeniu. A ten duch to Bóg wszechrzeczy, mający z człowiekiem tyle samo wspólnego, co z przydrożnym kamieniem czy gwiazdą Alfa Centauri.

Ksiądz Wincenty westchnął, ale Piotr nie dał sobie przerwać. - I z tego powodu wszystko - kontynuował - co utrwalono jako sacrum - to fałsz. Wszystko, co w naszym Bogu jest ludzkie, to fałsz. Każde ludzkie doświadczenie, przypisane Bogu, to fałsz. Podobnie każda ludzka historia, związana z Bogiem, to fałsz. Rozumiesz?

Ksiądz Wincenty nie rozumiał. Piotr pogłaskał jego dłoń. Mówił teraz cicho, ale wyraźnie. Przypisywanie Bogu ludzkiego doświadczenia to nic innego jak przekształcanie człowieka w Boga. Nic innego... Przerwał, by sprawdzić, jakie jego słowa zrobiły wrażenie. Zrobić z człowieka Boga, jakiż to problem? Bóg niczym grecki Ares czy rzymski Mars, słowiański Jarowit, germański Wodan, skandynawski Odyn, egipski Horus? Ludzie niczym artyści tworzyli sobie Boga z nieczystej wyobraźni na miarę własnych doświadczeń i

pragnień. I tak dalej... Z wiekami doświadczeń wyobraźnia i dusza stawała się coraz mniej czysta, duch był coraz mniej święty, a tym samym Bóg boski.

- O to ci chodzi? O.K. Skoro wskazujesz i uświęcasz ducha pokaż, gdzież on jest, ten czysty?

Piotr tylko na to czekał. - Przerażający jak wulkan, jadowity jak kobra, bezmyślny jak piorun, krwiożerczy jak noc - to duch pierworodny człowieka jaskiń. Duch czysty - to strach, agresja, zwierzęcość, omamy halucynogenne, okrucieństwo, gorycz, bezmyślność. Pustka. Nicość. Niczego tam nie ma - Piotr zaczął krzyczeć - Boga nie ma na ścianach jaskiń paleolitycznych, bo czysta wyobraźnia ludzka, będąca czystym duchem, nie dała się utrwalać.

- Duch czysty jest pusty? Boga nie ma?

- Bez ludzkiego wymysłu nie ma.

Ksiądz Wincenty załamał ręce. - To co człowiekowi pozostaje robić z tym naszym duchem nieświętym, z tym naszym Bogiem nieboskim, stworzonym na miarę naszej wyobraźni nieczystej? Co robić?

- Wierzyć!". (30.04.2011)

Promocja mojej książki

„Zapraszam na spotkanie autorskie z okazji ukazania się zbioru reportaży „I zamknę cicho drzwi..." - w czwartek, 16 czerwca br., godz. 18 - Klub Kazimierz przy Śródmiejskim Ośrodku Kultury, Kraków, ul. Krakowska 13.

Zapraszam! W czwartek!

Spotkanie będzie okazją do wyrażenia opinii o książce. W przypadku niemożności przybycia - proszę - i byłbym wielce zaszczycony i rad z przesłania opinii o moim zbiorze reportaży (dobrej lub złej, byle po nazwisku...), którą odczytałbym wszystkim zebranym.

Rozdam kilka darmowych egzemplarzy książki wśród osób, które wcześniej potwierdzą obecność i wyrażą chęć jej otrzymania. W programie występ recytatorski aktorów Teatru GrupaTrupa (sic!), apel do szkół wyższych o pomoc w promocji dorobku polskiego reportażu (z możliwością złożenia podpisu pod apelem przez pierwszych sygnatariuszy), lampka wina. Spotkanie będzie filmowane dla mediów".

Wydarzenie na Facebooku: „16 czerwca o 18:00, Klub Kazimierz, ul. Krakowska 13 w Krakowie. Janusz L. Sobolewski jest od lat cenionym i wielokrotnie nagradzanym reportażystą. Pracował m.in. w „Dzienniku Polskim", „Gazecie Krakowskiej", „Życiu Literackim". Jest autorem wielu książek. Najnowsza to zbiór reportaży ponadczasowych. Towarzyszą jej świetne recenzje dostrzegające, że świetne literacko pióro łączy się tu z z ponadczasowymi problemami i bohaterami. Atrakcją, niejedyną, promocji będzie m.in. wysłuchanie fragmentów książki, zaprezentowanie przez aktorów Grupy Teatralnej „Trupa". Serdecznie zapraszam na spotkanie z wielkim reportażem. Dariusz Łanocha, kierownik Klubu Kazimierz". (2.06.2011)

PS (z 13.07.2011). Spotkanie można obejrzeć na YouTube aż w trzech częściach. Przemówiłem (styl języka mówionego): *W internecie aktywni są ludzie, którzy mają jakąś wizję swoich przemian, wizję działania, nastawieni rewolucyjnie - i oni wiodą prym w internecie, jeśli chodzi o najnowszą historię Polski. Dlatego gdy wrzuci się hasło „Kapuściński" - to wychodzi agent SB. A gdy się wrzuci hasło „Lucjan Motyka" - jeden z moich bohaterów z reportaży - to wyjdzie... Co do tej pory wychodziło w internecie? Że kapo w KL Auschwitz... Tak było do niedawna. Ale, proszę państwa, te wszystkie moje reportaże z książki od pewnego czasu są w internecie. I teraz... Jeśli ktoś będzie czegoś szukać na ten temat, będzie miał wybór, kilka wizji tego tematu. (...) Bo tak działa internet. Bo tak to jest. Bo wprowadziłem teksty sprzed lat do internetu, zanim książka przybrała postać papierową. I proszę sobie wyobrazić, że skontaktowały się ze mną rodziny bohaterów dwóch reportaży.*

Jedna wnuczka bohatera, która wpisała w internecie swoje nazwisko przy jakiejś okazji. Mówi: „ojej, to mój dziadek, ja nie wiedziałam, że miał takie życie, tyle ciekawych rzeczy się dowiedziałam". Inna krewna z innego reportażu o cesarsko-królewskim marszałku prosiła: „niech pan uzupełni wątek pierwszej żony tego marszałka, bo ja z tej linii". Ja mówię, przepraszam, tego już nie zrobię.

Proszę państwa, to tak działa! I to jest główna idea powstania tej książki - ta moja mała cząstka reporterskiej prawdy, wrzucona do Sieci, mająca funkcjonować jako źródło informacji, jako pigułka wiedzy dla nowych pokoleń o sprawach, o których piszę. (...) Może niepokoić, że o reportażach zapomina się. Kto pamięta te teksty, nazwiska... Nazwiska polskiego reportażu literackiego. A to są ludzie, którzy pozostawili po sobie spuściznę dokumentacyjną, dokumenty drugiej połowy dwudziestego wieku. I nie ma lepszego opisu Polski niż w tej literaturze, którą uważam za największe osiągnięcie polskiego piśmiennictwa w drugiej połowie dwudziestego wieku. I tak jak Warszawę końca dziewiętnastego wieku widzi się dziś czasem poprzez prozę Prusa, tak Polskę drugiej połowy dwudziestego wieku powinno się widzieć poprzez literaturę faktu. To nie tylko, proszę państwa, dokument, dokumentacja epoki tkwi w literaturze faktu. Jeśli bohaterem reportażu literackiego jest konkretna osoba - to jest to też wspomnienie o tej osobie, opis jej autentycznych losów i tego wszystkiego, co wokół tej osoby się działo, wspomnienie o tym, jak historia wpływała na los.

Mówię o tym ze szczególnym naciskiem, ponieważ sam przeszedłem drogę od pisania reportaży do pisania wspomnień... (...) Wołam i apeluję, apeluję i wołam, żeby to wszystko, cała literatura faktologiczna, która jest dokumentem epoki, a nie jest obecna w internecie, trafiła do tego internetu, bo to jest rzeczywiście ważne dla prawdy o drugiej połowie dwudziestego wieku.

Chciałbym państwa poprosić, by ten mój apel rozszedł się szerzej niż tylko w tych ścianach, żeby każdy w miarę swoich możliwości ten apel o umieszczenie w internecie reportaży, napisanych przed narodzinami internetu, zyskał szerokie poparcie, żeby zebrał mnóstwo akceptacji, podpisów.

Pozwolę sobie na koniec przeczytać apel i mam nadzieję, że choć kilka osób ten apel poprze. Apel kieruję tam, gdzie mogę uzyskać jakieś szanse jego realizacji, a więc do szkół wyższych, dziennikarskich i medialnych, by w ramach studiów studenci dziennikarstwa wprowadzili do Sieci choćby jeden, obojętnie który reportaż sprzed narodzin internetu. A może się to udać, mogę zebrać dużo podpisów. Będę ten apel promować we wszystkich portalach społecznościowych, zobaczę, jak to się potoczy. Bo tego potrzebuje historia Polski.

Mój APEL do szkół wyższych o pomoc w promocji dorobku polskiego reportażu: „*Mając na uwadze prawdę historyczną, kierując się przeświadczeniem o dokumentacyjnych walorach reportażu literackiego, w dobie internetu, jego znaczenia, przy niedostatecznych archiwaliach internetowej Sieci - Apeluję! Do szkół wyższych, dziennikarskich i medialnych! - Niech każdy student w ramach programu studiów umieści w Sieci choćby jeden reportaż, powstały przed narodzinami Internetu. Literatura faktu to rzetelny - z racji prawideł gatunku - zapis losu wielu ludzi, to fakty z naszej historii, które powinny poznać kolejne pokolenia Polaków*".

Na spotkaniu szczególnie przypadło mi do serca wystąpienie red. Leszka Konarskiego, autora reportaży, na podstawie których zrealizowano serial telewizyjny „Tulipan" i film fabularny „Czarodziej z Harlemu", dramaturga, że najlepszy reportaż w mojej książce to ten o Ukraińcu: komuniście, SS-manie, banderowcu, ubeku w jednym („Jedno życie, a koniem go nie objedziesz") - do obejrzenia na YouTube „SPOTKANIE AUTORSKIE z Januszem L. Sobolewskim" (I część: 16.25 - 17.10 min. i II część: 0 - 3.10 min.).

Zapamiętałem mowę Janusza Palucha, redaktora i dyrektora Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie, autora książki o Kresach, że nie wiadomo, jak daleko sięgam w swoich reportażach..., czy aż do Kresów (II część: 3.33 - 4.22 min.). A także refleksję Leszka Lupy,

wicedyrektora II LO im. Jana III Sobieskiego w Krakowie, że moje reportaże to poezja... (III część: 12.37 - 15.09 min.). Ha!

Test prawdę ci powie...

Wybory parlamentarne tuż-tuż, sporo szumu. Aby poznać swoje preferencje wyborcze..., wypełniłem internetową ankietę. Osiem pytań z wariantowymi odpowiedziami.

Czy nauka seksualności w szkole jest potrzebna, czy też wystarcza nauka religii? Raczej to pierwsze.

Czy państwo powinno budować mieszkania na wynajem, czy winno wspierać deweloperów? Kliknąłem to pierwsze, mając na uwadze własne doświadczenia z PRL-u.

A związki partnerskie? Odpowiedziałem wymijająco, że jeszcze nie teraz. Może wtedy, kiedy przestanę słyszeć i widzieć...

In vitro? O, tak, by Polska rosła liczebnie w siłę.

W ewentualnym referendum w sprawie ustawy o aborcji głosowałbym za jej złagodzeniem. By Polska rosła w siłę z miłością bliźniego.

W kolejnym punkcie zaperzyłem się. To godność człowieka wymaga, by umowa o pracę była normą przy zatrudnianiu.

Decyzję o budowaniu lub o niebudowaniu elektrowni atomowych powinien podjąć fachowo Sejm, a nie pospolite ruszenie Polaków w referendum. Znając życie, nie podejmie...

Żołnierze niech się bawią na własnym podwórku, a nie w Afganistanie.

Koniec. I co mi z tego wyszło, co preferuję? SLD - 67%, PO i PiS po 11%, PSL - 9%. Pełne zaskoczenie, że znam siebie tak dobrze. Znam, uwielbiam manipulacje. Od dawna na równi cenię PO i PiS. (1.09.2011)

Będzie lepiej

No, i po wyborach. PO, PiS. Przegrał SLD. Polska zmienia się. Jesteśmy społeczeństwem w 1/3 centrowym, w 1/3 prawicowym i w 1/3 lewicowym. W Sejmie posłów z „lewa” uzbierało się gdzieś z ¼. Za cztery lata będzie lepiej. Zagłosują kolejne roczniki młodzieży. A za czterdzieści lat szokować będą młodzi w sutannach, księżą i zakonnicy, skandujący: „Uwolnić marihuanę!”. (10.10.2011)

Trzeba publikować w internecie

Nie wystarczy napisać dobry reportaż. Trzeba go jeszcze opublikować w internecie. Gdzie indziej też warto, tyle że mniej, bo duża forma reportażu dusi się w papierowej szacie. Dzięki internetowi reportaż literacki podnosi się z upadku. Jakim cudem? Bo często prowadzą do niego linki z newsów. Reportaż pogłębia temat newsa. Trzeba więc umieszczać reportaże w Sieci, by linki z newsa miały dokąd wieźć. A wszystko to dla dobra tej rzeszy publiczności, która ni to czyta, ni to pisze...

Należę do tych młodych 55+, którym ho-ho daleko jeszcze do ukończenia dzieł wszelakich. Doświadczyłem przełomu wieków, a nawet dwóch przełomów wieków w pisaniu. Zaczynałem od pióra i kartki papieru. Kilka ładnych lat młodzieńczych żyłem z przekonaniem, że wartościowego, wrażliwego reportażu nie stworzy się przy maszynie do pisania. Ręczne cyzelowanie zdań, kreślenie wyrazów, sklejanie akapitów, nadpisywanie wierszy kolorowym długopisem budowało jedność między autorem a dziełem. Podgrzewało emocje. Oj-oj, po co znów te wspominki, skoro już o tym pisałem? Uzmysławiam tu skok cywilizacyjny, jaki przeżyłem, porównywalny do XIX-wiecznej przemiany żywego ognia w

żarówkę. Od żarówki aż do reportażu w internecie... Na tym kończę, by nie nudzić przemianami.

Powiem, że blogi i blogowanie jawiły mi się jako zabójcy stylu i języka. Odszczekuję. Gryzę za to Facebooka: - To dopiero kanibalizm! - Tak myślałem, dopóki nie zobaczyłem Twittera. Boże... 140 znaków Twittera - mord na języku.

Co to za świat? Półsłówka, więc i półludki. Jacyś „śledzeni" i „śledzący". Najbardziej rozpoznawalni w narodzie. Tylko, że ci, którym lud prosty chciałby coś przekazać, przekazów nie oczekują. Niech za przykład stanie mój ulubiony popularyzator Twittera, wicepremier Waldemar Pawlak z PSL: „211Tweets, 1Following, 2917Followers". A ten jeden twittujący, Following - śledzony przez pana wicepremiera, a więc mający do niego dostęp ze swoją informacją - to „LudowcyPSL". Polubiłem kiedyś pana Pawlaka za „A sio!", skierowane do dziennikarzy (i tym samym - zdaniem obrażonych mediów - ponoć do obywateli).

U innych zresztą podobnie: Radio Maryja - 15539Tweets, 2Following (TV Trwam, Vatican - news), 674Followers. Palikot Janusz - 93Tweets, 13Following (w większości politycy prawicy), 15701Followers. Kancelaria Premiera - 1152Tweets, 24Following (prezydent i ministrowie), 5171Followers. Oczywiście są chlubne wyjątki: Ryszard Kalisz - 124Tweets, 2791Following, 3057Followers, ale ten pan poseł nie ma zdaje się kwalifikacji na charyzmatycznego przywódcę.

Dzięki stuczterdziestoznakowemu formatowi, pasującemu jak ulał do formatu realnej polityki, Twitter wyrósł na groźne narzędzie opiniotwórcze. Groźne, bo prymitywne. Czas przyjąć ten prymitywizm na klatę. I nie poddawać się. Nawet na Twitterze, przy twittowaniu, retwittowaniu, etc., można wstawiać linki do reportaży. Więc trzeba wstawiać. Byle tylko reportaże - i te XX-wieczne, i te nowe - w internecie były. Bo świecą one - jako gatunek dziennikarsko-literacki - własnym, twórczym światłem, a nie odbitym od miazmatów. Tyle mam do powiedzenia... (1.12.2011)

Ja i tytuł Dziennikarza Roku

Przy wertowaniu styczniowego numeru miesięcznika „Press", można zauważyć na stronach 23 i 24, że zostałem nominowany do tytułu Dziennikarza Roku w konkursie Grand Press '2011 za książkę - zbiór reportaży „I zamknę cicho drzwi...". Konkurs rozstrzygnięto w końcu tamtego roku i znalazłem się w środku peletonu nominatów. Niektórym z nich padam do nóg z szacunkiem. Fakt dostrzeżenia moich reportaży wpisuję z przyjemnością do swojego sztambucha.

Zgodnie z przyjętą przez nas od początku zasadą, by z okazji Nagrody Dziennikarza Roku promować nie spektakularne i powierzchowne, w naszej ocenie, dziennikarskie kariery telewizyjne, lecz szczególnie wartościowe dokonania w sferze reportażu prasowego i książkowego, a także w dziedzinie szeroko pojętej literatury faktu... - to z uzasadnień nominacji (redakcja „Nieznany Świat"). - *Nominare!* (8.01.2012)

Wartości na szali

Po „roku książki" reporterskiej zamierzyłem nisko i mi dennie, niczym kurze, obskubanej z piór. Nowego pióra twórczego nie znajdziesz wśród obskubanych. Ba, toć - atoli nadzieja po liście od młodego pracownika nauki. Autorzy otrzymują takie listy...

Dumki więc po „rękawkowym" spacerze na Kopiec Krakusa. Ku podgórskiej Rękawce - drugiemu po Emausie odpustowi wielkanocnemu w Krakowie - podążyłem ścieżką przez stary cmentarz z Edwardem Dembowskim, synem kasztelana. Dembowski poległ w 1846 roku z pieśnią w duszy: „*O, cześć wam panowie, magnaci, za naszą niewolę, kajdany, o, cześć wam książęta, hrabiowie, prałaci, za kraj nasz krwią bratnią zbryzgany*".

Ale to nie ten bojowiec przypomniał mi się w drodze, lecz Platerówna, wyeksploatowana przez armię znad Oki. I Adam Mickiewicz. Czemu? Nie wiem. Może dumał o ich życiu Dembowski.

Grób podgórski zadbany, ze świeżymi kwiatami. Zatrzymałem się, zaskoczony. Potem dowiedziałem się, że tak jest zawsze, że ten grób otoczony jest stałą opieką.

Emilia Plater nie zostałaby w głowach, gdyby nie Mickiewicz. A co z Dembowskim? Próbował sfilmować go dla pamięci Stanisław Różewicz.

Są ludzie - taki na przykład Mickiewicz - którzy istnieją na wieki dzięki swej twórczości. Przecież nie dzięki swemu życiu. Życie i twórczość to dwie różne rzeczy. Platerówka - to bohaterskie życie, Mickiewicz - to bohaterska twórczość.

Czeredy autorów piszą o życiu innych. Znani kronikarze pozostawiają nazwiska, dziś w Wikipedii: Jan Długosz, Wincenty Kadłubek, Janko z Czarnkowa, Maciej Miechowita, Marcin Kromer, Marcin Bielski, Maciej Stryjkowski i Władysław z Gielniowa. Trwają dzięki twórczości, nie życiu. Zainteresowanie ich życiem jest wtórne. Można żyć samemu byle jak - a napisać o kimś, kto nie żył byle jak. I pozostaje się w pamięci.

Wnuk zapisze dzieje swego wybitnego dziadka - i przemyka do historii razem z nim. Pisarz utrwali postacie wybitne - i trwa niczym przylepione do nich gówno.

Czy pisanie, malowanie, komponowanie - każdy rodzaj talentu i sztuki - można stawiać na tej samej szali, co prawdziwie wielkie życie z krwi i kości? Jeśli tak, to jest to żałosne.

Taki dziennikarz, przepytujący ludzi czynu, staje się wskutek zaklęcia cywilizacyjnego wpływowym celebrytą. To chore. To krzywe zwierciadło. Ale czy na pewno krzywe? I czy to chore?

Dla potomnych fakt utrwalenia przez pisarza kogoś wybitnego, czyjegoś historycznego losu, jest tak samo ważne i godne szacunku jak ten los? Matejko przetrwał, malując królów. I co, ten Matejko - równy królom?! Hm, on chyba tak, bo on obrazami przemawiał... A Mickiewicz? Ten to wierszami podrywał tłumy... Zatem nie sztuka sama w sobie, lecz jej oddziaływanie... Sztuka musi równać się czynowi.

Istnieje twórczość godna szacunku pokoleń. Pamięć o Krakusie przetrwała, bo ludzie nosili w rękawach ziemię tak długo, aż usypali mu kopiec? Czy życie tych twórczych ludzi - architektów przestrzeni i kronikarzy pamięci - da się zważyć na tej samej szali, co życie Kraka? Dużo trawy wokół Kopca i błotnista dróżka powiodła mnie na szczyt. Aniołki trzepały poduszki.

Nie wystarczy sięgnąć po doświadczenia wybitnych jednostek. Twórczość musi kreować ducha, malować duchem, zabrzmieć duchem - i trafić z tym duchem do sedna. Duchy muszą nawiązać kontakt z ludźmi.

Pod Kopcem wyjąłem z kieszeni list do mnie z peanami... A w nim... Młody naukowiec z Poznania: „Natrafiłem na Pańskie reportaże (...). Byłbym bardzo zobowiązany za Pańską zgodę na wykorzystanie publikowanych przez Pana materiałów o śp. Ryszardzie Gziku, zamordowanym górniku z „Wujka". To już wprawdzie ponad 30 lat od wprowadzenia stanu wojennego (...), z tych właśnie powodów chciałbym tę zanikającą pamięć choćby w drobnym tylko wymiarze przywrócić, także mojemu środowisku branżowemu i naukowemu (...). Z wdzięcznością przyjmę również każdą sugestię i radę, gdyż Pan najważniejsze drzwi w tej sprawie już otworzył, dał impuls do uszanowania i podtrzymania pamięci (...), chylę czoła przed owocami Pańskiej pasji i pracy. Gratuluję także żywej i potrzebnej strony w Internecie". Tak-tak, autorzy otrzymują takie listy...

Spełnieniem twórczym pisarza, malarza, kompozytora jest dotarcie choćby do jednego człowieka z własnym duchowym przesłaniem... A jeśli ten człowiek pod wpływem jakiejś twórczości zmienia rzeczywistość - to dzieło zmiany i twórczość są siebie warte.

List od młodego pracownika nauki - niczym laur - powinienem oprawić w ramki ze szkłem - i powiesić na ścianie... wraz z ...groblą wedle stawu. (7.04.2012)

Z dziesięć tematów na zaś

1. Obraz Marii Antoniny i Ludwika XVI. Zgilotynowanych. Obok widok rozstrzelanej rodziny carskiej. I to wszystko za pięknymi ideami rewolucyjnymi. Można zakochać się w pięknie. Ideowi przywódcy z przodu. Z tyłu motłoch. Ludzie. Ludzie są źli, zwierzęcy. Zniszczą wszystko. Nie może być nieba na ziemi, bo ludzie nie są aniołami, ich instynktom sprzyjają krwiożercze ustroje. Niemniej jednak... piękne idee zmieniają człowieka. Bardzo wolno zmieniają, w tysiącletnim, wielomiarowym metrum. Tysiącletnia robota nad tematem.

2. Do 55-litrowego baku nalałem 63 litry benzyny. Dziurawy bak czy „łaskawy" dystrybutor"? Napisałem reklamację i czekam. Wielu przedstawicieli młodszego pokolenia miałoby kłopoty ze zredagowaniem reklamacji na piśmie, pomyślałem. Zadzwoniliby oni na jakąś infolinię i zostaliby z niczym. Bezradni. Bo niepiśmienni... przy tych komputerach. To może zaciekawić jak każda lewizna.

3. Tęskno za epoką Kopernika i jakby bliżej do niej. Wtedy i dziś rodziły się pokolenia marazmu, ignorancji, puszące się pseudowiedzą. Wtedy i dziś wiedziano o rzeczywistości niewiele - nic! Świat był i jest niezmiennie nieznany. W czerwcu naukowcy obserwowali z ekspiacją Wenus na tle Słońca. Tak samo jak dawniej jaskiniowcy. Żadnej różnicy; nic więcej od nich nie wiedząc tak naprawdę! Wydaje się nam tylko, że coś wiemy. Dużo szumu wokół odkrycia „czegoś", tzw. cząstki Higgsa, potwierdzającej jakoby standardowy model świata. Tym gorzej dla świata... Bo ten model nie pozwoli człowiekowi przetrwać następnego tysiąclecia. Ile pokoleń dzieli nas od przełomu modelowego? Trele-morele.

4. Kiedy dzwoni do mnie firma z kolejnymi promocjami i pyta, czy to ja, odpowiadam, że to nie ja. Odmawiam rozmowy, bo mnie oszukują. Drugie pytanie: A jak się można skontaktować? Odpowiadam: Na piśmie. I nic. Koniec. Bo oni niepiśmienni. Tyleż oszustw w żywe źrenice. Te biura podróży, jakieś linie lotnicze... Czy o taki kapitalizm chodziło? Patrzę prosto w oczy chytruskom: Panowie, za komuny wy wszyscy siedzielibyście już dawno za kratkami! Czy ktoś zrozumie te niuanse?

5. Jak co roku od sierpnia zaczyna się politykowanie historyczne. Miesiąc albo dwa dla Muzeum Powstania Warszawskiego... Potem dla polskiego Września... A może propagatorzy i interpretatorzy narodowych klęsk przeniosą na Wawel generała „Bora" Komorowskiego i marszałka „Śmigłego" Rydza? Jeno Komendanta żal, któremu udało się uchować w tęczy barw! Uciekać od tego jak od święconej wody?

6. Na Igrzyskach w Londynie przewodniczący MKOl Jacques Rogge z dumą o kosmopolityzmie tego miasta - egzemplifikacji idei olimpijskich. Tak jak ja o relatywizmie w wielu odsłonach. Jakże dalekie to i to od propagowanego przez polską prawicę kanonu dobra. Szkoda podniebienia.

7. Czy „kombatanckie" pokolenie „solidarnościowe" przetrze oczy czy nie przetrze? Tyleż krzywd poczyniło poprzez patrzenie na Polskę z mentalnościowego pułapu salonu albo dziadowej ziemianki, ukrywającej przed ubecją. I poprzez sekowanie ludzi, głównie tych dalekich od ołtarza i kruchty, plus gejów, cyklistów, akwarystów oraz masonów. Ależ mnie to trzepie, a innych nie obchodzi.

8. Pogrzeb na krakowskim Grębałowie, na cmentarzu przy ul. Karola Darwina. Nie wiedziałem, że nazwa ulicy przetrwała. Teoria ewolucji gatunków też? I zostało, że to nie Bóg stworzył człowieka? Co prawda Kościół dawno się z tzw. (wg Kościoła) ewolucją pogodził, ale tylko teoretycznie. Praktyka wyznaniowa ludu polskiego pokazuje co innego, wystarczy wsłuchać się w większość kazań. Albo się wierzy w to, co w Biblii, albo nie. Jeśli

uwierzysz naprawdę, będziesz chodzić jak Chrystus i św. Piotr po wodzie. I słusznie. Nie można przecież jednych fragmentów Pisma św. traktować jako alegorię, a innych zaś nie. Uha, przylepiło mi się to jak rzep do psiego ogona.

9. I od razu myśl, co z tą ewolucją? Czy człowiek ewoluuje? Czy przez tysiąclecia wytworzył jakieś nowe narządy, podtrzymujące gatunek? I od razu odpowiedź: Tak. Mózgi informatyczne. I niepiśmienność. Trafiony - zatopiony!

10. Pisania wspomnień to mam na rok. A potem - czas tworzenia do końca życia..., jeśli będzie mi się chciało dać coś od siebie, zamiast sobie. (1.08.2012)

Kurczenie się

Odkryłem Amerykę, że aby coś pisać, trzeba coś czytać. To raz. A dwa, że to raz nie wystarczy. Trzeba jeszcze kogoś czytać. Kogoś, a nie tylko siebie samego.

Problem. Jeśli siedzi się przez miesiące nad pisaniem, redagowaniem, odsłuchiwaniem czyichś wypowiedzi, czyli u mnie nad wspomnieniami, to co wtedy? Powtórzę - to problem, kurczenie się własnego pisania.

Muszę się śpieszyć. Prawie, prawie kończyłem wypytywać bohatera o życie, a tu trach! Pogrzeb. I co teraz, dokończyć? Brakuje faktów, opinii, podsumowań. Wspomnienia być muszą! Jaką sztuczkę techniczną wykonać, by kończyły się finałem? Człowieka nie ma, a pamięć złudna.

Omamy religią, polityką, miłością, pracą. Powody? Mechanizmy? To ciekawe. Trzymanie się życia, podczas gdy ja nie mam parcia na życie. Och, wiem, co będzie za parę lat. Dno.

Dziś, czyli teraz gdzie nie spojrzysz, możesz wczepić pazury. Zęby opadają. Nawet w szacie bloga brak poprawności językowej. Format narzuca datę, np. „15 styczeń". Musiałem zmienić na liczby „15.01.2013", by było 15 stycznia. Trochę po omacku to wszystko robię. Nie umiem z akapitem... Nie ma o co walczyć w gruncie rzeczy, jeśli odpuścili językoznawcy z miotu profesora Walerego Pisarka. Ręce... wypadają.

I tak dobrze, i tak dobrze - odpowiadam pytany przez kuzyna żony o poprawność jakiegoś wyrażenia. Językoznawcy dostosowali swoje prawidła do poziomu ulicy. Tylko dlaczego? Powinni się wytłumaczyć.

Dno. Przy okazji analizy dokonań obecnego pokolenia reporterów - odkrywców trotylu na samolocie w Smoleńsku i bohaterstwa opozycjonistów przedokrągłostołowych - wymyśliłem nowy gatunek dziennikarski: reportaż poszlakowy! Wymyśliłem i śmiałem się potem przez kilka dni w kułak z tego określenia. Cóż, moją wesołość mogą podzielić jedynie ci, którzy drzewiej mieli do czynienia z prawdziwym reportażem w praktyce.

Ale czym się tu martwić? Że to dno akceptujemy jako naród? Że żyjemy na poziomie etyki (żeby tylko...) dziewiętnastowiecznej? Niejaki Karol Marks zauważył onegdaj, że prasa ustawicznie kłamie. Nie tylko kłamie, ale do tego zapiera się w swojej świadomości kłamstwa i wyzbywa się wstydu.

Przeczytałem u profesora Tomasza Gobana-Klasa ze stajni profesora Pisarka, że nie inaczej jest dziś. Kłamstwa polityków drukuje rano prasa, potem te kłamstwa podchwytują stacje radiowe i internet, na koniec wieczorem te kłamstwa jako prawdę podaje telewizja.

Przeczytałem coś u kogoś, więc sam coś napisałem. Może mi się to pisanie po przeczytaniu jeszcze powtórzy w przyszłości. (15.01.2013)

Brawo rzadko spotykane

Dziś, inaugurując pontyfikat papieża Franciszka I, Kościół rzymsko-katolicki wszedł w XXI wiek. Nieprawdopodobnie wiele pozytywnych emocji z tym związanych urodziło się w sercach ludzi.

Trafny przekaz medialny docierał do nas przez wiele dni. Brawo nasi młodzi żurnaliści!

Mnóstwo prawidłowych rozumowań i usprawiedliwionych sądów. Brawo, to rzadko spotykane. Cóż, szkoda, nie ma miejsca na ich powtarzanie, niemniej jednak można by gdzieniegdzie dopisać kropkę nad „i".

Wskutek przewidywanej decentralizacji kościoła rzymskiego (nie mylić z religią rzymsko-katolicką) ku autonomii zmierzać będą w nowym wieku kościoły narodowe. Na wzór autokefalii prawosławnych. W końcu kościół musi spełniać oczekiwania wiernych, a gołym okiem widać, że wierni są różni, że wiernym bardzo postępowym albo wiernym i hierarchii konserwatywnej - dajmy na to z kościoła polskiego - nie za bardzo po drodze z modelem „latynowskiego słońca" papieża Franciszka.

Z drugiej strony wiek XXI przyniesie scalenie chrześcijaństwa. Obecność na inauguracji w Rzymie Bartłomieja I, patriarchy historycznej prawosławnej Cerkwi w Konstantynopolu, zmierza w tę stronę. Szybko spodziewać się należy gestów rusińskiego Cyryla I i Franciszka I oraz podróży tego ostatniego do historycznego tzw. trzeciego Rzymu, czyli Moskwy. Przy buzującym islamie nie wchodzi w grę izolacja prawosławnej Cerkwi Moskwy i Całej Rusi.

Franciszek, Cyryl, Bartłomiej... Wszyscy z numerem pierwszym. To znak? Tylko jaką wspólną jedynkę przypisać kościołom protestanckim? Oczywiście, tam - z numerem jeden - Pismo św.

Biskup Jorge Bergoglio (Franciszek I) współpracował, współżył, współdziałał (do wyboru) z reżimem prawicowym Argentyny, nazywanym faszystowskim, wspieranym przez CIA. Nie inaczej czynił biskup Karol Wojtyła (Jan Paweł II) i inni polscy hierarchowie z reżimem socjalistycznym PRL, nazywanym komunistycznym, wspieranym przez KGB. Służyło to dobru narodów i dobru Kościoła powszechnego. Nasi „święci męczennicy polityki" zapominają, że TĘDY wiodła droga. W końcu św. Piotr trzy razy zaparł się Jezusa. Więc to nie „świętość" naszych „nieskazitelnych", lecz droga św. Piotra jest w cenie w niebie.

A zatrwożonych franciszkanizmem Franciszka I uspokajam. Nowy papież nie rozda biednym zasobów banku watykańskiego. Nic z tych rzeczy. Na światowych giełdach notowania akcji i walut nie zamierzają drgnąć z powodu nowych zachowań papieskich w Watykanie. (19.03.2013)

Mowa ciała

Bo po co tracić kilka lat życia na coś, co po napisaniu nie przyniesie ni pieniędzy, ni sławy, zakurzone w kącie? Więc tylko „Podróże do czyśćca" *in spe* w poniedziałek wielkanocny i primaaprilisowy:

„Jest we mnie - w środku - szatan. Rozpycha się we wnętrzu i gryzie. Wyzywa i rechocze. Pali żołądek i wygina kręgosłup. Takie to monstrum, oznajmiam wszem wobec, nie żartuję. Wiele lat z nim wojuję, bez skutku. Nie mogę rzucić przeciw niemu sił egzorcyzmów, ponieważ tu na nic woda święcona. Mój szatan obojętny, potwór wyświęcony, z grona zacnego, z grona przepoczwarzonego. Stonowany, nie aż tak agresywny, jak w filmie „Omen".

Wydawało mi się do niedawna, że zasymilowałem się z nim po tych wszystkich dekadach wspólnego życia. Powiedziałem mu kiedyś: trudno, symbioza. Choć niszczył mnie i

zniszczył w końcu. Machnąłem na to ręką dla świętego spokoju. Gdy ostatnio zobaczyłem go wyraźnie na podeście krakowskiego kina „Kijów”, nie wytrzymałem jednak. Postanowiłem coś zrobić. Bo wciąż niszczy, nie przestaje.

W wielkopiątkowej „Rzeczpospolitej” ks. Michał Olszewski, sercanin, rekolekcjonista, egzorcysta diecezji kieleckiej, orzekł: - Szatan nie pyta, tylko włazi z butami. Niestety, doświadczenie egzorcystów nie zawsze jest brane na poważnie, a szkoda, bo dzisiaj, gdy ludzie odchodzą od Ewangelii, zło osobowe może mieć dużo do powiedzenia. Trzeba wiedzieć, że to jest bardzo realny świat (…). Kiedy byłem na kursie egzorcystów w Rzymie, jeden z wysokich hierarchów opowiadał nam, że (...) zmieniło się zupełnie patrzenie na tę posługę.

Na podeście kina „Kijów” celebrowała swoje mistrzostwo w piórze jedna z najznamienitszych reporterek Małgorzata Szejnert. Wyszedłem i ja na ten podest w marcowe idy w gronie członków Krajowego Klubu Reportażu. Oddałem jej cześć, pokłoniłem się z szacunkiem nad jej dorobkiem, zapisanym w książkach. Stanąłem skromnie, poważnie, ucałowałem jej dłoń szczerze przed widownią, zapełniającą w dwóch trzecich audytorium kina. Elegancko, z kulturą, nie mając za złe, że przed dwoma laty ta mistrzyni dwukrotnie trzymała w jurorskich rękach moją książkę... i nic.

A po paru tygodniach zobaczyłem siebie na zdjęciu z tej imprezy: w jakimś rozkraczeniu, z wygiętym do przodu brzuchem, z ręką w kieszeni, w rozpiętej marynarce, z głupkowatym uśmiechem, z gębą jakby po kilku kuflach piwa. Z mocno świecącymi oczami. Chamskiego i diabelsko wyzywającego.

Nie ma innego wytłumaczenia: moim ciałem - nie duchem, nie umysłem, tylko ciałem - zawładnął szatan. Dopadł mnie. Jeszcze raz.

Pokazywał mi się wcześnie, jeszcze jako dziecku. W ławce szkolnej chłonąłem z uwagą, całym sobą, lekcję fizyki, a od głąbów śpiących z otwartymi oczami zrugał mnie nauczyciel. Pod krzesłem wiła mi się z poprzednich robótek ręcznych papierowa lamperia niczym ogon.

Do pracy w „Dzienniku Polskim” szedłem z satysfakcją, lekko, unosząc się żwawo przy pokonywaniu schodków. - Coś panu nieśpieszno, nie podoba się? - usłyszałem głos redaktora Władysława Cybulskiego.

Z radością w oczach otworzyłem drzwi oczekiwanym gościom. - Coś taki ponury? Wybacz, że zakłócamy twój święty spokój - usłyszałem na przywitanie ironię znajomych. W lustrze w przedpokoju błysnęły mi kły i pazury. Było po mnie.

Wydawało mi się jedno, okazywało się drugie. Czułem się niby w skowronkach, a w oczach ludzi - byłem krukiem.

Ha! Ha! Przeczytałem komentarze internetowe po wypowiedzi ks. Michała Olszewskiego, egzorcysty:

~ed: Jakbyście wy przeżyli obcowanie z osobą opętaną, to byście szybko uwierzyli i nie naśmiewali się z egzorcystów. ~gfdgdg: Dlaczego niby nie ma takich przypadków wśród osób niewierzących? Najsłynniejsze opętania dotyczyły osób głęboko wierzących, czytających namiętnie Biblię. ~Slaaw: Co za debilizm!!! To że istnieją istoty z innej gęstości i zawładają ludzkim jestestwem to tacy jedni wykorzystali i wykorzystują w swoich bajkach. ~prawymsierpowym.pl: Włosy stają dęba, gdy widzę, jak traktuje się księży. Nie ma chyba profesji, na którą byłaby taka nagonka.

Ha! Ha! Wczoraj, w samochodzie, siedząca z tyłu żona zapytała, z czego się tak śmieję. - Ja się śmieję? - zdziwiłem się.

- A nie? Tak mi się wydawało.

Nie śmiałem się. Naprawdę. Jedynie skupiłem myśli. - A na jakiej podstawie sądzisz, że się zaśmiałem? - zapytałem zaciekawiony.

- No bo wydałeś taki znany mi odgłos…, jakby do środka.

Nie mogłem zostawić tej sprawy swojemu biegowi. I dziś zareagowałem. Dość maskarady! Podstrzygłem ostrzej wąsy, poczerniłem siwiejące brwi, na czubek głowy wcisnąłem spiczastą czapeczkę. I z nieukrywaną ulgą pomerdałem ogonem. Niby w oczekiwaniu na wiosnę w ogrodzie, osadziłem widły”. (1.04.2013)

Mieć do trawienia ideę

Nowe związki zawodowe nawiązały do ludzkiej godności - fundamentalnego hasła starej “Solidarności”. Nie powiem, że sercem jestem z nimi, a rozumem gdzie indziej, bo wiem tyle, co zjem. Że Polska goni cywilizacyjną czołówkę, a ludzie czują się narzędziami, nie podmiotami, w trybach rozwoju. Związkowe hasło o godności to przedkładanie człowieczeństwa ponad mechanizmy gospodarcze.

Czy postęp wymaga, by za boga wszelakiego uznawać pieniądz? Pytam, bo nie wiem. Dziś od pieniądza nie ma ważniejszej idei. Służba zdrowia - pieniądz, edukacja - pieniądz, kultura - pieniądz... Masz pieniądze to żyjesz i tworzysz. Czy bóg - pieniądz to atrybut człowieczeństwa?

Człowieczeństwo to duch, to idea, to poznawanie. System społeczny oparty na pieniądzu to ustrój zmechanizowany, a człowiek w swej masie, w swej naturze, z chlebem musi mieć do trawienia ideę. Gdy staje się szczęśliwy bez niej, to nie jest już człowiekiem, lecz przeżuwającą krową Zaratustry u Nietzschego.

Idee dają szczęście, determinują człowieka. Dlatego ludzie idei doświadczają szczęścia. Idee niesie wiara, każde głęboko zakorzenione wyznanie, za które można szczęśliwym umrzeć, ale też przemiany społeczne, rewolucje, wojny, filozofie. Syn powiedział mi, że zazdrości starszym pokoleniom, że miały swoją ideę. A on nie ma nic. To prawda. Pieniądz to nie idea. Ileż pięknych idei niosły zrywy niepodległościowe, rewolucje we Francji i Rosji, kampanie wojenne, socjalizm... Uff, tego przeżuwająca pieniądze krowa z klapkami na oczach nie zrozumie.

Na naszej scenie politycznej istnieje partia idei (pal sześć jakiej idei..., bo to z pozycji historii myśli nieważne). Wielu światłych ludzi dziwi się, że partia ta zyskuje mocne poparcie. Intelektualiści dziwią się, a nie powinni. (16.09.2013)

Trylog

Jako użytkownik Twittera dostrzegłem potrzebę kondensacji Dziesięciu Przykazań. W dawnych czasach, gdzieś tak trzydzieści trzy wieki temu, dłuższy elaborat dawało radę wyryć na tablicach z kamienia. Dziś po co ryć w kamieniu, skoro można puścić tekst w komunikatorze z niebieskim ptaszkiem Larry. Cóż, tylko że Twitter długiego zapisu nie pojmuje.

Ani sam Pan Bóg, ani jego apostoł Piotr ze swoim namiestnikiem papieżem Franciszkiem - z kontem na Twitterze - nie jest w stanie w twitterowych stu czterdziestu znakach zmieścić tego wszystkiego, co Stwórca miał do powiedzenia Mojżeszowi.

Jeśli wierzyć idei przesłania *signum temporis*, trzeba się z tym pogodzić i zwyczajnie dostosować długość wywodu Pana Boga z Góry Synaj do naszych czasów. No bo powiedzmy sobie szczerze, co to za gadanie: nie zabijaj, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa... Komu to potrzebne? Ni wypiął, ni przypiął. Mózgom informatycznym nowych pokoleń szkoda na to szufladek. Przykazania zestarzały się, zawłaszczyło je koniunkturalne prawo, wiele z nich wypadło z obiegu etyki i nie odpowiada potrzebom dnia. Trzeba więc sformułować nowe drogowskazy moralności, byle tylko zwięźle.

Wylegując się w lecie na łebskiej plaży albo kontemplując beskidzkie widoczki z Chatki pod Niemcową, doszedłem do generalnie zaskakującego wniosku. Że Pan Bóg

zapomniał o jednym przykazaniu. Zarówno z perspektywy Kosmosu czy tronu Pantokratora - Wszechwładcy, Pana wszystkiego - jak i w interesie jednostek, skupiających się w społeczeństwach, to jedno przykazanie powinno przebijać się dziś na czoło kodeksu zasad: 1. Rozmnażajmy się.

Zaskoczyło mnie, że Pan Bóg nie wspomniał Mojżeszowi o rozmnażaniu. Dziś niże demograficzne zaczynają być problemem strategicznym i hamulcem rozwoju człowieka w większości państw rozwiniętych.

Człowiek musi rozwijać się, tworzyć, badać, zdobywać. Powiększać swoją moc i siłę względem otchłani Kosmosu - przyrody. Bo tylko wtedy jako hegemon swego świata - zgodnie z wolą Pana Boga - poszerza swoją wolność względem natury i bezpieczeństwo istnienia.

A zatem: 2. Budujmy.

Budujmy dobrobyt ogólny, jak i indywidualny, naukę i prywatne szczęście, domowe pielesze i moc. By iść dalej.

W ogólnym, jak i indywidualnym interesie, pamiętać też trzeba, skąd przyszliśmy. Strategia militarna zaleca zabezpieczanie tyłów. Służy temu dziś - ekologia. Chrońmy ożywione i nieożywione formy ziemskiej materii, bo zawsze milej nam będzie oddychać w lesie pełnym drzew niż w skafandrze tlenowym. Oczywiście więc: 3. Chrońmy.

Wystarczy tych przykazań z komentarzem. Koniec deka-logu (z greki), czas na try-log.

Policzyłem znaki i wyszło: *Trylog: 1. Rozmnażajmy się. 2. Budujmy domowe pielesze i moc. 3. Chrońmy przyrodę, by móc oddychać wśród drzew. http://report.blog.onet.pl/2013/09/23/trylog/.*

Tyle znaków mieści się w Twitterze.

Ale jak spopularyzować to, co nowe, krótkie i ważne, nowoczesne i takie współczesne, przydatniejsze od dekalogowego próchna? Reklamy w TV kosztują miliony, wielkoformatowe billboardy dziesiątki tysięcy, tudzież kasetony, pylony i totemy...

Okazuje się, że zawsze można liczyć na mądrość ludową. Lud od dawna popularyzuje w przysłowiu to, co mądre: spłodź syna, zbuduj dom, posadź drzewo. Doprawdy, doprawdy, powiadam wam, niczego więcej nie trzeba. Twittuj, mądrość zmieści się w Twitterze. (23.09.2013)

W ŚOK

Odnotowuję swoją wczorajszą obecność w Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie przy okazji „Spotkania wokół książki Jerzego Madeyskiego „Felietony o sztuce"". Felietony, zamieszczone w książce, drukowała w latach 2000-2004 prasa codzienna. Autor książki - uznany krytyk sztuki - zmarł w 2005 roku. W latach osiemdziesiątych pracowałem z nim w „Życiu Literackim" biurko w biurko, aż do likwidacji tego tygodnika w 1990 roku.

Na spotkaniu przyjaciele - wydawcy przypomnieli m.in. przedwojenny, lwowski rodowód Madeyskiego, jego sąsiadowanie w „Życiu Literackim" biurko w biurko z Wisławą Szymborską i wewnętrzny optymizm. Dodam, że kiedyś obecność dzieł twórców sztuki na łamach „Życia Literackiego" była dla środowisk artystycznych nobilitująca. (16.11.2013)

Drapanie

...W klubie dziennikarskim „Pod Gruszką" spotkałem się z gronem dawnych kolegów. Co tu ukrywać, każdy, kto pracował w krakowskim gmachu przy ulicy Wielopole, siedzibie przedwojennego „Ilustrowanego Kuryera Codziennego", a potem m.in. „Dziennika

Polskiego" - do czasu jego nie tak dawnej przeprowadzki - czuje do tego miejsca mniejszy lub większy sentyment. Darzę „DP" sentymentem, tak jak darzy się sentymentem młodość.

Pracowałem w „DP" w pierwszych latach osiemdziesiątych, jakże ciekawych w polskiej historii. Lata te pozostawiły u mnie mocny osad wspomnień: PZPR - „Solidarność", stan wojenny... Na spotkaniu stawiło się sporo osób, pamiętających tamtą epokę. Wielu z nich nie widziałem od trzydziestu lat, kiedy to porzuciłem „DP" dla „Życia Literackiego". Jakie wrażenia? Hm, jak to po trzydziestu latach. Ale rozpoznawano mnie od razu, głaskano miłymi słowami... Liczniejsze „Pod Gruszką" młodsze pokolenia dziennikarzy nie mogły mnie znać, oczywiście. A seniorzy odeszli.

...Przyszedł Mistrz na spotkanie byłych i starych. Mistrz już zapomniał, wypadło mu z głowy naturalnie, że jest Mistrzem. - Co u ciebie, Mistrzu? - usłyszał w progu od Animatora spotkania. Przypomniał więc sobie to i owo.

Przed kilkoma tygodniami Mistrz kliknął „napisz" na Facebooku i wpisał przyjście. Zadeklarował przybycie na spotkanie byłych i starych, ponieważ zobaczył na liście obecności nazwisko byłej i starej Miłej. Po niewczasie zauważył, że to nazwisko nie Miłej, lecz jej córki, też byłej i starej. Nie wypadało Mistrzowi zrejterować.

Od Animatora dowiedział się, że ówze uczy studentów pisania tekstów na reportażach Mistrza. A od Famy, że Mistrz był Mistrzem, o którym Fama nie tylko, że pamięta, ale że w swoim długim, o wiele dłuższym niż Mistrza życiu, Fama niewielu takich Mistrzów pióra spotkała. I że to pióro złamał Mistrzowi stan wojenny. Mistrz odpowiedział skromnie, że może i jest w tym jakaś prawda, ale raczej nie, reszta to Mistrza wina. Rodzącego się kapitalizmu wina, wina braku popytu na Mistrza mistrzostwo. I że Mistrzowi miłe takie łechtanie. Fama zareagowała z refleksem: - To nie łechtanie, to drapanie.

- Taki wspaniały reporter, jakże mogłabym nie pamiętać?! - przy uściskach powiedziała Mistrzowi sympatyczna Kumpelka, dawniej sekretarz piekła, a teraz rzecznik nieba. Mistrza stać było na ciepłe słowo: - Nic się pani redaktor nie zmieniła od trzydziestu lat, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni - rzekł Ozie, i przed trzydziestu laty niemłodej już przecież.

...Moje wspomnienia z pracy w „DP" są ambiwalentne. W narodzie - wpierw euforia, potem marazm, ja - przed trzydziestką, z nagrodami w ogólnopolskich konkursach reporterskich i publikacjami w markowych tytułach. Zespół dziennikarski cały czas sztywny. Nie potrafiłem się z nim zintegrować. Chłonąłem i przenosiłem do „DP" wzorce reportażu krajowego, a w redakcji odbierano to jak coś nadzwyczajnego. Funkcjonowałem jak meteor, bez własnego kąta, którego nie chciałem i nie potrzebowałem wcale. Chichrałem ze starszych koleżanek i kolegów, z ich stylu pisania, ich ocen wydarzeń. Dziś nie chichrałbym chyba.

Przyszedłem na spotkanie „Pod Gruszką", choć bałem się pytania: - Co teraz porabiasz? - Kilku kolegów oddało obecność walkowerem z przeróżnych pewnie powodów. Rozumiem to. Po co dawać ciała?

Dobrze mi się dzieje. Choć funkcjonuję wirtualnie tylko, stawiłem się cieleśnie.

...Mistrz wyczekał, aż przygasną Mistrza promienie, po czym wyszedł po angielsku. Szedł i szedł, tak się Mistrzowi - jako byłemu i staremu - dobrze szło przez Stare Miasto do domu. Nie szukał taksówki. Dumał. Mistrzem owładnęło rozważanie tak głębokie jak szyb wiertniczy. Wierciła go zagadka, tkwiąca w słowie „drapanie", rzuconym mu przez Famę w twarz. - O co jej, kurwa, chodziło?

Był Mistrzem, więc wiedział, o co. O to, że Mistrz przerżnął. Coś... Famie chciałoby się czytać Mistrza i czytać, łechtać i łechtać, gadać i gadać. A Mistrz milczał. Był Mistrzem w milczeniu. Z milczenia wystrugał prawidło: raz a dobrze równa się kilkadziesiąt a dobrze, i po cholerę więcej. Mistrzowi to więcej było na nic. Byłym i starym - z wyjątkiem takich jak Fama - było to na nic. Światu było to na nic.

Mistrzowi na nic... i przerżnął, i dobrze mu... Może za dobrze? Po spotkaniu byłych i starych roześmiał się jak Mistrz w noc ulic, kontemplując relatywizm jednostkowego dobra. Mistrzowi dobrze się działo. Funkcjonował wirtualnie. Stawił się z ciałem. (18.02.2014)

Asteroidek

Znowu nadpisuję coś do moich bez szans „Podróży do czyśćca” *in spe*:

„Jeraby, przy jajku na miękko, włączył telewizor. Z ekranu uśmiechnęli się do niego młodzi, piękni, bogaci. Mówili coś, krygowali się, usługiwali, żeby mu było miło z samego ranka w dniu sześćdziesiątych urodzin. Musieli wstać o czwartej rano, tacy mili z tymi swoimi willami i porschami. Wszystko, wszystko by zrobili, starali się dla niego, a on płacił tylko grosze abonamentu telewizyjnego.

Jerab dostrzegał, że cały świat jest na jego usługach. W sklepie ekspedientka, w autobusie kierowca, w przychodni lekarz, w banku - pieniążki. A on nikomu nie usługiwał. Mało, nigdy nie usługiwał, jako że usługiwanie traktował jako mu uwłaczające. Trochę się dziwił nawet, że życie bez usługiwania mógł przebyć w zasadzie gładko jako taki mały - jak to się mówi z francuska - rentier. A z polska gównozjad.

Świat nasz z całym kosmosem urządzono na regule usługi, pomyślał. Wedle żelaznych praw i tytanowo-wolframowych spoiw. Dlatego w tym świecie wszystko wszystkiemu służy i usługuje. Nie tylko mrówki mrówkom, pszczoły pszczółkom... Gwiazdy usługują nam, a my gwiazdom, Słońce przygrzewa, a Księżyc nadsłuchuje wycia wilków.

Jak to możliwe, myślał Jera, że doświadcza pełni, nie usługując. Chromy intelekt podpowiedział mu to i owo. Zasugerował, by wyrysował drabinkę ze szczebelkami, a na tych szczebelkach usadowił usługowe podium *vox populi*, czyli kelnera, fryzjera i sprzątaczkę. A dalej, a wyżej... - to do gwiazd powinien przystawić drabinę Jakubową i wchodzić, i schodzić, i patrzeć. Utożsamił się z asteroidą, właśnie z nią - tym odpadkiem z całości, tym materialnym śmieciem - lecącą dokąd chce, ku zagładzie, świecącą ponad układami. Widać ją pięknie na kosmicznym szczycie.

Namalował jednak co innego - uśmiechnięte słoneczko w kapeluszu. Zastanowiło go, że oddał honory usługującemu Słońcu. Zapytał, dlaczego tak jest. I zadrżał. Bo dostrzegł fałszerstwo, pozór, miraż, ułudę tego wszystkiego, co on widział sam i co widzieli inni. Każdy żyje sam, wszystko żyje samo, zawyrokował, a wzajemne powiązania, układy, konieczność życia usługowego w grupie wynika jedynie z presji ducha, z przemożnego parcia nieodgadnionej siły. Ta moc popycha nas ku stadu, więzi naszą wolną wolę, ogranicza algorytmami usług. Przeklęte praźródło, wytarte *spiritus movens* kreuje konieczność istnienia czegoś, bez czego dałoby się przecież żyć.

Nasz zawirusowany dziwnym duchem umysł odpycha prawdę, że dałoby się żyć bez stada, bez usług, w krystalicznej aureoli jednostkowego dobra. Nie przyjmuje do wiadomości, że asteroida nie jest wcale martwym śmieciem, a galaktyki nie są bogami życia.

Co pozostaje po odrzuceniu więzi usług, pajęczyn zależności? Czystość klauzury i bród kanału. Pełnia lub pustka bez fatamorgany. Krople szczęść i nieszczęść, które przechowują od zarania pustelnie. Dźwigar urealniający nierzeczywistość.

Jer zrozumiał, że żył w pustelni. Cały świat mu usługiwał. Świat usługiwał mu dlatego, że... Że żył w pustelni.

A więc szacun, szacuneczek w tych okolicznościach dziwny, stada dla pustelni. Wyczuwalny podziw grupy dla indywiduum, wynikający z pomieszania zazdrości z przerażeniem. Jak, to tak? To zazdroszczenie indywiduum obcowania z jednostkowym pięknem, ziemską nirwaną. To paraliżująca obawa przed nieznanym samym sobą, wzlotem i upadkiem duszy - i szukanie bezpieczeństwa w prostszych, przewidywalnych zachowaniach mas.

Hm..., przy furtce stanął sąsiad z lewa, od południa, bo tylko on mógł tak stanąć w dniu, kiedy Kościół w złotocielcowym samouwielbieniu wynosił w Watykanie na ołtarze dwóch swoich papieży, w tym „polskiego papieża”. Plącząc się w słowach, poprosił o coś. O radę, o drobną pomoc.

A przecież wiedziano w okolicy, że Je żadnych przysług nie wykonywał. On to żadnych próśb nie spełniał. Ale tym razem, w ten dzień urodzinowo-święty przysłużył się, usłużył w potrzebie... Po czym poczuł się... W sześćdziesiąte urodziny dał coś od siebie - owo światło asteroidy - nie oczekując niczego, okey, nie naruszając trajektorii lotu. Sąsiadowi darował. Sąsiad chorował na Alzheimera, nieświadomy doniosłości myśli i życia J.”. (27.04.2014)

Wymiary

Dedykując kolegom podróżnikom... Tak jak dzięki wymiarom głębi hologram robi wrażenie bogatszego znaczeniowo od płaskiego zdjęcia, tak zwykła, szara, codzienna myśl, ta sama myśl, tyle że powstająca w podróży, z dodanym wymiarem ruchu, robi wrażenie głębszej. Dodane wymiary tworzą ułudę, że hologramy wystarczą za wyobraźnię, a podróże czynią z myśli przydrożnych filozofię. (16.10.2014)

Modzelewski z twarzą

Przeczytałem książkę; pierwszą w tym roku, uff. Dzieło Karola Modzelewskiego pt. „Zajeździmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca”. Dostałem ją w prezencie przedimieninowym, zażyczonym, z nimbem Nagrody Literackiej NIKE 2014, fundowanym przez środowisko ideowe autora.

Ani to literatura, ani bogini Nike ze skrzydłami. Ze względu na suchy język wywodów pewnie nie do przeczytania w całości przez większość nabywców. To *stricte* publicystyka polityczna, „poobijana” warsztatowo, osadzona w autorskim życiorysie działacza i bojownika anty-peerelowskiego. Nic więcej; ciekawa dla mnie na ostatnich czterdziestu stronach (na czterysta dwadzieścia) - traktujących o rozwarstwiających nasze społeczeństwo reformach kapitalistycznych po1989 roku - stronach pisanych najżywiej, z pionierskim temperamentem, na moje wyczucie wcześniej niż reszta książki.

Kusiłoby przysiąść i „zajeździć” tę pracę, zrecenzować jak Bóg przykazał w optyce pokolenia mego ojca, teścia... i własnej pamięci. W zgodzie z obrazami z przeszłości, kształtowanymi od dziecka przez Gomułkę i działaczy Marca’68: Michnika, Kuronia czy właśnie Modzelewskiego - opozycjonistów opiewanych w tonacjach patriotyczno-idealistycznych - a jakże - przez Radio Wolna Europa. Ale za frajer robić, gdzie sponsor?, nic to, przepraszam przeto.

Po trudnej lekturze książki wiem, że jej autor wielu swoich życiowych postaw i działań nie zrozumiał być może do końca. Kto śmie to podpowiedzieć tak znamienitej osobie, odznaczonej za życie Orderem Orła Białego. Karol Modzelewski, będąc z urodzenia Rosjaninem, pominął w książce temat Kościoła - kośćca narodowego Polaków bez względu na wiarę - a przecież pisał w niej o Polsce w Polsce. Będąc z pochodzenia Żydem, „komandosem” Marca’68, nie dostrzegł tematu emigracji Polaków-Żydów po 1968 roku, stanowiącej w jakiejś części pokłosie tych wydarzeń... Jako polski mediewista zastanawiał się dezawuująco nad sensem pojęcia „naród”...

Przez czterysta stron lektury nie mogłem opędzić się od myśli zasugerowania książce innego tytułu - *„Homo sovieticus*” - oznaczającego pierwotnie człowieka ukształtowanego przez „Krótki kurs historii WKP(b)” [Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)]. Niepotrzebnie, bo na ostatniej jej stronie autor, odwołujący się wcześniej

wielokrotnie do „Krótkiego kursu...”, przyznał, że tytuł jego książki - wzięty z wiersza Majakowskiego - „zajeździmy kobyłę historii” - świetnie oddaje bolszewicką filozofię dziejów.

Adam Michnik wyznał w jednym z wywiadów sprzed trzech lat, że „także jest coś takiego jak antykomunizm z bolszewicką twarzą”. W kontekście książki to więcej niż prawda.

Karol Modzelewski określił siebie finalnie jako rewolucjonistę. Chciał tak, więc niech tak ma. Zrobił dla polskiej wolności więcej niż dziesiątki innych w PRL. Tylko, że rewolucja to zawsze kraniec, to ideowa sieczka, obojętnie czy bolszewicka, czy narodowo-socjalistyczna. To bohaterowie i ofiary. Na szczęście nie muszę wybierać między nimi, bo w innym przypadku miałbym problem.

PS. Znalazłem wspomniany wiersz - „bolszewicką filozofię dziejów”. Włodzimierz Majakowski „Lewą marsz”: *„(marynarzom) /Rozwijajcie się w marszu! /W gadaniach robimy pauzę. /Ciszej tam, mówcy! /Dzisiaj /ma głos /towarzysz Mauzer (karabin - dop.). /Dosyć już żyliśmy w glorii /praw, które dał Adam i Ewa: /Zajeździmy kobyłę historii! - /Lewa! /Lewa! /Lewa! (...).* (1919 r., tłumaczył Antoni Słonimski). (13.11.2014)

Życzenia pięciu minut

Pięć minut. Mieć swoje pięć minut. To jasne; aktorka mówi pięknie publiczności, że czuje się spełniona, bo gra w teatrze, a swoje pięć minut już miała. A co z pięcioma minutami osób, wykonujących nieartystyczne zawody?

Chciałbym upowszechnić przesłanie, że każdy człowiek - bez względu na zajęcie - ma w życiu swoje pięć minut. Te pięć minut może przydarzyć się w młodości albo w wieku późniejszym. Niektórzy przeżywają swoje pięć minut dopiero na łożu śmierci. Potem, po śmierci, przypisane ludziom za zasługi pięć minut nie należy już do nich.

W pięć minut spełnia się życie. Trzeba o tym wiedzieć, by ustawicznie sięgać pamięcią do własnych dokonań, nawet jeśli nie pobłyskiwały one w szarudze rzeczy pospolitych, ...i czekać na następne. Ta wiedza to fundament, na którym wyrasta kościec optymizmu. To rusztowanie satysfakcji z życia także dla tych, których pięć minut zdaje się trwać wieki. W nieprzemijających pięciu minutach znajduje się zawsze prawdziwe i jedyne pięć minut.

Uświadomienie istnienia pięciu minut w życiu powinno wszystkich skłaniać do refleksji. O tę refleksję mi chodzi. Tej i innych refleksji wszem wobec życzę ustawicznie. (31.12.2014)

Ciekawostkowość „trolli”

Czy popełnienie grzechu pierworodnego ciążyć winno człowiekowi aż do śmierci? Wiem tylko, że tego właśnie grzechu nie popełniło wielu podłych i przez całe życie nikczemnych ludzi. Wielu moralnych karłów pławi się bezgrzesznie w cieple raju.

Dalekosiężne w złych skutkach, pierworodne odruchy wynikają z ogólnej nieświadomości materii, z wychowania, z niewiedzy o mocy mas i braku niucha. Bynajmniej nie z morale! Czasem za młodu zwyczajnie zabraknie czucia społecznego.

W takim że kontekście obserwowałem losy ludzi wartościowych, którym kiedyś przylepiła się łatka współpracownika SB. W takim że kontekście czytam teraz autorów zawodowców i amatorów pióra - pobrzmiewających tonami obcej propagandy. Okrzyknięto ich „trollami” - „zielonymi ludzikami” naszych łamów. Łudzę się, że są oni szczerzy w sądach. Niemniej jednak ta szczerość - a najczęściej zwykła zadziorność i przekora wobec jedynie słusznej, jednej jedynej prawdy głoszonej nam przez tuby medialne - łatwo wplątuje się w mechanizmy manipulacji politycznych. Marszałek Sejmu RP, zwracając uwagę na

działalność internetowych „trolli", powiedział parę dni temu: - Trzeba baczyć na słowa i nie dać się rozegrać przez rosyjską machinę medialną. Ta niewątpliwie zwiększyła działalność wobec Polski.

Świadomie lub nie, „trolle” przenoszą na różne fora internetowe punkt widzenia Rosji na sprawy świata. W związku z ciekawostkową odmiennością poglądów zyskują czytelników, którym brakuje w naszych telewizyjnych wiadomościach różnorodności opinii na tematy rosyjsko-ukraińskie. To zyskiwanie czytelników niezwykle mocno w ostatnim czasie zezłościło, zaniepokoiło polskie agencje tajne i jawne. Mało tego, jedno z pism („Tygodnik Powszechny” nr 7/2015, a może nie tylko on) podał nazwiska kilku „trolli” - i to w kontekście rosyjskiej piątej kolumny w Polsce. Takiej postawy - wypisz wymaluj kopii amerykańskiego makkartyzmu z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku - nie spodziewałbym się nigdy po „TP”. Obeszło mnie to, bo znam osobiście jedną z wymienionych osób.

Atak na „prokremlowskich”, „proputinowskich”, etc. internautów przybrał moc ułańskiego kopyta. „Gazeta Wyborcza” donosiła już przed rokiem, że *„w sieci pracuje dla Kremla armia anonimowych, dobrze opłacanych użytkowników”. „Za pośrednictwem różnych struktur władza uruchamia tę armię, która wrzuca treści prokremlowskie bądź trolluje strony i blogi oponentów władz. W Polsce pojawił się mały serwis z prokremlowskimi komentarzami. Pochwalił się też współpracą z fundacją „Russkij Mir". Jej oficjalną funkcją jest wspieranie kultury rosyjskiej i języka rosyjskiego. Wiadomo, że fundacja wspiera też media“.*

Summa summarum doszło do tego, że w interesie jakoby polskiej racji stanu „czujni” internauci rozpoczęli polowanie na „trolli”. Stali się tak agresywni, że ze trzy tygodnie temu Facebook regulaminowo zablokował „antytrollowy” profil „Rosyjska V kolumna w Polsce”.

W dziejach narodów nie ma czegoś takiego jak ustalony porządek rzeczy. Wiejące prądy bardzo łatwo zmieniają historię, aż dziw! Tak było z demokratycznymi przed Hitlerem Niemcami, z Włochami przed Mussolinim, z Hiszpanią przed Franco, ze stopniowo przecież odchodzącą od demokracji Polską po 1945 roku, że nie wspomnę o nieznanych, dalekich rejonach świata. Proszę „trolli” o wzięcie tego pod uwagę.

Gołym okiem widać, że światowa zimna wojna znów za progiem. Chciałoby się rzec - za porożami Dniepru... Podczas zimnych wojen granice wszystkiego wytycza się jasno: to wolno, a tego nie wolno. Szkoda życia na młodzieńcze grzechy główne. Tak jak mam w oczach upublicznioną kiedyś w RP listę współpracowników SB, piętnującą często niesłusznie ludzi, tak - o zgrozo - dostrzegam możliwość upublicznienia listy „Rosyjskiej V kolumny w Polsce” Bogu ducha winnych, bo tylko przekornych „trolli”. Dmucham na zimne. (12.03.2015)

Prawda sorga

Czerwone sorgo pachnie stęchłym oddechem, potem, moczem, krwią, trupim jadem, wódką. Nie daj Boże wąchać placek z mąki tego zboża. Ekskrementy i uczucia. Życie. Czasem szczęście.

Piękne sorgo, bo osadzone w naturze człowieka, na próżno poskramianej od tysiącleci przez wielkie filozofie. Krzyczę za Mo Yanem, laureatem literackiego Nobla z 2012 roku: oto życie, oto nasze człowieczeństwo, po przeczytaniu jego „Klanu czerwonego sorga” z 1986 roku (po polsku dopiero od 2013 roku). Godne laurów pisarstwo.

Tysiące wymordowanych ludzi przez ludzi albo zagryzionych przez psy. Ciała wypatroszone z wnętrzności... Rzezie wpisane w naturę. W tej perspektywie małe wojenki, okrzyki, buńczuczne hasła, zdrady i pyszne „my” albo „ja” zwyczajnie śmieszą. Przypominają, że wielcy decydenci świata na wysokości taksują emocje.

Rozdział za rozdziałem. Pewnie dałoby się zapisać to, co chce Mo Yan, ciut krócej. Pewnie, że to nie nasza melodia zdań, inny rytm języka w męczącym tłumaczeniu z chińskiego. Ale warte to było coś dla mnie, cofniętego czytelniczo.

Zaraz po przeczytaniu książki ściągnąłem z Sieci film „Czerwone sorgo", nakręcony w ChRL na podstawie dzieła Mo Yana, nagrodzony Złotym Niedźwiedziem na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie w 1988 roku. W Berlinie Zachodnim, z Murem... Jak dobrze, że Internet czyni nas niezależnymi od medialnych dystrybutorów. Cóż więcej o filmie? Nagrodzone kadry z sorgiem, a w pamięci jednak Mur. Czy był Mur czy go nie było - oto to - niewiele znaczy w przestrzeni doświadczeń pokoleń. Dla młodzieży on nieważny. Paradoksalnie ograniczenie pola widzenia młodych do tego, co wokół nich i przed nimi, daje wizję świata klarowną i prawdziwą, zbieżną z wypadkową wszystkich prawd świata. To ta sama prawda, którą głoszą filozofie, przecież nicujące byty do samego dna. To ta sama prawda o ludziach od zarania dziejów. Niezmienna i aktualna pewnie też w przyszłości. Prawda, na którą składają się jedynie ekskrementy i uczucia. Nie daj Boże wąchać nieskończenie placek z mąki tego zboża. (1.05.2015)

Piękno pamięci

Piękno na trasie moich spacerów. I kiedy dochodzę do miejsca, gdzie przy drucianej siatce, oddzielającej spacerowiczów od śmierci, tkwi od lat kartka papieru, której nikt nie niszczy, przystaję w satysfakcjonującej zadumie. W dole, w dwudziestokilkumetrowej przepaści, uroki krajobrazowe: wapienne ostrza Skałek Twardowskiego i trzydziestodwumetrowa toń krakowskiego zalewu na Zakrzówku.

Kiedy przystaję, chcę tylko jednego - przypominać spisane słowa, zdania, tezy... O pamięci. O niebie wspomnień. Szukam nieba i znajduję:

„Wiele osób odczuwa potrzebę zapisania się w pamięci, chce zachować o sobie pamięć. Nie trzeba być wcale osobą wyjątkową jak (za przeproszeniem) Kopernik (czy) albo Einstein... Aby zapisać się w pamięci, trzeba jednak umieć zapisać się w pamięci. Nie łudźmy się, że jest inaczej. Ludzie umierają naprawdę, jeśli ginie wiedza na temat ich mniejszych czy większych dokonań, słabostek, pragnień, nastrojów... Dawniej pamięć uciekała z powodu braku miejsca na jej przechowywanie. Dziś sieć elektroniczna to niebo dla wspomnień. O znalezieniu się w tym niebie decydujemy my sami..., utrwalając wspomnienia. Trafia do nieba wspomnień każdy, jeśli zechce, i tak, jak zechce. Po to, by inni nie zapomnieli, by innym dać szansę pamiętać.

Komputer staje się jedynym medium w domach, wypiera inne media. Na jednym ekranie możemy mieć wszystko, biblioteki z książkami o Koperniku i Einsteinie, ale też własną cząstkę sieci, zaprojektowaną wedle własnych życzeń, do wyświetlenia na wszystkich ekranach świata. Wpisujemy w komputerze swój adres... i żyjemy wiecznie. W niebie. Każdy zawsze może zajrzeć do tego nieba". Tak pisałem na swojej stronie internetowej, polecając „usługi dziennikarskie".

Kartka papieru na drucianej siatce, niewzruszenie zafoliowana - niczym pomnik z najtwardszej skały, niczym owad w bursztynie - daje szansę pamiętać. Wystarczy zajrzeć do niebiańskiej sieci, dowiedzieć się w internetowym niebie o kim ona i czyj to ślad na Ziemi. Oraz co się stało tu... przed prawie dokładnie dziesięcioma laty. Bez tego zapisu - nic, czarna niema pustka. Lecz też bez wysiłku rozumu przystającego przechodnia, bez zainteresowania kartką, jedynie bladłyby na niej rocznicowe litery.

Te litery o niespełna dwudziestoletnim talencie śpiewaczym, ukraińsko-polskim Jewgieniju Jacence, popisującym się przed ojcem jazdą na rowerze, który spadł tu na jego oczach w dwudziestometrową przepaść, w Dniu Matki. (14.05.2015)

„Dobra zmiana”..., „Damy radę”...

W przedwczorajszych wyborach parlamentarnych oddałem głos za tym, by potrzeby człowieka były ważniejsze niż wzory ekonomii (wartości i idee humanistyczne ważniejsze niż pieniądz i zysk) - w Polsce bez fobii. Wybrana przeze mnie Zjednoczona Lewica nie znalazła się w Sejmie. Mam się martwić? Czuję się w porządku. Nie sprzedałem się megafobicznemu PiS-owi za obietnicę emerytury w wieku 65 lat, choć obchodzi mnie ta sprawa osobiście najbardziej. Teraz - w przewidywanej „IV RP” - poczekam na wypłatę z ZUS-u krócej, już nie okradziony przez reformę emerytalną PO ze znaczącej dla mnie sumy złotych.

W moim około tysiącosobowym okręgu wyborczym, raczej „sytym”, z lokalem wyborczym w szkole, odnotowałem: PO - 31,0 proc., PiS - 22,8, Nowoczesna Ryszarda Petru - 21,6, ZL - 7,2, partia Korwin - 6,9, Partia Razem - 5,1, ruch Kukiz'15 - 4,5, PSL - 0,7. A więc to inna Polska niż Polska. W sąsiednim okręgu, chyba mniej „sytym”, z lokalem w tej samej szkole, wyniki trochę bliższe ogólnopolskim: PiS - 34,8 proc., PO - 29,1, Nowoczesna Ryszarda Petru - 11,8, ruch Kukiz'15 - 6,1, partia Korwin - 5,9, ZL - 5,6, Partia Razem - 5,1, PSL - 1,5.

W sumie nie powinienem obawiać się w okolicy patroli zideologizowanych hunwejbinów.

Dla pamięci w Polsce: frekwencja - 50,92 proc., PiS - 37,58 proc. głosów i 235 mandatów w Sejmie (z hasłami: „Dobra zmiana”, „Damy radę”), PO - 24,09 proc., 138 mandatów, ruch Kukiz'15 - 8,81 proc., 42 mandaty, Nowoczesna Ryszarda Petru - 7,60 proc., 28 mandatów, Zjednoczona Lewica (SLD, Partia Palikota, etc. - jako koalicja z progiem wyborczym 8 proc.) - 7,55 proc., 0 mandatów, PSL - 5,13 proc., 16 mandatów oraz partia Korwin - 4,76 proc. i Partia Razem - 3,62 proc. - po 0 mandatów. Jeden mandat w Sejmie przypadnie mniejszości niemieckiej.

W Senacie: PiS - 61 senatorów, Platforma Obywatelska - 34, PSL - 1. Cztery miejsca przypadły politykom, startującym z własnych komitetów. (27.10.2015)

Prawidła

Co ja mogę zrobić, by lata, które przeżyłem i w drobnej mierze też kształtowałem, zostały zapisane na kartach historii w sposób prawdziwy?

Nic?

Od kiedy to kronikarze zapisują dzieje, świadomie lub nieświadomie wplątując w nie własne sympatie, nie można zrobić nic dla prawdy. Pamiętam jeszcze ze szkoły podstawowej naukę, że nasz pierwszy Gall Anonim spisywał dzieje pod wizję polityczną Bolesława Krzywoustego, a przestał pisać, kiedy książę podpadł mu, karząc za coś opiekunów kronikarza.

Mówi się, że każde pokolenie ma swoją historię. A co wtedy, gdy jedno pokolenie ma dwie historie?

Ci, którym się za to płaci, niech walczą piórem i kamerą aż do trzewi. Ich trud pozostanie w archiwach dla kolejnych pokoleń badaczy. Jeśli chodzi o mnie... Cóż, będę wyłuskiwał hasła. Z grubsza - bez zabierających czas stylistycznych cyzelowań - wskazywał, co mi się nie podoba. Zobaczymy, ile nazbiera się mi błędów i kłamstw dziejowych w 2016 roku? Winien jestem to sobie i wnukom. Może się im „Prawidła A-Ż” kiedyś przydadzą. (2.01.2016)

Prawidła A-Ż (1)

P JAK PAZNOKCIE. Czas jest względny, wiadomo. Normalnie paznokcie rosną mi dzień po dniu, po tygodniach dwóch, trzech... Dostrzegłem, że kiedy byłem ostatnio mocno zaabsorbowany pewną sprawą, paznokcie urosły mi jak szpony w jednej chwili.

(9.I.2016). F JAK FOTEL. O moim fotelu traktuje porzekadło: punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Ideolodzy, politycy, wszelkiej maści popularyzatorzy populizmu głoszą i narzucają tezę o wyższości interesu grup społecznych, narodów, państw nad życiem jednostki. Filozofowie moralności, pisarze, reporterzy (sic! na fotelu) stawiają życie człowieka ponad wszystko. W tym kontekście rysuje się też prawdziwie pojęcie patriotyzmu - jako ideologii społecznej i politycznej, którą wynieśli w niebo ideolodzy i politycy - choć świadomość przynależności państwowej, nawet narodowej, to rzecz młoda, oboczna i chrześcijańsko. Przewodnicy mas muszą mieć cel i narzędzia ideowe, by istnieć. Programowa siła przebicia ideologów i polityków zawsze była gnębiąco większa od oddziaływania jednostek, ceniących pojedyncze ludzkie życie bardziej niż ludzkie struktury bytowe.

J JAK JAD. Ludzi złych, z jadem, chciałoby się kopać po jajach, by zabolała ich własna głupota. Historyczni bandyci z lubelskiego Instytutu Pamięci Narodowej zorganizowali wystawę o historii Ludowego Wojska Polskiego pod tytułem „Polska Armia Stalina". Ot, to jest dopiero obrażanie pamięci narodowej!, fekalia na polskich prochach i krwi. Żołnierzy gen. Andersa trzeba by tytułować „Polską Armią Stalina i Churchilla".

(18.I.2016). W JAK WYKLĘCI.

Ci wyklęci, zbiry, przez sąsiadów
Przeklęci
Wyklęty stryj z zaświatów zabity mówi
Bez wyjścia, szurnięci
Pani jedna od pamięci narodowej
Że święci

Zrymowałem. Bo byli tacy i tacy. Stawianie pomników kilku tysiącom „żołnierzy wyklętych" to deprecjacja wysiłku i postawy milionów Polaków, którzy z mozołem odgruzowywali Polskę. Wyklęci siedzieli po lasach z różnych powodów oczywiście - i bez poparcia społecznego. Czekali Andersa na białym koniu jakże często. Naród chciał pokoju ponad wszystko nawet za cenę sowieckiej okupacji czy kurateli. Wyklęci chcieli nowej wojny.

C JAK CHEERLEADERKI. Byłem na inauguracji ME w piłce ręcznej w Kraków-Arenie i myślałem o cheerleaderkach. Nawet nie przypuszczałem, że podobne moim myśli przyszły do głowy piłkarzom ręcznym ze Szwecji, o czym doniosła prasa. Że tego typu występy cheerleaderek - z plątającymi się obok zawodnikami - uwłaczają dziewczynom. Nie podoba mi się tępe przenoszenie gustów z futbolu amerykańskiego. A przecież można dać szansę młodym, uzdolnionym akrobatycznie i tanecznie paniom, na występy samodzielne. Wyszedł zgred ze mnie...

(20.I.2016). D JAK DŁOŃ. Na co dzień nie wiemy, bo brak nam doświadczeń, albo zapominamy, bo pamięć krótka, że dotyk dłoni osoby bliskiej, najlepiej najbliższej, wtedy

kiedy umieramy, przed i po ważnej operacji, w trudnych momentach, ma wartość boskiej ambrozji. Warto postarać się dla siebie samego, by tej dłoni nie zabrakło w ważnej chwili.

C JAK CHRZEST. I po co się niektórzy politycy tak wykrzywiają na Niemcy?...

Wzrosła aktywność Kościoła przed 1050. rocznicą chrztu Mieszka I. Do jakiego towarzystwa przyłączył plemiona Polan ten książę - z Piastów?, a może - co poniektórzy badacze sugerują - pochodzący z Wikingów? Z pewnością Mieszko wiedział (co prawda nie z Sieci i nie z tajnych archiwów Watykanu...), co się wtedy działo w Rzymie. Że papieże jemu współcześni z lat 955 - 974: Jan XII, Leon VIII, Benedykt V, Jan XIII, Benedykt VI, antypapież Bonifacy VII (aż tylu ich) walczyli ze sobą zbrojnie, otruwali się, mordowali, kradli, tłumili powstania ludu, a jeden z nich został zabity przez męża swej kochanki, gdy ten przyłapał gacha na gorącym uczynku.

Cesarz niemiecki Otton I, Święty Cesarz Rzymski, musiał w tej sytuacji osobiście najechać Rzym zbrojnie w 964 r., wziąć go głodem i ustanowić swój porządek na Stolicy Piotrowej.

To nie Stolicy Piotrowej zawdzięcza swój kościec powstania Polska, ale cesarzowi niemieckiemu. Niemcy dały światu Polskę! I co z tym faktem począć teraz? Czy dałoby się tę tezę poprzeć doktoratem czy pracą habilitacyjną?... Niemieckie wsparcie dało nam też Jana Pawła II... Tyle. I po co się niektórzy politycy tak wykrzywiają na Niemcy?...

(25.I.2016). S JAK SPOŁECZNICY. Mizantropom, sobkom, egoistom, zdeklarowanym indywidualistom donoszę ku pokrzepieniu serc, że wiele osób znanych i podziwianych przez społeczeństwa czy narody za pomoc potrzebującym itp. pracuje dla innych, bo inaczej nie może. Bo inaczej nie umie żyć. Nie umie żyć samemu ze sobą jedynie. Chwała społecznikom za życie dla innych - i O.K. Chwała indywidualistom za życie dla siebie - i O.K. Jedni są tacy, drudzy tacy. Nie powód to, by jedni czy drudzy czuli się gorszymi lub lepszymi ludźmi.

(6.II.2016). P JAK PRZEMIANA. Ludzie nie zmieniają się. Co roku są starsi, doświadczają, smakują albo przeklinają życie, ale nie zmieniają się. Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci - mówi mądrość przodków. Tę prawdę zapisują też bajki i przypowieści greckie sprzed dwudziestu kilku wieków.

Wiem jedno i osobiście zaświadczam, że jeśli u kogoś wytworzyły się w młodości geny obronnego wycofania, zewnętrznej percepcji świata, sarkazmu, ironii, wielowarstwowych, niejednoznacznych ocen moralnych, to będą mu one towarzyszyć do śmierci. Psychologiczne „rekonstrukcje" ludzi dają pozory przemiany. To tak jakby człowieka ubrać w pelerynę... - będzie to nadal człowiek, tyle że w pelerynie.

Czemu tu o tym? Bo zajęła mnie sprawa pewnej publicznej osoby, pana o kilka lat starszego ode mnie, w młodości hedonisty, a dziś przedstawiciela „katolickiego ducha narodu". Ten pan wpierw wplatał kwiaty do włosów i wąchał tri, szukając w PRL przestrzeni dla wolności i praw jednostki, by osiągnąć na koniec w szeregach PiS kwalifikacje trybuna narodowej inkwizycji.

U komentatorów zauważam brak zrozumienia. Padają pytania, jak i czy możliwa jest taka dogłębna przemiana człowieka? Przywołuje się porównanie do św. Augustyna. Ponoć zdarzają się wyjątki, takie jak św. Augustyn w IV wieku, do którego został przyrównany w mediach ten pan polityk: w młodości birbant, niecnota, a na starość święty.

Twierdzę, że w przypadku świętych i w przypadku innych pań i panów nie ma żadnej przemiany. W każdej swojej postaci sięgają po te same genetyczne odruchy, bo inaczej się nie da. Tyle że te odruchy realizują w innej strefie odniesień. Ten pan polityk - jako przykład dla tematu, bo nie interesuje mnie on osobiście - działa i zachowuje się tak samo jak zawsze: z

sarkazmem, ironią, obronnym wycofaniem. Tylko że jego odruchy odbywają się - powtarzam - w innej materialnej przestrzeni. Wyświęcone albo i nie osobowości odczuwają te same i tak samo duchowe bóle i rozkosze czy to pod ścianą dobra czy to pod ścianą zła.

Przeobrażenia człowieka to kwestia kontekstu, przestrzeni, w jakiej objawiają się. To kwestia kąta widzenia. Robaki na zdechłym ciele psa, porzuconego w lesie, wywołują odruch wstrętu z punktu widzenia miary estetyka. Ale jeśli spojrzeć na te robaki z punktu widzenia ekologii, równowagi oraz zdrowia w przyrodzie - tylko przyklasnąć ich istnieniu. Pewni obrzydliwi ludzie czyszczą co jakiś czas kościec społeczny ze śmierdzącej padliny.

(13.II.2016). R JAK ROZUMIENIE. Tylko garstka ludzi rozumie, co stało się na Ziemi 14 września 2015 roku, w poniedziałek (nie podano godziny). Oto grupka światowych fizyków - w tym Polacy - zarejestrowała falę grawitacyjną - tzw. „zmarszczkę czasoprzestrzeni" Einsteina - przemierzającą Wszechświat od 1,3 mld lat z prędkością światła. Fala powstała po zderzeniu się dwóch „czarnych dziur" gdzieś tam wtedy w kosmosie. Ta obserwacja, o której poinformowano dopiero po pięciu miesiącach, możliwość jej przeprowadzenia, to ogromne wydarzenie dla ludzkiej cywilizacji. Przyznam, że choć czytałem sporo o grawitacji, uczyłem się fizyki też na studiach (mniejsza o rezultaty), nie zaliczam się do garstki ludzi rozumiejących. I irytuje mnie to. Zresztą czy można definiować fale grawitacyjne, nie mając póki co pojęcia o istocie „czarnej materii", z której zbudowany jest ponoć w większości Wszechświat? A może dostrzeżenie „zmarszczki" jest konsekwencją odkrycia w 2012 roku w Wielkim Zderzaczu Hadronów na przedmieściach Genewy „boskiej" cząstki elementarnej, tzw. bozonu Higgsa?

W ten wrześniowy poniedziałek 2015 roku wszystko się ponoć na niewiarygodnie małą chwilę skurczyło i rozkurczyło: cała Ziemia, my i mój świat na Ziemi. Patrząc w zapiski kalendarzowe, mogę tylko powiedzieć, że skurczył się wtedy dzień cieplutki, szesnastostopniowy w zależności od regionu Polski. Skurczył i rozkurczył masażysta przy moim kręgosłupie i telewizor z przełomowym odcinkiem telenoweli tureckiej „Wspaniałe stulecie", w którym to - na rozkaz sułtana Sulejmana Wspaniałego - kaci udusili jego najwierniejszego przyjaciela, wielkiego wezyra Ibrahima Paszę - wielkiego wroga sułtanki Hürrem... Dobrze, że choć telenowelę - po rozkurczeniu - zrozumiałem w „zmarszczce czasoprzestrzeni", bo ponoć niektórzy nie pojęli i jej.

Ś JAK ŚWIADOMOŚĆ. Zapomnieliśmy o filozofach; ich przesłania o ogrodach nie docierają z codzienną chmurą gradową mediów. W kościołach jedno - a szkoda - teologiczne kopyto. Za odrzuconą mądrością *Varietas delectat* (różnorodność bawi, rozwija, smakuje...), wyziera więc zewsząd zasklepiona płaskość horyzontalna. Za „komuny" było ciekawiej z wpychanym szorstko marksizmem.

Niejedni przejechali się na nieświadomości rzeczy. Ot, pierwsze z brzegu, że Bóg jest miłością. Wystukuje się coś takiego, rzuca w tłum..., a potem kopie, pluje, oskarża. Od wieków. A czemuż to tak? Bo podświadomość niezmiennie podpowiada, że pierwsi bogowie niekoniecznie kochali ludzi.

Najtrudniej zmienić ludzką świadomość. Doświadczyli tego komuniści, trudząc się..., dając bezrolnym chłopom ziemię, wszystkim darmową opiekę lekarską i darmowe szkoły, pracę dla każdego, byle tylko ludzie pokochali ten komunizm. I nic. Świadomości nie zmienili, bo choć dawali, nie było papu.

Wydaje się, że współcześni moderatorzy IV RP - przecież kształceni w epoce marksizmu - zapamiętali z Marksa, że byt (czyli papu) kształtuje świadomość. Że jak da się papu, to można wmówić ludziom każdą bzdurę. Ale uwaga, papu trzeba dawać i dawać, długo i jak najdłużej. Nie wolno przerywać..., bo świadomość zmienia się wolno, nie nadąża za papu. Wszelkiej maści dziejowi rewolucjoniści przejechali się na przerwach w dawaniu.

Chcieli coś, obiecywali, robili, dawali papu, ale kiedy zabrakło, nie poradzili sobie z ludzką świadomością. I...?

Ostatecznie sięga się po terror. Uwaga, brzydkie słowo - terror. Dziś? A czemuż by nie. Moderatorzy IV RP mogą wyciągnąć z demokratycznej Polski przedwojennej przykład Berezy Kartuskiej. Kiedyś więzieni tam byli politycy formatu Wincentego Witosa, dziś też znajdą się kandydaci na osadzonych... w imię Boga, Honoru i Ojczyzny.

O JAK OBRAZEK. Kilkanaście lat temu trafił mi się w prezencie obrazek panienki w stroju toples. Niespecjalnie w moim guście, w końcu miałem już wtedy swoje lata. Czas uciekał, w końcu przestałem ją zauważać. Aż do dziś. Stwierdziłem, że mnie to już w ogóle nie wypada wywieszać coś takiego... - i odwróciłem panienkę tym i owym do ściany.

S JAK STAN. Myśli nieużywane rdzewieją. Rdza wżera się w myśli i myśli stają się rdzawe.

Pewien sędziwy, godny szacunku, jurny kapłan ogłosił akurat, że młodość to stan ducha. Niby nic nowego. Ale od doświadczonego człowieka, czującego się młodo, wolałbym usłyszeć, że młodość to też stan ducha. Bez tego „też" każde wyznanie osobistej radości infantylnieje.

Powiem, że starość to stan ducha. To brzmi pełnią i bez „też". Stary duch w młodym ciele: refleksyjność, wygodnictwo, przewidywalność, stateczność - to coś mniej wartościowego niż drzazgi młodości w dupie? Na starość te drzazgi wchodzą w myśli i myśli z drzazgami ranią jak aforyzmy.

D JAK DUSZA. Usta milczą, dusza śpiewa w operetce Lehara. Wcale nie pusta lekkość bytu w powieści Kundery. Ależ wokół radości. Kiedyś szczury zagryzały tzw. komunistów, teraz siebie. Szczury zagryzają szczury.

Oto dylemat szczurzy; „idź pod prąd": *Pierwszą spektakularną manifestacją poparcia Andrzeja Dudy dla niszczącego Polskę środowiska lewackiego było przekazanie nart na aukcję Jerzego Owsiaka. (...) Teraz do tego ciągu dokłada się i ta nominacja do KRRiT (dop. Andrzeja Sabatowskiego). Dziennikarz Witold Gadowski na twitterze zwrócił uwagę na przeszłość nowego członka Rady. Sabatowski zaczynał swoją karierę w komunistycznym czasopiśmie „Życie Literackie"). Gdzie więc PRL ma najsilniejsze wsparcie w nowym obozie DOBREJ ZMIANY? Odpowiedź jest niestety porażająca.*

A „znawca problematyki działania tajnych służb" (to cyt. z Wikipedii) Gadowski na swoim blogu: *Muszę przypomnieć kilka faktów, które pan Sabatowski skrupulatnie w swoim życiorysie ukrywa. (...) Tak więc zaczynał jako wierny podwładny ubeka Władysława Machejka w „Życiu Literackim"(...). I nagle takiego człowieka prezydent Andrzej Duda powołuje w skład KRRiTV (dop. 13 września br.)! Dlaczego? Nie chciałbym, aby wyjaśnieniem tego faktu były jedynie „Pamiętniki z wakacji", kiedy to państwo Sabatowscy spędzali wspólne wakacje w Toskanii wraz z prezydentem Dudą i jego rodziną.*

W szczurzej świadomości „Życie Literackie" to komuna i ubectwo. Tej świadomości nie sposób tknąć, bo potem ręce śmierdzą długo. Jako figurujący z dumą w stopce tego tygodnika ponad ćwierć wieku temu - pisma ze znaczącym dorobkiem w polskiej kulturze - dostrzegam tylko, że „ubek Władysław Machejek" przenosił jedynie do PRL swoje doświadczenia z II RP, zobrazowane dobrze i wielopoziomowo w „Karierze Nikodema Dyzmy".

Dusza śpiewa, żerowisko żeruje. Szczur szczura chwyta za gardło. A że..., to tylko mój pusty śmiech, tra-la-la, usta milczą dusza śpiewa, więc może o tym kiedy indziej.

(22.12.2016). MB JAK MĄDROŚĆ BOSKA. Z moich „Podróży do czyśćca” *in spe*:

„Matylda B. siedzi na górze. Przeciąg przewiewa uszy, zanosząc do nosa smród życia. Matylda wierci się. Smród przeszkadza. Mogłaby siąść jeszcze wyżej, ale czeka. Z tej wysokości widzi ludzi maluczkich. Wszakże widzi.

Jakieś manifestacje. Idą z lewa na prawo i z prawa na lewo. Okrzyki, transparenty z ideami prawa, rewolucji, honoru. Ludzie czynią. Taki czyn Leonidasa pod Termopilami - bohaterstwo li to czy głupota? A ten Sienkiewiczowski Wołodyjowski, wysadzający się w powietrze, powojenni „żołnierze wyklęci”, współcześni politycy, kultywujący ortodoksję - to idioci czy nie? Duch - temat jedynie na rozprawkę. Czy państwo z duchem? A może mogą istnieć szczęśliwe państwa bez duchów ofiar? Matylda wie.

Jeden na drugiego wrzeszczy, ktoś kogoś kopie za mądrość albo za głupotę. Niektórzy mądrzy stają po stronie głupich. A niektórzy głupi po stronie mądrych. Matyldzie wtedy jest ich żal. Bo, kiedy unosi się wyżej ludzkiego smrodu, oni i wszystko przestaje być ważne. Nie ma dobra i zła, prawdy i fałszu, zdrad i idealizmu. Jak fal nacierających na ląd i cofających się, jak wielkich przypływów i odpływów historii. Z kosmosu Matylda widzi jedynie ostre kanty, wyraźne krańce. Tu jest ląd, a tu ocean. Bez kipiących fal, bez ducha.

A kiedy usiądzie już na swoim najwyższym tronie, to nie widzi nawet tego. Rozpoznaje tylko dwie postacie materii: życie i śmierć”.

Prawidła A-Ż (2)

(20.I.2017). W JAK WIĘKSZOŚĆ. Jak zdeklarowany tu relatywista, czyli taki względniś-względnista, dla którego względne jest wszystko: prawo, wartości, dogmaty religijne, historia, kultura, etc., nie powinienem się zbytnio przejmować konstruowaną właśnie, będącą się konstytuować niebawem IV RP. Niemniej jednak co innego samemu intelektualnie relatywizować świat, a co innego znosić prymitywny relatywizm innych... Oj, jakaż to różnica. Że uff! Relatywizm ideowy rozwija i cieszy rozum. Relatywizm praktyczny natomiast, realizowany w rzeczywistym życiu społecznym, gdzie bitew ludzkich co niemiara, prowadzi wprost do ofiar... Wie o tym każdy generał. Wie o tym też marszałek naszej partii rządzącej i kraju, w związku z czym nie przenosi on relatywizmu ze szczytów władzy w dół. Dla ludzi prawo ma znaczyć prawo - i tyle. O co mu chodzi? - pisałem zawczasu, więc nie będę się powtarzał.

Jako człek ironizujący spoglądam nie bez gorzkiej przekory na wielopokoleniowe już grupy społeczne, które czuły się esencją narodu i narodową większością. Do tego miały nawet czelność przywoływać na swoją „platformę” światopoglądową wszystkich obywateli. Dziś te warstwy zostały wepchnięte do worka z mniejszością. Swego czasu spały one na styropianach, dostawały razy pałkami ZOMO, biegały każdej niedzieli do kościoła i spowiedzi - a tu masz babo placek. Drugi sort! - Jak to? - pada pytanie. - To już nie my reprezentujemy większość narodu? - W świadomości nie da się zaakceptować takiej degrengolady z dnia na dzień.

Podśmiechuję się, bo z powodów osobniczych sam należałem od zawsze do mniejszości. Od szkoły, przez studia, pracę itd. Z flagą na 1 maja i bez flagi na przyjazd papieża. Wiem, z czym to się je. Jak to jest, gdy nie spełnia się nacjonalistycznej „normy”, określającej Polaka. Tego szowinistycznego Polaka-katolika z „Bogiem, Honorem i Ojczyzną”. Więc kochani drugosortowcy, polubcie i wy zapach swego worka.

Wielu ludziom zaczęło się żyć lepiej, poczuli się oni zdaje się dowartościowani socjalnie i moralnie ze swoimi ułomnościami. To dobro ma dla mnie większą wartość niż piękne duchowo - czyli „pięknoduszne” - koncepcje demokracji, Europy, wolności, etc. Sublimacje są względne, ideowo relatywne, a szare życie człowieka w jego odczuciu - nie. Patrzę z lewa - jak reporter, dla którego los pojedynczego człowieka powinien znaczyć

najwięcej. Durnych mas nie wyśmiewam od bolszewików, jak czynią to alienujące się elity. Śmieją się, a durne masy nie mają pojęcia, o co elitom chodzi tym razem. Przecież bolszewicy czytali „Iskrę”, a nie „Gościa Niedzielnego”. Wie o tym najlepiej Karol Modzelewski, który w powyższej sprawie mignął mi w TV, twórca nazwy ruchu „Solidarność”.

Polskie zmiany znajdują się w cieniu zmian w USA pod zaprzysiężonym właśnie nowym prezydentem Donaldem Trumpem. Niby strach się bać jego antyglobalistycznych deklaracji: Ameryka dla Ameryki! Amerykańskie elity biją na alarm... Zawiał wiatr historii, korzystny moim zdaniem dla polskiego szowinizmu: Polska dla Polski! Polskie elity biją na alarm... Cóż, PiS-owska większość zatriumfuje z nową Konstytucją IV RP. Zauważam tylko cierpko, że „większość” - z rosyjskiego „большинство” - to źródłosłów bolszewizmu.

(27.04.2017). P JAK POCIESZENIE. Mógłbym, czemu nie, puszczać jakieś bohomazy do Sieci jak moi znajomi, lecz wzdrygam się. Chcę zachować choćby i ciut twarzy. Nie piszę, bo nie mam nic do napisania. Noszę w pamięci studenckiej kolegę D., czy żyjesz jeszcze Wacek?, który pewnie sika dziś na Sieć, tak jak kiedyś darł kartki z wypocinami zbyt płodnych autorów.

Wtedy pisałem ręcznie, długopisem na papierze. A teraz... Nie umiem pisać ręcznie. Próbowałem. Coś okropnego, nie umiem zręcznie ręcznie. Ale umiem za to puszczać tweety, bliki i inne pantałyki.

Zauważam też w swoje urodziny, że mam ptasi móżdżek, nie ogarniam pogmatwanych płaszczyzn. To niekoniecznie kwestia siły wieku, przed laty też miałem problem z wyobraźnią... na zajęciach z budowy maszyn. Głupi wtedy nie byłem, maszyn nie budowałem. Głupi jestem teraz, ot przykład.

Choremu znajomemu poecie Józefowi Baranowi postnąłem tak: „Tam i tu ta sama poezja i wiedza o Wszechrzeczy”. Od kilku dni zastanawiam się, o co mi chodziło w tym wpisie. Wiem tylko, że przez wiele dni, poprzedzających wpis, chodziłem z głową zaprzątniętą pytaniem: co dzieje się wtedy, gdy ludzie budzą się po tamtej stronie życia - wiecznego - i nie wiedzą wciąż, czy Bóg jest. Ależ to straszne, być w Niebie lub Piekle i dalej nie mieć pojęcia, czy jest Bóg...

Chyba chciałem pocieszyć znajomego starszego poetę. Że wtedy jedyny ratunek w poezji. W literaturze. W muzyce. Generalnie w myśleniu i odczuwaniu. Oto *condicio sine qua non*. Jeśli to wszystko: myślenie i odczuwanie istnieje po tamtej stronie, to jest i Bóg.

A jak w takim razie pocieszyć siebie, opowiadającego się po jedynej przecież stronie? W stylu kolegi Wacka z dawnych lat - w młode wszak jeszcze urodziny drę wypociny twórcze współczesnych gryzipiórków, i te z prasy, i te z porażającej większości książek... Jakaż to marność, miernota, beztalencie pokoleniowe! Prawda, Wacek? Dno artystyczne w porównaniu z naszymi czasami. Mara, przepadnie, nie to, co nasze. I fajnie mi, pocieszonemu. I tak sobie.

K JAK KŁAMSTWO. Z moich „Podróży do czyśćca”, wiadomo, że *in spe*:

„Żyjemy w chmurze kłamstw. Rodzice okłamują dzieci, by dać im poczucie wartości, tę zbroję bezpieczeństwa. Kłamiąc, przechwalamy się dokonaniami. Okłamujemy fantasmagoriami też siebie. Z kłamstwem żyjemy na co dzień: „Pięknie pani wygląda”, „100 procent zniżki”, „Z tym przeżyje pan dziesięć lat”, „Polityka komunistów i złodziei”, „Módl się”, „Kocham”.

Jakoś nie chcemy być okłamywani, poddani obyczajowi. Ale jesteśmy. Sami okłamujemy. Deklarujemy szacunek dla prawdy i równocześnie kłamiemy. Kłamiemy, że nie można budować wartości na kłamstwie. Można, czujemy, przecież udaje się budować szczęście na kłamstwie.

Kłamstwo wpisane jest w genotyp człowieka. Stanowi element kośćca ludzkości. Zarówno kłamstwo indywidualne, służące indywidualnym korzyściom, jak i służące korzyściom zbiorowym kłamstwo społeczności i narodów, ujawniające się przy obrazowaniu faktów i dziejów. Kłamstwo w swej istocie - kłamstwo jako pojęcie i idea - wpisuje się w imperatywy człowieka.

Pytam, ku jakim odnośnikom i wyróżnikom etyki kierować kłamstwo i czym ono jest? Czy niecnotą, czy dobrem? Drańtstwem? W drogowskazach moralnych świata nie za wiele poświęcono mu celebracji. Znani filozofowie nie zajmowali się tym specjalnie, a ks. filozof Józef Tischner osadził temat na *gównoprawdzie*. W Dekalogu nakaz niemówienia fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu ma wektor ciążenia ku prawdzie wbity uznaniowo i wybiórczo. Bo kto niby ma osądzać, co jest fałszem, a co nie? Co fałszywym świadectwem, a co obmową, oszustwem czy hipokryzją? Jeśliby wspomnieć tu o grzechach, które zaczerpnąć można z pism nowotestamentowych i apostolskich. Zakładam, że filozofie Azji osądzają podobnie.

Kłamstwo nie jest grzechem ciężkim. Św. Augustyn wyobraził sobie drabinkę kłamstw... do nieba i posegregował kłamstwa na mniej i bardziej grzeszne. Według niego najgrzeszniejsze jest przeciw prawdom wiary. No, proszę. Prawdom...? Diablikom skrzą oczka. W każdym razie wyrządzając kłamstwem krzywdę jednej osobie, nie pomagając poprzez to innej, to według św. Augustyna grzech o niebo większy niż kłamać, „nie wyrządzając nikomu krzywdy, a ratując czyjąś własność, czy życie".

Żyjemy w kłamstwie w świecie kłamstw: w kosmosie, z rozumem, zaprzątniętym religiami, mozaiką kultur, przesiąknięci obyczajami. To nasze naturalne środowisko jak woda i powietrze. Kłamstwo zatem jest dla człowieka dobre, bo naturalne. Dobrze się człowiekowi w nim żyje. Gdy wyrywa się go z tego błogostanu - poprzez objawienie kłamstwa - doznaje on bólu. Dopiero wtedy. Rani zdzieranie zasłon z oczu, bo wtedy umysł staje na sztorc wbrew swej naturze. Czyli nie kłamstwo boli, lecz jego uświadomienie. Sprzeczność doznań.

Odczuwamy ból wskutek nakazów społecznych, fetyszyzujących wartość prawdy. Sami nie dążymy do niej za wszelką cenę. Bo jest ona - jak kłamstwo - względna. Te nakazy natomiast ułatwiają zarządzanie i manipulowanie ludźmi. Można by o tym wiele.

Co zatem stanowi wartością nadrzędną, neutralizującą koszt życia w kłamstwie? Stawiam na szczęście".

JB JAK JÓZEF BARAN. Siedemdziesiąt kilometrów od Krakowa, w domu kultury w Borzęcinie, usłyszałem w niedzielę, 26 listopada 2017 roku, pytanie, co ja tu robię, tak daleko od domu. Lubię gminne klimaty, powiedziałem. Co, nie wolno, reporterowi przystało, skoro tu „dwór Kraków" zjechał na strawę z poezji Józefa Barana.

Poezja to nie moja działka, ale usłyszeć w rodzinnej wsi poety, w jego mateczniku, wiersze w wykonaniu elity aktorskiej: Anny Dymnej i Jerzego Treli, do tego w świetnej oprawie muzycznej, to lep wystarczający i rekomendacja. Wszyscy święci przyjaciele z Krakowa zorganizowali Baranowi benefis z okazji siedemdziesiątych urodzin.

Pierwszy raz spotkałem się z benefisantem, kiedy Borzęcin - taka gmina - szczycił się urodzonym tu też Sławomirem Mrożkiem. Dawne to czasy, kiedy mocniej chyba niż dziś liczył się tzw. konkretny zawód: nauczyciel, inżynier, lekarz, etc. Jako magister inżynier spytałem, kim jest. Poetą, odpowiedział. Hm, cóż to za... jeden, pomyślałem. Bardzo dobrze gram w ping-ponga, dodał.

W tej redakcji stał stół do gry. I odtąd zawsze mam w oczach Barana podwojonego: jako poetę i pingpongistę na równi. Pingpongistę i takiegoż poetę.

Nie znam się na wierszach, nie czytam, u mnie najlepsze strofy wybrzmiewają w prozie. A w ping-ponga grywałem nieźle... Nie doszliśmy do ładu, który z nas gra lepiej.

Benefis został znakomicie zaplanowany i sprawnie przez jubilata wyreżyserowany. Poezja ubrana w talenty wykonawcze aktorów i muzyków przemieniła się niczym cenne drzewko w świąteczną choinkę, bogatą w świecidełka i nastroje. Utkwiły mi słowa śpiewającej Elżbiety Adamiak, która maestrię układania przez Barana słów w wiersze przyrównała do nakładania pędzlem farb przez impresjonistów francuskich. Zapamiętałem to, bo akurat o impresjonistach francuskich wiedziałem niewiele.

Po benefisie pozostał mi w sercu zbyt smutny egzystencjonalizm poezji i przegadany, omalże recenzencki list pochwalny Prezydenta RP Andrzeja Dudy.

Józef Baran od ładnych paru lat może szczycić się docenieniem. Jak szpak z wiejskiego sadu, wesolutko podskakujący, z dziobkiem ku górze, wpatrzony w czereśnie. Z osądów krytyków wiem, że stworzył poezję czystą, dla serca, która przetrwa. To miłe, choć u nas kultywuje się poezję „heroiczną". Dziś Borzęcin szczyci się Baranem jak dawniej Mrożkiem.

Józef Baran, „Ballada o staruszkach": „patrzą lecz mało widzą/ słuchają nie słyszą/ mówią lecz nic nam to nie mówi/ już prawie są ciszą/ istnieją nieistotnie/ coraz bledsze kopie/ zaginionego w lustrze/ Autentyku/ ich rozkład/ do którego stosują się skrupulatnie/ jest co do minuty/ nieaktualny/ od czasu do czasu/ bawią się z czasem w chowanego/ szukając rano i wieczorem/ nieistniejącego odbicia z wczoraj".

S JAK STRZEPNĄĆ. ...Janusz zapisał się do PiS-u. Hrr... Trzyma w ręku ciemnoczerwoną karteczkę, orzeczony dowód wyboru. Hrr...

Wiele dni szamotał się w sprawie decyzji, ale kiedy PiS-owy szef powiedział: - Wiecie Janusz, przyglądam się i widzę, jaki porządny z was gość - domyślił się od razu, o co chodzi. Hrr... W firmie zwalniało się stanowisko. Nadawał się do tej roboty. Hrr... Tylko, że szef tłumaczył, jak ma związane ręce przy awansach. I że może awansować tylko członków PiS-u. - To mam dać pracę byle komu, jakiemuś zafajdanemu PiS-owcowi - tu szef puścił do Janusza oko - ciemniakowi z zakonu? Janusz, dla dobra Polski, chodź z nami w pierwszym sorcie! By dobra zmiana była dobra muszą awansować ludzie wartościowi. Hrr... Dwie rekomendacje... Hrr... No bo kto tę zmianę zrobi? Tylko ludzie prawi i sprawiedliwi, światli i moralni.

Spodobała mu się ta możliwość robienia w pierwszym szeregu czegoś dobrego. Przecież jest coś wart i nie będzie jako drugi sort w ogonie zamiatać korytarzy czy nosić halabardy. Hrr... I ten program drugiego sortu, w którym czytał o *niezwykle trudnej sytuacji, spowodowanej rozdźwiękiem pomiędzy propozycjami formułowanymi przez nowe kierownictwo, a oczekiwaniami, jakie miał w tej materii ogół.* Hrr... *Tradycja bogata intelektualnie, jednocześnie niestroniąca od ryzyka, odważna formalnie i estetycznie, nie pozwala z tego dziedzictwa zrezygnować. Poddanie się bez podjęcia walki jest destrukcyjną formą bojkotu rzeczywistości. Inaczej zostaną zgliszcza* (z Oświadczenia Rady Artystycznej Narodowego Starego Teatru w Krakowie).

Czyli można działać bez bojkotu, bo zostaną zgliszcza. Zatem walka przez współudział!... Bo u Mickiewicza naród jak lawa, suchy i plugawy. Hrr... Hrr... Rety! Ratunku!...

...Janusz obudził się. - O, Boże, to tylko sen! ...Sen! - Poderwał się na równe nogi. We śnie jego szef z PiS-u miał twarz dawnego aktywisty z PZPR, a program drugiego sortu brzmiał jak tezy struktur poziomych PZPR. Ochłonął: - Ja się nigdzie nie zapisałem, Bogu dzięki, raz w życiu wystarczy. Ale czy to już przyszedł ten moment społecznej degrengolady? Przypomniał sobie, ileż radości dało mu w młodości stwierdzenie prymasa Wyszyńskiego, że komunizm to niczym kurz na dywanie, wystarczy strzepnąć! I strzepnięto, stało się.

Ale jak strzepnąć z dywanu t ę Polskę?

Janusz L. Sobolewski

LINKI, które umieściłem w Sieci

(do wyświetlenia w PDF po wejściu na https://archive.org/details/@jlsobolewski):

„I zamknę cicho drzwi…” - moje reportaże

„Misja Papieskiej Róży” - thriller polityczny

Recenzje wydawnicze i spotkanie autorskie (wystąpienia, foto, video)

Videobooki (czyli czytany przed kamerą blog)

Reportaż „Spór o cerkiew” („Życie Literackie" 17/83, 24.04.1983):
https://web.archive.org/web/20191012070639/http%3A%2F%2Fwww.beskid-niski.pl%2Findex.php%3Fpos%3D%2Flemkowie%2Freligia%2Fpolany

Witryna Krajowego Klubu Reportażu (z moim dorobkiem autorskim):
https://web.archive.org/web/20191012071335/http%3A%2F%2Freporterzy.org.pl%2Findex.php%2Fbiblioteka%2F16-prace-indywidualne

Witryna wydawnictwa „Mamiko” (pozycje książkowe w 2002 i 2011 r.):
https://web.archive.org/web/20191012071902/http%3A%2F%2Fwww.mamiko.pl%2Fwydane_starsze.php

Wspomnienie mojej Mamy

Benefis i „Lęborski Lew” mojej Mamy

Wspomnienie mojego Taty
(też link dla domeny na cmentarzu: https://ia601403.us.archive.org/6/items/wspomnijeu_20191214/wspomnijeu.pdf)

Wspomnienie mojej Babci

Janusz L. Sobolewski